

# Conan strażnik

Green Robert



calibre 0.9.27

RONALD GREEN

## *CONAN STRAŻNIK*

Tytuł oryginału CONAN THE GUARDIAN

Przełożył Marek Mastalerz

### PROLOG

Argos sąsiaduje z Ophirem — najstarszym z krajów, powstałym w czasie gdy ocean pochłoniął Atlantyde. Argos jest młodszy, lecz jego dzieje sanie mniej szacowne.

W czasach gdy wydawało się, że mroczne imperium Acheronu zawładnie całym światem, uciekinierzy z Ophiru dotarli do dogodnie położonej zatoki na wybrzeżu Oceanu Zachodniego. Niektórzy nie zaprzestali ucieczki, wyruszyli na statkach poza zamieszkane krainy i słuch o nich zaginął.

Inni doszli do wniosku, że uciekli wystarczająco daleko. W miejscu gdzie bagna i wzgórza ułatwiały obronę, zbudowali chroniącą port twierdzę. Port mógł dostarczać fortecy zapasów w nieskończoność, chyba że czarne achemońskie hordy nauczyłyby się pływać.

Mijały pokolenia. Acheron przepadł w mrokach, które poprzysiągł reszcie świata. Nad portem wyrosły mury i wieże nowej twierdzy, której nadano odrębną nazwę: Messancja. Opowieści różnią się co do tego, czy Messana była córką, czy kochanką pierwszego dowódcy fortecy.

Minęły kolejne pokolenia. Wybrzeże zapełniło się. Ludzie zaczęli osiedlać się w głębi lądu. Znaleźli tam dobrą ziemię, bogate w zwierzynę lasy oraz obfitujące w ryby rzeki i jeziora. Kraj, rozpościerający się od Messancji tak daleko, na ile pozwalali Ophirczycy, nazwano Argos.

Wokół Argos wyrastały inne królestwa. Jego sąsiadami stały się Zingara, Aquilonia, Koth i Shem. W żadnym z tych państw nie było sprytniejszych kupców, zawsze zorientowanych, ile rzemieślnik z Asgalunu w Shemie może zapłacić za sztabki miedzi z Bossonii.

Z biegiem czasu kupcy zostali władcami Argos. Rządzili lżejszą dłonią niż królowie sąsiednich państw i dzięki nim Argos nigdy nie stało się łatwym łupem dla monarchów, których zachłanność przyćmiewała zdrowy rozsądek.

Obywatele Argos od dzieciństwa uczyli się władania bronią. Mimo że nie wypadali najlepiej w bojach na otwartym terenie, murów ich twierdz nie był w stanie sforsować nikt, z wyjątkiem potężnej armii Aquilonii. W czasach pokoju kupcy utrzymywali Gwardię, składającą się z wylosowanych mężczyzn, służących pod bronią przez określoną liczbę lat. Gwardziści pilnowali granic, strzegli miast i miasteczek przed złodziejami oraz wsi przed rozbójnikami. W razie potrzeby stawiali do walki w polu do czasu zebrania pospolitego ruszenia.

Pięciokrotnie gwardziści zapłacili krwią za czas potrzebny rodakom na zorganizowanie obrony. Trzykrotnie spisali się tak dobrze, że najeźdźcy nie czekając na nadejście pospolitego ruszenia pierzchnęli z pustymi rękami i krwawymi ranami.

Gdy kowal w dalekiej, chmurnej Cymmerii spłodził chłopca, któremu nadano imię Conan, od stulecia nikt nie porwał się na próbę podbicia Argos. Niewątpliwie wodzowie wielu armii przesuwali palcami po mapach, zastanawiając się, jak pokonać ten kupiecki kraj. Być może nawet wierzyli w powodzenie swoich planów — o ile byli dość pijani.

Ponieważ jednak zawsze przeważało zdanie trzeźwo myślących, Argos pozostawiano w spokoju.

Każdy kraj równie prastary jak Argos obrasta tajemnicami, tak jak mech porasta pień wiekowego dębu. Niektóre z sekretów kupieckiego państwa dotyczyły spraw, o których mądrzy ludzie rozprawiają szeptem lub zgoła wcale.

Gdy Conan z Cymmerii uciekł z Turanu i został kapitanem Wolnej Kompanii, większość z tych tajemnic była znana tylko jednemu człowiekowi w Argos. Mężczyzna ów, pozujący na arystokratę, zwał siebie Skiron, aczkolwiek było pewne jak wschód słońca, iż matka musiała ochrzcić go innym imieniem. Było także pewne, że jego obecne oblicze różniło się wielce od tego, którym pierwotnie obdarzyła go natura.

Akimos z rodu Peram zadrżał pod wpływem przenikliwego zimna i wilgoci, panujących w katakumbach. Otulił się szczelniej sutą szatą z khitajskiego jedwabiu. Okrycie było pikowane, podobnie jak tunika, którą włożył na krzepkie ciało. Mimo to ziało w wilgotnej jaskini sprawiało, że czuł się, jakby miał na sobie najwyżej woal tancerki.

Akimos doszedł do wniosku, że Skiron wprowadził go zbyt głęboko w labirynt tuneli, służących niegdyś Messancjanom jako kryjówka na czarną godzinę. Chyboczące płomienie pochodni przegrywały nierówną walkę z mrokiem. Kupiec i czarownik mogli znajdować się w tej chwili pod fosą, jeziorem Hyrxa, rzeką Khorotas, może nawet pod morzem!

Ostatnia myśl sprawiła, że Akimos spojrział w górę bojąc się, że spomiędzy szczelin w skale nad jego głową trysną nagle potoki zielonej wody.

Stłumione kasznięcie sprawiło, że oderwał wzrok od sklepienia tunelu. Skiron stał obok brązowego trójnogu i uśmiechał się drwiąco. U jego stóp klęczał pozbawiony języka głuchy niewolnik, który dźwigał magiczne przybory.

Akimos zarumienił się, uświadomiwszy sobie, że Skiron zdaje sobie sprawę z lęku swego pracodawcy.

— Zabieraj się do roboty, człowieku! — kupiec celowo przybrał surowy ton, by nie zdradzić się bardziej. — Chyba że znasz zakłęcie na reumatyzm i płucną gorączkę, których na pewno nabawię się, jeśli będę tu sterczał?

— Życzyłbym sobie, byś zwracał się do mnie: Skiron — odparł czarnoksiężnik. — Jeszcze lepiej, gdybyś zdołał czasem zniżyć się do określenia mnie tytułem: pan.

Szybkim ruchem przesunął dłońmi nad misą na trójnogu. Wznosząca się nad paleniskiem cienka smużka szkarłatnego dymu zawirowała, zgęstniała i...

Akimos ze zdumieniem ujrzał własną twarz. Z początku miał na głowie koronę w nie znanym mu stylu, obficie ozdobioną, szlifowanymi na vendhiańską modłę rubinami i szmaragdami. Następnie ujrzał siebie z gołą głową. Po chwili na podobiznie jego oblicza pojawił się wyraz straszliwego cierpienia. Niestłyszalne krzyki wydobywające się z otwartych ust majaku zdawały się odbijać echem w umyśle przyglądającego mu się żywego mężczyzny.

Na koniec Akimos ujrzał swoją odciętą głowę z wydziobanymi przez ptactwo oczami, zatknietą na wbitą w szyję pikę.

— Sądzę... — przełknął niezdolny dokończyć myśl.

— Sądziłeś, że możesz pozwolić sobie na niecierpliwość, Akimosie. Dlatego uznałem, że trzeba pokazać ci, do czego może doprowadzić cię popędliwość.

— Jestem ci wdzięczny za tę naukę, panie — odrzekł Akimos. Z chęcią nazwałby czarnoksiężnika Królem Słońca i Księżycy, gdyby tylko w ten sposób zdołał przyśpieszyć wykonanie czekającego ich dzisiaj zadania.

Tymczasem Skiron zajął się czym innym. Niewolnik wręczył mu dwie fiołki z proszkiem barwy zaschniętej krwi. Potem podał Skironowi pojemnik z węglem drzewnym.

Czarnoksiężnik dorzucił węgla do tłącego się w palenisku ognia. Niemal natychmiast rozeszła się

fala ciepła. Akimos i niewolnik spływali potem, lecz żar najwyraźniej nie działał na Skirona, chociaż mag znajdował się najbliżej płomieni.

Na koniec niewolnik podał swemu panu prostą spizową szkatułkę, z rodzaju tych w jakich kobiety z ostatnich rodów trzymały barwnik do ust i puder do twarzy. Widok tak pospolitego przedmiotu w tym mrocznym miejscu sprawił, że Akimosowi zachciało się śmiać. Wesołość przeszła mu natychmiast, gdy wiekowe oczy Skirona zwróciły się w jego stronę.

Czyżby czarnoksiężnik czytał jego myśli? Akimos słyszał, iż w innych krajach żyją znający tę sztukę magowie, jednakże wszystkich adeptów czarnoksięstwa wyrzucono z Argos wiek temu, kiedy Najwyższym Archontem był Hipparos Wielki. Skiron zaś pochodził z Argos...

Dłonie czarnoksiężnika poruszały się szybko jak atakujące żmije. Zawartość dwóch fiolek powędrowała do ognia. Akimos wstrzymał dech, spodziewając się nowej fali żaru i kłębow szkarłatnego dymu.

Wszelako nawet cienka opończa dymu nad paleniskiem zniknęła, jakby wessała ją gigantyczna paszcza. Akimos rozdziawił usta ze zdumienia. Zginęła nawet woń dymu. Zastąpił ją ciężki zapach, przypominający odór rzuconych do ognia przegniłych ziół. Akimos spieszenie zamknął usta, walcząc z chęcią zasłonięcia nozdrzy dłońmi.

Ręce Skirona ponownie powędrowały w stronę trójnogu. Tym razem cisnęły na węgle spizową szkatułkę. O dziwo, nie spadła na nie, lecz poszybowała w dół wolno jak bańka mydlana i zatrzymała się o szerokość dłoni od paleniska.

— Doskonała sztuczka, w sam raz na uliczne widowisko, Skironie — powiedział Akimos.

Swym pewnym tonem chciał równocześnie odebrać pewność siebie czarnoksiężnikowi, jak i zapanować nad rozprzestrzeniającym się w jego trzewiach strachem.

Przez szczupłą twarz Skirona przemknął pełen szyderstwa uśmiech. Czarnoksiężnik wzniosł dłonie, opuścił je równocześnie tnącym ruchem i wykrzyknął słowo w języku, którego Akimos ani nie znał, ani nie miał najmniejszej ochoty poznać.

Szkatułka uległa przemianie. Najpierw powiększyła się. W okamgnieniu osiągnęła swoje trzykrotne rozmiary i rosła dalej, aż nabrała rozmiarów pasterskiego szałas. Zmieniła również kolor: brązowawa żółć spizu przeszła w szkarłat, następnie akwamarynę, potem rozjarzyła się szmaragdowym blaskiem, który stał się jaskrawą czernią, przy której ciemność jaskini wydawała się równie jasna jak blask południa...

Akimos spojrzał w głąb miejsca, w którym znajdowała się szkatuła. Poczuł, jakby coś zaczęło wysysać mu duszę. Zacisnął powieki. Koszmarne uczucie wysysania ustąpiło.

Kupiec obliznął spierzchnięte wargi i otworzył oczy. Szkatuła powróciła do normalnej barwy, lecz nie do poprzednich rozmiarów. Wyższa od dorosłego człowieka, wciąż unosiła się nad trójnogiem. Na jej powierzchni przewijały się dziwaczne znaki i węzowe figury. Akimos bezskutecznie usiłował

zwalczyć strach próbując nadać nazwy obrazom i kształtom.

Rozpoznał jednak rzucone przez Skirona zaklęcie w pradawnej wersji języka kothyjskiego i zorientował się, jakie moce rozpętał czarnoksiężnik. Rozpętał na jego, Akimosa, życzenie...

Ostatnie znaki i postaci przemknęły po powierzchni szkatuły, zawisły przez chwilę w powietrzu i rozplynęły się. Skiron krzyknął ponownie. Tym razem nie były to słowa, lecz nieartykułowane wycie, przypominające odgłosy wydawane przez doznającego katuszy kota.

Na oczach Akimosa szkatuła otworzyła się. W szczelinie pojawiły się zęby. Szczęki, przy których lwia paszcza wydawała się zupełnie niegroźna, pełne były kłów długości połowy ramienia Skirona.

Czarnoksiężnik machnął ręką. Szkatuła pomknęła w stronę niewolnika i zatrzasnęła potworne szczęki na jego szyi.

W jaskini zapadła cisza, jaka zwykle panowała w zaświatach. Rab nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kupiec zaś był zbyt przerażony, by coś powiedzieć.

Skiron znieruchomiał. Krew łomotała Akimosowi w skroniach tak, że nie usłyszał nawet własnego oddechu. Po chwili czarnoksiężnik podszedł do skrzyni i poklepał ją dłonią, jak gdyby uspokajał złego psa.

Szkatuła rozwarła się, wypuszczając niewolnika, który runął na ziemię u nóg swojego pana, po czym sama skurczyła się do poprzednich rozmiarów i spadła ze szczękiem na posadzkę.

Skiron przesunął obydwie ręce nad trójnogiem. Uniósł się kłęb niebieskawego dymu w kształcie dziecięcej główki. Podtrzymując dym jak jajko, czarnoksiężnik przeniósł go nad leżącego bezwładnie niewolnika i opuścił na jego skrwawioną szyję.

Rany od zębów i krew na szyi raba zniknęły. Niewolnik otworzył oczy i zaczął obmacywać kark.

— Wstawaj, matole! — rzucił Skiron. — Jeżeli wyobrazasz sobie, że będę dźwigać trójnog za ciebie, następnym razem pozwolę ci się wykrwawić!

Niewolnik zerwał się na równe nogi, zgasił zar w misie i zapakował magiczne przybory do skórzanego worka, który zarzucił na plecy. Skiron podszedł do Akimosa ze szkatułką w dłoni.

— Przyznam, że były to lepsze sztuczki niż te, które widuje się na rynku — rzekł kupiec.

— Sztuczki? To mówi ktoś, kto pragnie zostać największym z Argosańczyków? — uśmiech Skirona przywodził na myśl kota igrającego z myszą. — Przyjrzyj się tej szkatule. Chyba widzisz, że nie przypomina ksiąg handlowych twoich urzędników.

Akimos spojrzał i wzdrygnął się z odrazy. Spod wieka wciąż sterczały zęby; na koniuszku każdego z nich lśniła świeża krew.

— Kiedy chcesz, żebym zabrał się do roboty, Akimosie? — zapytał czarnoksiężnik. — I od którego

rodu?

— Zaczynj od Liwii — odpowiedział Akimos. — Mieszkają z nią wyłącznie dziewczyny i starcy, słabi na ciele lub umyśle.

— Nie słyshałem, by ktoś wyrażał się o Liwii w ten sposób — odparł Skiron.

— Płacę ci szczerym złotem za czary, nie rady! — odciął się Akimos. — Przyznaję, że Liwia ma swój rozum, lecz co poradzi jedna dziewczyna, gdy wszyscy w jej pałacu wpadną w panikę? Co mogą zrobić mądrzy ludzie, gdy zewsząd otaczają ich głupcy?

Skiron obejrzał się, by sprawdzić, czy niewolnik jest gotów, po czym wrócił spojrzeniem do kupca.

— Sądzę, Akimosie, że powinieneś żywić nadzieję, iż nigdy nie będziesz zmuszony odpowiedzieć sam sobie na to pytanie.

Odwrócił się i ruszył za niewolnikiem, nim Akimos zdążył zebrać myśli.

Skiron dał upust swym uczuciom dopiero wtedy, gdy zagłębił się w tunel, prowadzący pod Bramą Menefransa do własnej siedziby. Usiadł na wilgotnym głazie i zwijał się ze śmiechu, aż żebra rozboleły go jak po kopniaku muła.

Śmiał się z głupoty Akimosa, wąpiącego w jego potęgę. Śmiał się ze zgrozy kupca, gdy ujrzał na własne oczy pokaz magicznej mocy. Uciechę sprawiała mu myśl o losie, jaki zgotuje Akimosowi, gdy nie będzie go już potrzebował.

Do tej chwili musiało jednak upłynąć sporo wody w Khorotasio. Myśl, ile, sprawiła, że Skiron otrzeźwiał. Trzeba było czasu, by Akimos zdążył podporządkować sobie pół tuzina rywali i zostać największym kupcem w Argos. Potem jeszcze trzeba sprawić, by archonci i Gwardia jadła mu z ręki. Dalej, by ufundować szkołę czarnoksiężników, co było wymogiem Skirona. Wreszcie lat, by obiecujący chłopcy i dziewczęta, którzy zapiszą się do uczelni Skirona, nauczyli się tego, co powinni.

Dopiero wówczas Skiron zdoła odnowić magię w Argos. Wierzył, że ludzie, dla których jedyną formą sztuki było szczękaniem monet, ustąpią mu drogi, kothyjscy czarownicy zaś, którzy pozbyli się go mówiąc: „Odejdź i naucz się sam, czego zdołasz”, będą zmuszeni przyznać, że Skironowi nieźle udało się wypełnić ich polecenie.

Do czasu gdy plany Skirona zostaną zrealizowane, ci, którzy pozostawili w jego duszy nie gojące się rany, dawno już pomrą, lecz ich cienie oglądać będą, jak ich niedoszły uczeń włada Argos, i pojną, jak bardzo się mylili.

Skiron zaśmiał się ponownie i skinął na niewolnika. Wspólnie przeszli pod górę ostatnich pięćdziesiąt kroków, dzielących ich od szczeliny w skalnej ścianie tunelu. Niewolnik zanurzył się w niej, Skiron zaś obejrzał się, uniósł zaciśniętą pięść i wyrzekł trzy krótkie słowa.

Pył zawirował wokół śladów stóp na posadzce. Po chwili zniknęły wszelkie oznaki, że przechodzili tędy ludzie. Skiron z latarnią w dłoni zagłębił się w szczelinie i tunel spowłóła całkowita ciemność.

## ROZDZIAŁ 1

— Kapitanie! Zbrojni ludzie na trakcie!

Helgios z rodu Ossertes, kapitan Gwardii, zdjął ze stołu nogi, a potem hełm. Wcisnąwszy połączone żelazo na łysiejące skronie, podszedł do okna strażnicy.

Wartownik mówił prawdę. Pstra zbieranina posuwała się w dół stoku wzgórza ku Wielkiemu Mostowi na Khorotasio. Zdawało się, że tworzą ją ludzie ze wszystkich możliwych ras, dla których wspólne były jedynie obszarpane stroje, rozkudłane włosy i gotowa do użycia stal.

W grupie tej wyróżniał się jeden człowiek, nie tylko dlatego, że był o pół głowy wyższy i szerszy w barach od pozostałych. Mimo olbrzymiej postury mężczyzna ten poruszał się z gibkością i gracją właściwą wielkim drapieżnym kotom. Jego długie czarne włosy ocierały się o ramiona, okryte krótką kolczugą, przy boku kołysał się miecz w zużytej skórzanej pochwie.

Helgios zachwiał się w przekonaniu, że są to bandyci. Przywódca tej grupy nie wyglądał na herszta rozbójników, lecz podobnie rzecz miała się z Karelą o ognistych włosach, o której niedawnych wyczynach rozprawiał cały Ophir. Być może była to grupka najemników?

— Na posterunki! — krzyknął kapitan.

Usłyszał, jak jego komenda zostaje przekazana na drugą stronę mostu. Zatrzasnęły się bramy na obydwu końcach. Łucznicy sprawnie wspięli się po drabinach na wierzchołki wieżyczek strażniczych. Dziesiątka ludzi gotowych do podłożenia ognia pod środkowe drewniane przęsła skryła się spieszenie w cieniu mostu.

Helgios dożył wieku, w którym stracił większość włosów, ponieważ zawsze poważnie traktował swoje obowiązki. Choćby w stronę rzeki sunęła cała aquilońska armia, nie zastałaby Helgiososa, syna Arthradesa, nie przygotowanego do obrony Wielkiego Mostu.

Dotarcie do granicy Argos na czele czterech dziesiątek ludzi nie leżało w planach Conana z Cymmerii. Barbarzyńca był doświadczonym żołnierzem, chociaż dwudzieste czwarte urodziny miał jeszcze przed sobą. Nie był też głupcem, dlatego zdawał sobie sprawę, że Argos nie potrzebuje całych band najemników.

Jeden człowiek — zręcznie posługujący się bronią, doświadczony wojownik, miałby większe szansę na przekroczenie granicy kupieckiego państwa. Znalazłszy robotę przy ochronie posiadłości jakiegoś



kupca, mógłby wstawić się za członkami dawnej kompanii, którzy znaleźliby się w okolicy.

Wiedział, że na pewno by do tego doszło. Nowi władcy Ophiru twardą ręką oczyszczali swój kraj z najemników. Conan zdawał sobie sprawę, że spotka ponownie część ludzi, których opuścił pamiętnego świtu na stokach dymiącego Al'Kiir, gdzie zły bóg znalazł wieczny odpoczynek. Okazało się jednak, że Conanowi udało się odejść w samotności zaledwie dwie mile od posępnego pola bitwy. Potem przyłączyli się do niego dwaj bliźniacy, prawie jeszcze chłopcy, którzy służyli w kompanii Blezuisa. Conan ujrzał w ich oczach głód, strach i pamięć o wielu towarzyszach, którym udało się przeżyć bitwę, lecz skończyli wbici na pal z rozkazu Iskandriana Orła.

Cymmerianin nie potrafił zostawić ich własnemu losowi, tak samo jak nie potrafił uderzyć kobiety. Skorzystawszy ze starych umiejętności, ukradł kurę z obejścia jakiegoś chłopca i dał bliźniakom po raz pierwszy od wielu dni porządnie się najeść. Gdy następnego ranka zapały koguty, ruszyli wspólnie w dalszą drogę.

Cztery dni później kompania Conana liczyła już siedemnastu ludzi. Po następnych czterech, najemników było już ćwierć setki. Dwa dni później Conan popatrzył smętnie na obszarpańców, napychających się półsurową pieczenia z ukłusowanej w królewskim borze zwierzyny.

— Na Croma! Sądziłem, że niepostrzeżenie prześlizgnę się do Argos. Teraz mam takie szansę pozostać nie zauważonym jak broda na eunuchu! — mężczyźni zaśmiali się, lecz szybko zamilkli pod wpływem kolejnych słów Cymmerianina: — Jesteśmy niecałe trzy dni marszu od argosańskiej granicy. Jestem pewny, że na pograniczu żołnierze Iskandriana roją się jak pchły na szakalu, dlatego wyruszymy dalej jako zaprzysiężony oddział najemników albo wcale. Przysięgnijcie, że będziecie wypełniać moje rozkazy i strzeżli swoich towarzyszy tak jak samych siebie. Przysięgnijcie na to, w co wierzycie, albo niech was nie widzę tu jutro o świcie.

Przy składaniu przysięgi powoływano się na wszystkich znanych Cymmerianinowi bogów oraz paru nie znanych, jednakże w końcu odebrał ją od prawie wszystkich. Zaledwie dwóch ludzi odłączyło się, nim kompania Conana ruszyła w stronę granicy.

Marsz przebiegał bez przeszkód, przynajmniej ze strony Iskandriana Orła. Zapewne było to spowodowane przezornością wodza, który nie chciał ruszać na czele potężnej armii pod granicę z Argos w chwili, gdy korona Ophiru nie zagrzała się na młodzieńczej głowie Moranthesa II.

Argosańczycy zadowalali się Gwardią i twierdzami, lecz ich sąsiadom tak szczupłe środki nie wystarczały. Z pewnością gotowali się już, by nękać Ophir i może wyrywać jego skrawki spod niedoświadczonej ręki Moranthesa.

Conan skrycie marzył, by Iskandrian pokusił się o szaleńczą napaść na kupieckie państwo. Argosańczycy przełknęliby wówczas bez przypraw swoją niechęć do najemników. Cymmerianin mógłby wtedy spłacić parę długów krwi za zaprzyjaźnionych podwładnych i dowódców, którzy skończyli na palach. Poza tym niezbyt czule wspominał ostatnich ophirskich możnowładców, wykorzystujących najemników jako licznym w swoich krwawych intrygach. Połowa z nich ceniła sobie życie najemnego wojownika niżej niż psa myśliwskiego.

Conan pożegnał się jednak z tą mrzonką o zmierzchu trzeciego dnia, gdy granica znalazła się w zasięgu wzroku. O świcie czwartego dnia nakazał ludziom doprowadzić się do porządku, by nie wstyd było na nich spojrzeć, a przynajmniej kobiety i dzieci nie wpadały na ich widok w histerię. Gdy podwładni wypełnili ten rozkaz z umiarkowanym powodzeniem, poprowadził ich w dół traktem ku Wielkiemu Mostowi na Khorotasio.

Wodny smok nie był najstarszym ani największym przedstawicielem swojego gatunku, był jednak bez wątpienia najgłodniejszym. Po zakazaniu magii w Argos skończyły się zaklęcia, które dawały mu moc, i smok zasnął w mule na dnie Khorotasu.

Obecnie zaklęcia, którymi szczerze szafował Skiron, wywarły na smoka ożywczy wpływ. Bestia obudziła się w swoim podwodnym legowisku i stwierdziła, że jest głodna. Ryby zaspokajały ssanie w jej brzuchu, lecz nie pragnienie kryjące się w jego drobnym mózdzku.

Smok wspomniał ciepłokrwiste, dwunogie ofiary, które chwycił, gdy pokonywały brody, i porywał, gdy zanadto wychylały się z łodzi. Wspomnienie to sprawiło, że popłynął pod prąd do miejsca, w którym niegdyś się czaił, jednak wiele się tu zmieniło. Zmalała liczba ludzi pływających w łodziach, a nikt nie przeprowadzał się przez rzekę w bród. W miejscu gdzie niegdyś pełno było dwunogich istot, powstała monstrualna sterta głazów, blokujących w niepojęty sposób nurt rzeki.

Smok pływał niespokojnie w górę i dół Khorotasu. Od czasu do czasu udawało się mu pożywić dzieckiem, bawiącym się zbyt blisko brzegu, lub piorącą kobietą. Zawsze jednak wracał do sterty kamieni, czuł bowiem, że na jej szczycie znajduje się to, czego pragnie.

Stwór nie był w stanie wspiąć się po głazach, przynajmniej jeszcze nie teraz. Pamiętał jednak, iż często dwunogie istoty potykały się i wpadały do wody. Jedno kłapanięcie wielkich szczęk kończyło wówczas ich walkę o przeżycie.

Nie oddychając, nie mrugając ślepiami, nieskończenie cierpliwy smok wyczekiwał pod mostem.

— Kto idzie? — okrzyknął Conana jeden z wartowników. Mężczyzna nosił czerwoną tunikę, napierśnik i spizowy hełm z wysokim czubem. Wymierzył w Cymmerianina szpic długiej włóczni.

Barbarzyńca podszedł do wartownika, aż ostrze włóczni oparło się o jego pierś, spokojnie położył dłoń na drzewcu i pchnął je w dół.

— Conan, kapitan wolnych najemników wraz ze swoją kompanią — powiedział tak spokojnie, jak gdyby chodziło o cenę pokoju w zajęździe.

Za jego plecami niektórzy z najemników roześmiali się na widok wyrazu twarzy wartownika. Conan uciszył ich srogim spojrzeniem, bowiem widać już było zbliżającą się grupę strażników z dowódcą na koniu.

Gdy kapitan dotarł do nich, Conan zasalutował uniesieniem dłoni.

— Honor i chwała ci, kapitanie. Kogo mam zaszczyt spotkać?

— Helgios, syn Arthradesa, z rodu Ossertes, kapitan Straży Mostowej, wita... — pytająco uniósł brwi.

— Twierdzi, że nazywa się Conan — podsunął usłużnie wartownik.

Cymmerianin ściągnął brwi. Pod wpływem tego spojrzenia strażnik cofnął się dwa kroki.

— Przywykłem mówić prawdę, kapitanie.

— Podobnie jak ja, Conanie — odparł dowódca straży. — Skoro tak, powiem ci jeszcze parę słów prawdy. W Argos nie ma miejsca dla najemników. Na pewno nie teraz, gdy panuje pokój, rzadko zaś w czasie wojny. Póki my, Gwardia, wypełniamy swoje obowiązki...

Conan nie dowiedział się od Helgiosa niczego nowego. Nim kapitan skończył przemowę, wśród podwładnych Cymmerianina dały się słyszeć gniewne sarkania. Dowódca najemników wzruszył ramionami i skrzyżował ręce na masywnej piersi.

— Cóż, kapitanie — powiedział — czy wolno nam będzie udać się do Argos w poszukiwaniu innego, miłego bogom i ludziom zajęcia?

— Owszem, o ile jakiś obywatel Argos wpłaci kaucję za każdego z was, byście nie zostali żebrakami lub złodziejami.

— Kapitanie, niewielu, a może żaden z moich ludzi nie był jeszcze w Argos — powiedział Conan tonem, jak gdyby zwracał się do małego dziecka. — Trudno, by znali nas twoi rodacy.

— Zwłaszcza jako ludzi godnych, by wpłacić za nich kaucję — dodał Helgios, powiódłszy posępnym wzrokiem po stojących za Conanem mężczyznach. — Obywatele Argos potrafią lepiej spożytkować złoto niż na kaucję za nie mytego Cymmerianina i jego hałastrę.

Nie odwracając się, Conan uciszył gniewne pomruki uniesieniem dłoni. Wiedział, że łucznicy zajęli stanowiska na wieżach strażniczych zarówno po tej, jak i przeciwnej stronie Khorotasu. Wystarczyło jednak jedno słowo Cymmerianina, by ten wygrzewający się na zapiecku strażnicy wojak i jego podwładni stali się pokarmem dla ryb w rzece, lecz kompania najemników nie nacieszyłaby się długo zwycięstwem.

Wcześniej Conan też rozlokował kilku ludzi w krzakach na ophirskim brzegu. Niewidoczni i niesłyszalni, obserwowali rozwój wypadków, by w najgorszym razie ostrzec innych najemników, szukających schronienia w Argos. Tyle przynajmniej Conan był winien kompanom po fachu, uciekającym przed oddziałami palowników Iskandriana.

— Oczywiście, tacy jak wy, dobrze spisujący się najemnicy, nie mogą być aż tak biedni, na jakich wyglądają. — Helgiosowi niemal udało się zachować kamienny wyraz twarzy. — Prawo przewiduje

możliwość wpłacenia kaucji za samego siebie.

— Istotnie? — rzekł Conan. Łapówkarza wyczuwał na milę pod wiatr. Odór ten sprawiał, że w porównaniu z nim wysypisko śmieci wydawało się różanym ogrodem. Nic jednak nie szkodziło dowiedzieć się, jaka była cena kapitana. — Ile wynosi kaucja?

— Dwie drachmy od głowy, cztery za ciebie, bez prawa noszenia broni. Jeżeli chcecie ją zatrzymać...

— Co, wyglądamy na tragarzy cegieł?! — wrzasnął któryś z najemników. — Obracaj szybciej językiem, karzełku, albo wyrwę ci go z gardła, na spizową rzyć Erlika!

— Ciszza!!! — ryknął Conan, po czym spojrzał Helgiosowi w oczy. — Nie licząc ludzi z tak niewyparzonymi gębami, ile kosztuje prawo do zatrzymania broni, kapitanie?

— Siedem drachm za każdego człowieka. Pięć dla skarbu, dwie na fundusz Gwardii. Mam prawo zbierać tę opłatę.

Conan stłumił śmiech, co nie powiodło się niektórym z jego ludzi.

— Pewnie wydaje się ci, że powietrze Argos jest nektarem, a woda winem, by żądać od uczciwych wojaków takiej sumy za wpuszczenie w jego granice.

— To spokojny kraj i chcemy, by takim pozostał — odpowiedział stanowczo Helgios.

— W takim razie nie mamy się o co kłócić — odparł Conan. Nie miałby kłopotu z uiszczeniem zapłaty, jakiej żądał kapitan, nawet gdyby była o wiele wyższa. Zostało mu dość klejnotów z łupów Kareli, by kupić niewielki gród. Nabył też dość doświadczenia, by nie pokazywać ich Helgiosowi, wtedy bowiem kapitan z pewnością nie zadowoliliby się zwyczaj ową łapówką. Cymmerianin odwrócił się do swoich ludzi. — Słuchajcie. Zdaje się, że Argosańczycy mają chude sakiewki i pragną utuczyć je naszym kosztem. Wszyscy macie po kilka odłożonych monet, o ile jesteście warci skóry, z której uszyto wasze buty! Zdołam wycisnąć co nieco z moich zapasów na kaucję za tych, którzy naprawdę nie mieli szczęścia, zbierajcie się więc i płacicie, ile możecie! Jeżeli się pośpieszymy, przed zachodem słońca będziemy pili przyzwoite wino i mieli solidny dach nad głową.

Najemnicy popatrzyli ponuro na Helgiosa. Gwardzista rozparł się w siodle z beztróskim uśmiechem. Niechęć przybłędów spływała po nim jak woda po kaczce. Ze swej strony istotnie nie musiał się niczym przejmować.

Conan przyglądał się swoim ludziom, po kolei wysupłującym pieniądze. Stwierdził, że kilku z nich będzie musiał pilnować, by pod osłoną nocy nie poderżnęli Helgiosowi gardła. Kilka lat wcześniej sam by tak uczynił, lecz przez ten czas stał się kimś zupełnie innym niż młodzieniec, który zaciągnął się na służbę Turanu.

Kopczyk monet u stóp Helgiosa systematycznie rósł.

W pewnym momencie przyszedł kolej na mężczyznę imieniem Trattis, który wyciągnął przed siebie

pustą kiesę i poklepał się po wystrzępionym stroju. On i jego łachy wyglądali, jakby użyto ich do wyszorowania chlewa.

— Wybaczcie mi, szanowni panowie! — zajęczał. — Nie miałem ostatnio szczęścia...

— Nie narzekaj na swoje szczęście! — rozległ się okrzyk za plecami Conana. Ten, który to powiedział, odepchnął Cymmerianina w bok i podszedł do Trattisa. — Widziałem, jak liczyłeś perły w noc po przyłączeniu się do...

— Perły? — zapytał Helgios. Popatrzył z góry na Trattisa i człowieka, który mu groził: zwałistego siepacza imieniem Raldos. Oczy Gwardzisty rozszerzyły się, błyskawicznym ruchem dobył miecz i krzyknął: — Brać go!

Na szczęście dla Trattisa, pozostali gwardziści nie wiedzieli, kogo mają schwytać. Podczas gdy bezradnie wodzili wzrokiem po dwóch najemnikach, Trattis wyciągnął nóż i odskoczył w tył. Raldos rzucił się za nim, nadział się na ostrze i runął z rozprutym brzuchem. Helgios zamachnął się dziko w dół, lecz jego krótki miecz nie nadawał się do toczenia walki z końskiego grzbietu. Ostrze daremnie przecięło powietrze.

Trattis pomknął do balustrady mostu, wdrapał się na nią i skoczył. Conan dotarł do niej na czas, by ujrzeć, jak najemnik gładko przebija lustro wody i znika pod powierzchnią. Cymmerianin odparował miecz i zaczął rozsupływać rzemienie kolczugi patrząc, w którym miejscu wypłynie Trattis — nikt nie mógł w nieskończoność wstrzymywać tchu ani płynąć pod prąd Khorotasu.

W chwili gdy Conan zdejmował buty, zdał sobie sprawę, że Trattis powinien już wypłynąć. Czy zarył się jak kowadło w mulistym dnie? Czy też ten cień pod mostem i zmarszczki na wodzie, jak gdyby coś wielkiego poruszało się tuż pod powierzchnią, nie były wyłącznie dziełem wyobraźni Cymmerianina?...

Jakkolwiek było, nie zamierzał dopuścić, by rzeka Khorotas zabrała perły. Conan wskoczył na balustradę i zanurkował dokładnie w miejscu, w którym zniknął Trattis.

Wodny smok przeraził się na chwilę, bowiem spadające ciało przebiło powierzchnię wody wprost nad nim. Uczucie to minęło, gdy jego ospały mózdzek zdołał przetrwać tę myśl. Kiedy noga człowieka otarła się o grzebień bestii, stwór pojął, co takiego wpadło mu w łapy.

Oto do wody wpadł pierwszy po długiej przerwie dwunóg. Smok przetoczył się na grzbiet, otworzył paszczę i zaatakował.

Trattis nie miał powietrza w płucach. Wypchnęło je uderzenie o wodę. Mimo to gdy szczęki, które wyłoniły się z mętnej głębi, zacisnęły się na jego piersi, usiłował krzyczeć. Zdołał jedynie wciągnąć wodę w płuca. Zanim zębiska długości palca wbiły się w jego serce i płuca, już prawie utonął.

Smok potrząsnął silnie ciałem dwunoga. Trup nie rozpadł się, co oznaczało, że nie jest jeszcze gotowy do zjedzenia. Smok wiedział jednak, że czas rozwiąże ten problem. Musiał tylko znaleźć

kryjówkę...

Lustro wody zostało przebite ponownie: jeszcze jeden dwunóg znalazł się w rzece. Wzrok wodnych smoków był słaby, lecz nie trzeba było bystrych oczu, by dostrzec młóćące wodę kończyny.

Drugi dwunóg był niewątpliwie żywy. Gdyby smok nic nie zrobił, ofiara wymknęłaby mu się. Myśl o dostatku mięsa, pozwalającym napełnić pusty brzuch, zdominowała wszystkie inne pragnienia bestii.

Smok otworzył paszczę. Ciało Trattisa odpłynęło bezwładnie w bok. Pokryte łuskami szczęki zwróciły się w stronę Conana.

W odróżnieniu od Trattisa, Conan zanurkował w Khorotacie z dostatecznym zapasem powietrza w płucach i trzeźwą głową. W chwilę później pożałował, że nie znalazł się pod wodą także z mieczem.

To, co wychynęło z brunatnozielonych odmętów, nie było gorsze niż stwory, z jakimi walczył w Vendhii, Khitaju i innych krainach, których nie zliczyłby na palcach obydwóch rąk. Bestia była jednak olbrzymia i bez wątpienia nie zamierzała łatwo rozstać się z życiem, nieważne, czy naturalnym, czy tchniętym w jej ciało przez magię. Była to pewnie jedyna cecha łącząca ją z Cymmerianinem.

Conan zgiął się wpół, by wydobyć sztylet, i równocześnie kopnął silnie w pokryty łuskami nos, by odepchnąć się od bestii. Nozdrza okazały się jej czułym punktem. Woda spieniła się wokół miotającego się wściekle smoka i Conan ujrzał, jak potwór przewraca się na grzbiet.

Ruch ten odsłonił miejsce wrażliwe na ciosy — szeroki pas pomarszczonej białej skóry na podgardlu. Sztylet Conana wbił się tędy w głęb czaszki i ciemna krew zmieszała się z wodą.

Nie sposób było odmówić smokowi szybkości. Zraniony przetoczył się na brzuch i ponownie rzucił na Cymmerianina. Rozszarpał jego strój i przeszorował kłami po skórze, nie zdołał jej jednak chwycić.

Atak bestii pozwolił Conanowi złapać się grzebienia na jej wielkim łbie. Wolną ręką wbił sztylet głęboko w czerwone ślepie.

To, co nastąpiło teraz, przypominało wybuch podwodnego wulkanu. Śmiertelne konwulsje ogarnęły każdą część cielska smoka. Conan zacisnął ręce na grzebieniu i rękojeści sztyletu wiedząc, że gdyby bestii udało się go strącić, zginąłby pod wściekłymi ciosami jej łap lub ogona.

Conanowi zdawało się, że agonalne podrygi stwora trwają wystarczająco długo, by przez ten czas kilkakrotnie utonąć. Gdy konwulsje ustały, był zdziwiony, że ma jeszcze zapas powietrza w płucach. Szybko wydostał się na powierzchnię, gdzie czekała go jeszcze większa niespodzianka: ciepło i światło słońca! Zaczerpnął gwałtownie tchu, napełniając całą objętość płuc, zrobił to ponownie i sięgnął do pochwy sztyletu.

— Na Croma!

Pochwa zniknęła razem z zaszytymi na jej dnie klejnotami z ophirskiego berła. Kosztownościami tymi mógłby zapłacić za wprowadzenie do Argos całej armii najemników, nie mówiąc o jednej kompanii!

Conan przyzywał jeszcze kilku bogów, po czym zrezygnował z przeklinania. Crom dawał człowiekowi rozum do obmyślania planów i odwagę do wprowadzania ich w życie, lecz nie prawo do narzekania na świat, który nie zawsze poddawał się ludzkiej woli.

Klejnoty zniknęły, lecz jeśli Trattis miał perły, a sądząc po szybkości, z jaką uciekał, tak było istotnie, to w tej sytuacji rozwiązaniem było obszukanie zwłok martwego najemnika.

Odnalezienie trupa zajęło Conanowi nieco czasu. Nim do niego dotarł, Trattis nie był sam. Prąd zniósł jego ciało na pokrytą żwirem plażę kilkaset kroków w dół od mostu. Gapili się na niego chłopci. Wydawało się, że zebrało się ich z pół wioski.

Gdy Conan wynurzył się z Khorotasu niczym jakiś wodny bożek, niemal wszyscy gapie pierzchnęli. Na plaży pozostał jedynie mały chłopiec, który potknął się i przewrócił, oraz nieco starsza dziewczynka, która zawróciła, by pomóc mu wstać.

Kiedy zamajaczyła nad nimi sylwetka Conana, dziewczynka zgarnęła garść żwiru i wyszczerzyła zęby.

— Jeśli dotkniesz mojego brata albo mnie...

— To co mi zrobisz? — rzekł Conan z uśmiechem.

— Będziess wydłubywać sobie żwir ze ślepi, wielki... — jej następne słowa zawierały domysły co do przodków Cymmerianina, wśród których było sporo odstręczających zwierząt.

Conan w końcu nie wytrzymał i roześmiał się na głos, co spowodowało, że dziewczynka raptownie zamilkła.

— Młoda damo, to marna podzięką za potyczkę z rzeczonym potworem.

Mała rozdziawiła usta. Powiodła spojrzeniem po otartym boku Conana i zmasakrowanym ciele Trattisa. Wreszcie utkwiała spojrzenie w rzece.

— Walczyłeś z rzeczonym demonem? Ty... sam?

— Nie jego wina, ale nie mógł mi pomóc. — Conan wskazał Trattisa. — Co do demona, nie tylko walczyłem z nim, lecz założę się o porządny miecz, że go zabiłem. Jeżeli wątpisz w moje słowa, możesz zanurkować po jego cielsko. Prąd znosi je właśnie tutaj.

Dziewczyna zakończyła swój udział w dyskusji, mdlejąc, a jej brat zaczął zawodzić jak dusza potępiona. Kilku wieśniaków przybiegło na brzeg, potrząsając bojowo widłami i sierpami.

Conanowi przyszło teraz mozolnie tłumaczyć chłopom, że istotnie zabił stworzenie, które nazywali rzeczonym demonem, ale wcale nie jest czarnoksiężnikiem ani nie posłużył się magią.

— Wystarczyło, że wbiłem bestii nóż w ślepie — burknął. — W ten sposób można poradzić sobie z każdym stworem, który ma mózg blisko oczu, magicznym czy nie. Widzę jednak, że wy, prostaczkowie, nie powinniście się tego bać, bo Crom jeden wie, czy w ogóle macie mózgi.

Barbarzyńcy przyszło stracić jeszcze trochę czasu na przekonanie chłopów, by pozwolili mu przyjrzeć się trupowi Trattisa. Wieśniakom wydawało się, że miejscowy zaklinacz powinien odprawić jakiś rytuał nad złodziejem — ofiarą rzeczno demona, po czym trupa powinien podczas nowiu spalić siódmy syn siódmego syna. Conanowi było wszystko jedno, co stanie się z Trattisem, nawet gdyby chłopci chcieli upiec nieboszczyka podczas wioskowej uczty, pod warunkiem jednak, że wcześniej pozwolą mu obłuskać trupa z pereł.

Gdy wreszcie wieśniacy zgodzili się, by Cymmerianin podszedł do zwłok, nadjechał Helgios na czele dwudziestu gwardzistów. Najemnicy podążali w niewielkiej odległości za nimi. Conan podszedł do nich i zwięźle opowiedział, jaka przeprawa spotkała go w wodach Khorotasu.

Gwardziści cofnęli się jak jeden mąż, z wyjątkiem Helgiosa, który nie chciał, by wieśniacy widzieli, że kapitan Gwardii jest w stanie odczuwać lęk. Conan zauważył jednak, że twarz żołnierza pobladła pod opalenizną, a lewą dłoń nakreślił on chroniące od uroku znaki.

Nim Helgios odmówił do końca swą litanie, Conan obszukał ciało Trattisa. Perły zniknęły równie pewnie jak ophirskie klejnoty. Uniosła je rzeka lub pochłonęła paszcza martwej bestii.

Conan wyobraził sobie, jak zareagowałby Helgios na prośbę o pozwolenie wyciągnięcia potwora z dna Khorotasu i pogrzebienia w jego trzewiach. Mógł jednak poprosić Gwardzistę o coś innego...

— Kapitanie — powiedział. — Zebrałeś pieniądze na nasze kaucje?

— Brakuje... hmm, przynajmniej dwóch drachm od każdego — odrzekł Helgios.

Czyli sumy, która przylepiłaby ci się do palców, pomyślał Conan. Zamiast tego wzruszył ramionami.

— Być może. Chciałbym jednak przypomnieć ci o potworze, którego zabiłem...

— Jak twierdzisz...

— Którego zabiłem — powtórzył z naciskiem Conan. Jego ton aż nazbyt wymownie dawał do zrozumienia, co czeka Helgiosa, jeżeli jeszcze raz spróbuje nazwać Cymmerianina kłamcą. — Wydaje się, że ta bestia dała się we znaki wieśniakom. Chłopi o tym nie zapomną. Przełałem również nieco krwi, a jeden z moich ludzi...

— Był pospolitym złodziejaszkiem, za którego głowę wyznaczono cenę, zanim jeszcze przyłączył się do Kareli! — sarknął Helgios.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odpowiedział beczelnie Conan. Helgios nie wiedział, że sam Cymmerianin zadawał się z Karelą, zwaną Czerwonym Jastrzębiem, i lepiej było go nie oświecać w tym względzie. — Wiem jednak, że ten człowiek złożył mi przysięgę na wierność. Co byś powiedział, żeby uznać zabicie bestii za spłatę reszty kaucji za mnie i resztę kompanii?



— Powiadam, że to obraza dla prostych i przejrzystych praw Argos — odparł Helgios.

— Twoja odmowa zaś byłaby obrażą dla sprawiedliwości w rozumieniu tych wieśniaków — odrzekł Conan. — Niech no zobaczą, że wyrzuciliście mnie jak żebraka po tym, gdy porachowałem się z potworem. Nie spodoba się im to, zaręczam. Rozpowiedzą o tym każdemu, kto ma uszy do słuchania. Wkrótce całe Argos usłyszy o kapitanie Helgiosie, strzegącym ze swoimi gwardzistami Wielkiego Mostu. Domyślasz się, w jakim świetle wypadniesz w tych opowieściach, kapitanie? Jak sądzisz, czy spodoba się to twoim zwierzchnikom?

Na szerokiej twarzy Helgiosa było wyraźnie widać zaciętą walkę, toczoną przez zdrowy rozsądek z łapczywością. Wreszcie kapitan trzepnął otwartą dłonią w łęk siodła.

— Dobrze — powiedział. — Możecie nie wpłacać teraz reszty kaucji. Ostrzegam jednak, że za rok od wjazdu do Argos sąd orzeknie, czy można ją wam umorzyć.

— Jak sobie życzysz — odparł Conan. — Skoro wyrażasz zgodę, chciałbym prosić cię o coś jeszcze. Niech tym z moich ludzi, którzy zechcą pozostać w wiosce, wolno będzie to uczynić.

Cymmerianin zauważył już spojrzenia, jakimi niektórzy z najemników obrzucali młode wieśniaczki. Wiedział, że kilku wyrazi chęć pozostania. Wiedział też, że jeśli tak się stanie, będzie miał dobre źródło informacji o tym, co dzieje się w Ophirze i na Wielkim Trakcie do Argos.

Helgios potrząsnął głową na poły ze złością, na poły z rozbawieniem.

— Kapitanie, myślałem, że Cymmerianie są zdolni jedynie do zręcznego wymachiwania mieczem. Nigdy nie przypuszczałem, że któryś z nich potrafi targować się jak przekupka z shemickiego bazaru!

— Wątpiłeś również, czy Cymmerianie się myją — odparł Conan. — Może powinienem zostać tu i nauczyć cię czegoś więcej o moim ludzie?

— Conanie, wątpię, by moja duma zniosła takie nauki! — Helgios roześmiał się szczerze, co dobrze o nim świadczyło. — Zbierz swoich ludzi, tych, którzy chcą udać się w głąb Argos, i przygotuj ich do drogi, a mój skryba spisze pokwitowanie kaucji.

Conan wykonał otwartą dłonią iranistański gest szacunku.

— Śpieszę spełnić twoją wolę, kapitanie.

## ROZDZIAŁ 2

Liwia, dziedziczka rodu Damaos, przebudziła się ze świadomością, że dzieje się coś niedobrego.

Nie wiedziała, co wytrąciło ją ze snu. W szarym świetle wypełniającym komnatę sypialną nie widać

było niczego niezwykłego. Liwia okryła się kołdrą po czubek nosa, po czym ponownie powiodła wzrokiem po alkowie.

Główna komnata sypialna w pałacu rodu Damaos mogłaby pełnić rolę sali balowej w wielu ostatnich rezydencjach. Sklepienie pokryte freskami przedstawiającymi orły i obłoki znajdowało się na wysokości masztu rybackiego kutra. Okna wychodzące na ogród osłonięte były żaluzjami z drewna tekowego. Tam gdzie posadzki nie skrywały iranistańskie kobierce, zawiała, barwna mozaika przedstawiała nieznane naturze zwierzęta oraz kwiaty, które nie kwitły w żadnym ogrodzie.

Liwia wolała przytulny pokój w przeznaczonym dla dzieci skrzydle pałacu, gdzie spędziła większość swoich niezbyt licznych wiosen. Dzięki temu przynajmniej w nocy nie musiałaby być głową rodu. Jednak skazana na spanie w przypominającej grobowiec komnacie, ciągle musiała o tym pamiętać.

— Czy naprawdę muszę zapomnieć o dzieciństwie, by godnie wypełniać obowiązki głowy rodu? — pożaliła się kiedyś majordomusowi Rezie. — Czy nie byłoby lepiej, bym została tam, gdzie jest mi dobrze, by nie postradać zmysłów?

— Wtedy złe języki szeptałyby, że je tracisz, pani — zapewnił ją Reza z poufałością zrodzoną z dziesiętek lat wiernej służby. — Wraz z młodością poczytane by to było na twoją niekorzyść.

— Skończyłam dziewiętnaście lat. To dosyć, by zostać głową rodu! — rzuciła z irytacją.

— Sama jednak powiadasz, pani, że jesteś prawie dzieckiem? — Reza niemal się uśmiechnął.

— Ach, ty...! — wybuchnęła, starając się znaleźć epitet, który oburzyłby Rezę, lecz po chwili doszła do wniosku, że jest to zadanie skazane na niepowodzenie. Iranistańczyk służył swego czasu w turańskiej kawalerii, przez co wątpliwe było, by wysoko urodzona Argosanka zdołała kiedykolwiek znaleźć określenie, które by nim wstrząsnęło.

W końcu zrobiła to, czego w mniemaniu Rezy wymagała duma rodu Damaos, i wprowadziła się do wielkiej komnaty sypialnej. Udawało się jej nawet zasnąć w łożu, w którym sypiał jej ojciec i które mogłoby pomieścić sześć osób.

Liwia obejrzała sypialnię na tyle, na ile pozwalał baldachim łoża. Już doszła do wniosku, że jej lęk był bezpodstawny, gdy zeszywniała, słysząc zgrzyt metalu po posadzce.

Narastający blask świtu pozwolił jej patrzeć przez muślinowe zasłony. Przy stopach łoża znajdowało się wielkie srebrne zwierciadło w ramie z połączanego brązu. Lustro kołysząc się z piskiem przesuwano się dookoła łoża w stronę dziewczyny.

Rozum Liwii nawet nie próbował wyjaśniać tego, co ujrzały oczy. Nie spowolnił jej dłoni, które zanurkowały pod jedwabne poduszki. Wyłoniły się stamtąd z nocną koszulą z bladożółtego lnu i sztyletem o szerokim, turańskim ostrzu, osadzonym w dopasowanej do ręki Liwii rękojeści.

Jedynie dwie pokojowe wiedziały, że Liwia sypia nago, ze sztyletem pod poduszką. Dziewczyna usiadła, a jej długie jasne włosy rozsypały się po ramionach. Sztylet trzymała nisko w prawej dłoni,

zwiniętą koszulę przełożyła przez lewą rękę. Jeden ze strażników ojcowskiej karawany nauczył ją posługiwać się nożem w taki właśnie sposób.

Zwierciadło wciąż zmierzało w jej stronę. Liwia czuła, jak jej dłonie stają się lepkie od potu. Oblizwała górną wargę. Wiedziała teraz, co w pałacu jest nie w porządku. Zakradła się do niego magia.

Lustro zatrzymało się z piskliwym zgrzytem. Liwia przysięgłaby, że się jej skłoniło. W chwilę później jego srebrzystą powierzchnię pokryły szkarłatne, kobaltowe i złote plamy. Bezkształtne, złowrogie cienie zdawały się szarpać umysł dziewczyny, zmuszając ją do ujrzenia w zwierciadle czegoś, przed czym wzbraniała się ze wszystkich sił.

Bezpostaciowe cienie przekroczyły powierzchnię lustra, rozchodząc się na wszystkie strony jak pasma mgły. Zasłony łoża usunęły się im z drogi, unosząc się jak na silnym wietrze. Liwia zdawała sobie sprawę, że oblewają zimny pot, lecz nie wyczuwała choćby najsłabszego powiewu.

Bez wątpienia był to czar rzucony przez wroga jej rodu. Nie wiedziała dokładnie, w jaki sposób doszła do tego wniosku, lecz była pewna, że tak jest naprawdę.

Jak z nim walczyć? Dziewczyna przypomniawszy sobie to, co jej macocha mówiła któregoś wieczoru:

— Magia przeważnie opiera się na ludzkiej wyobraźni i łatwowierności. Jeżeli uwierzysz, że jej nie ma, wówczas powinna zniknąć, a przynajmniej znacznie osłabnąć.

Macocha nie wysilała się, by uprzyjemnić życie ojcu. Jej rodzina pochodziła z gór tuż pod aquilońską granicą. Lud w tamtejszych wioskach niewiele dbał o królów czy archontów i kultywował własne obyczaje, o wiele osobliwsze niż zwyczaje narodów, które aspirowały do władania tymi stronami. Tutejsze kobiety skrupulatnie przechowywały arkana wiedzy tajemnej.

Liwia postanowiła sprawdzić, czy w bajaniach macochy tkwi ziarno prawdy.

Zamknęła oczy i powiedziała sobie, że spoczywa w łożu, w stanie między snem i czuwaniem, a w komnacie nie dzieje się nic niezwykłego. Nic się nie działo. Nic się nie dzieje.

Nic się nie stało. Nic się nie stanie...

Siła, nie pochodząca z jej wnętrza, zmusiła ją mimo oporu do otwarcia oczu. Wielobarwne kształty tańczyły przed nią bliżej i szybciej niż przedtem. Obecnie zdawały się tworzyć w jej umyśle obraz jej własnej twarzy z zeszkłonymi oczami i uchylonymi ustami.

Czyżby sugerowały wyniszczającą chorobę lub nawet śmierć? Nie. Liwia poczuła mrowienie w piersiach i ciepło w podbrzuszu. Chociaż była dziewicą, wiedziała, co to oznacza.

Niematerialne cienie przedstawiały ją samą, nasyconą jak zwierzę po zaspokojeniu namiętności, którą starał się jej wmówić jakiś czarnoksiężnik. Namiętności, która miała odebrać jej trzeźwość myślenia, osłabić przed kolejnym atakiem...

Chociaż Liwia nie była w stanie zamknąć oczu, nadal toczyła w duszy walkę z natrętnym obrazem. By poskromić żądzę, przywoływała w myślach obraz komnaty sypialnej, to zupełnie pustej, to wypełnionej wirującymi kłębam kurzu, to pogrążonej w całości w ogniu, a nawet zalanej mętnymi wodami Khorotasu, chociaż trzeba by powodzi takiej jak ta, która pochłonęła Atlantyde, by zalać położony na wzgórzu pałac rodu Damaos.

Pożądanie nie opuszczało Liwii, lecz również nie mogło opanować jej bez reszty. Musiała z nim walczyć, lecz była w stanie mu się oprzeć. Odzyskawszy władzę w kończynach, wyslizgnęła się z pościeli i zrobiła dwa szybkie kroki po wykwintnym vendhiańskim dywanie, czując pod palcami stóp kojące ciepło grubej wełny.

Nie wiedziała, jak długo trwa walka z magią. Spostrzegła jedynie, że szarość świtu zastąpił blask dnia, gdy czar został z niej zdjęty. Cienie rozwiały się jak dym. Dziewczyna zatoczyła się i upadłaby, gdyby nie przytrzymała się narożnika łoża.

W chwilę później zachwiała się ponownie, w głębi pałacu bowiem wybuchło nieludzkie zamieszanie. Wsłuchując się artykułowane krzyki, odepchnęła się od kolumnienki. Gdy zrobiła trzy kroki w stronę drzwi, te stanęły otworem. Dwie służące wpadły do środka, rozciągając się po posadzce.

Za nimi do środka wtoczył się zastawiony śniadaniem wózek. Bez ludzkiej pomocy wózek potoczył się w stronę leżących kobiet i przejechał po nich. Gorący ziołowy napar rozlał się po tacy, a jedna ze służących krzyknęła.

Ten sam strażnik karawany, który uczył Liwię posługiwać się sztyletem, nauczył ją również podstaw taktyki: „Gdy w twoją stronę zmierza coś nieznanego, musisz to powstrzymać. Dopiero potem możesz zastanawiać się, o co w tym wszystkim chodzi”.

Liwia rzuciła się na wózek, wkładając cały swój ciężar i siłę w próbę jego zatrzymania. Natura obdarzyła ją silną budową, a liczne godziny spędzone najeździe konno i pływaniu sprawiły, że jej ciało nie brakowało hartu.

Wózek zadygotał, sprawiając wrażenie, że się jej opiera. Pchnęła silniej. Wózek zadygotał jeszcze mocniej, by po chwili rozpaść się na części. Śniadanie poleciało na służące, które z krzykiem poderwały się z podłogi, strząsając z siebie gorącą ciecz i kawałki jedzenia.

Liwia chwyciła bliższą z kobiet za rękę.

— Czego się wystraszyliście, ptasie mózdzki?! — krzyknęła.

Oniemiała służąca utkwiała w niej bezradne spojrzenie. Liwia uniosła dłoń, by ją spoliczkować, ale druga z pokojowych skoczyła między nie.

— Pani, jesteś całkiem naga!

— Och, niech diabli porwą ubranie! — zawołała Liwia. — Czy czary wszystkim w tym domu odebrały rozum i mowę?

— Więc wiesz... — pokojowa przełknęła.

— Od świtu walczę z zakłębieniem w tej komnacie. Dlatego nie mogłam was zawołać... Co się stało?!  
— krzyknęła głośno i utkwiała srogi wzrok w służących, które gapiły się na nią jak śnięte ryby. Po chwili dziewczyna odwróciła się w stronę drzwi.

Na posadzkę padł długi cień. Do komnaty wszedł Reza. Iranistańczyk nie zdradził się nawet drgnieniem, że zdaje sobie sprawę z nagości swej pani. Majordomus wyprostował się i złożył dłonie w geście powitania.

— Pani, na ten dom i wszystkie znajdujące się w nim sprzęty został rzucony czar. Niektóre przedmioty zmieniły kształt, inne naturę, po to by szkodzić domownikom.

— Ilu jest rannych?

— Kilku, lecz chyba żaden z nich nie wymaga pomocy medyka. Wszyscy bardzo się boją. Przez jakiś czas nie będzie można przyjmować gości, ale chyba nic poza tym.

Liwie opuściły siły. Z głębokim westchnieniem zatoczyła się w stronę łóżka i usiadła, podpierając głowę rękami.

Po dłuższej chwili zorientowała się, że Reza nadal stoi nad nią. Spostrzegła również, że wciąż jest naga, a nocnej koszuli nigdzie nie widać.

Prztyknięciem palców przywołała pokojowe.

— Koszulę nocną i podomkę, natychmiast!

Służące wydawały się zadowolone z okazji zajęcia się czymkolwiek. Gdy zaczęły grzebać w skrzyniach ze strojami, ponownie odezwał się Reza:

— Wydałem polecenia, by dla rannych ustawić łóżka w starej stajni. Na zewnątrz pałacu nie ma żadnych szkód, dlatego kazałem pomocnikom ogrodnika pomóc w uprzążeniu zniszczonych sprzętów. W kuchni panuje spory bałagan, jeżeli jednak uda się skłonić kucharki do roboty, powinniśmy zdążyć przygotować się do wizyty głowy rodu Lokhri i jej syna.

— Bogowie niech się zmiłują! — wykrzyknęła Liwia. — Zupełnie zapomniałam o wizycie Doris i Harfosa!

Wyraz twarzy Rezy wymownie świadczył o jego skrytym pragnieniu, by zapomniano o Doris i jej niewydarzonym synu. Ród Damaos nie miał jednak takiego szczęścia. Jako najbogatsza panna w Argos, Liwia stanowiła najbardziej pożądaną małżeńską partię. Od czasu gdy przed rokiem osiągnęła pełnoletność, konkurentów do jej ręki nie sposób byłoby zliczyć na palcach obydwóch dłoni.

Garbiący się, pryszczaty Harfos był jednym z ostatnich amatorów. W odróżnieniu od pozostałych, miał potężnego sprzymierzeńca w postaci swojej matki, Doris z rodu Lokhri. Harfos zapewne

przełknąłyby w milczeniu odmowę przyjęcia przez Liwie, lecz z jego rodzicielką sprawa miała się zupełnie inaczej.

Doris nie tylko odpowiednio skomentowałyby ten fakt, lecz również zadawałyby niewygodne pytania. Gdyby nie udało się jej uzyskać odpowiedzi uczciwymi metodami, nie cofnęłyby się przed użyciem wszelkich innych. Liwia nie miała złudzeń, że tej jędzy udałoby się przekupić niejednego ze sług rodu Dana — os, być może wszystkich z wyjątkiem Rezy.

Dziedziczka miała do wyboru trzy możliwości: przyjąć Doris i jej syna, ale gdyby nic się nie stało; odłożyć wizytę, mówiąc prawdę, albo odłożyć ją i skłamać, co z pewnością wydałoby się w ciągu miesiąca. Wszystkie możliwości były równie zniechęcające. Nad ostatnią ewentualnością nawet nie warto było się zastanawiać. Gdyby Liwia nie przyjęła dziś gości, Doris za nic nie uwierzyłaby, że czarodziejski atak był błahostką.

Liwia nie miała wyjścia: musiała przyjąć gości zgodnie z planem. Jeżeli Doris okaże ciekawość, dziewczynie przyjdzie wyęzgać umysł, by zaspokoić ją w możliwie nieszkodliwy sposób. Liczyła, że być może Doris usłużyłaby jej jakąś pożyteczną radą. Nikt w Argos nie nazwałby jej głupią, chociaż wielu żałowało, że syn nie odziedziczył rozumu po matce.

Doris nie udzieliłaby jednak rady za darmo. Ceną pomocy byłby pewnie kontrakt przedślubny, nie do złamania bez wysokiego odszkodowania w złocie i skandalu większego niż rozniesienie się wieści o magicznej napaści.

Liwia poczuła przenikliwy chłód, zdawszy sobie sprawę, że zaręczyny dałyby Harfosowi prawo wstępu do jej łóża. Uczucie zimna przeszło, gdy przypomniała sobie pożądanie, którym natchnął ją czarnoksiężnik. Czy mogłaby wpuścić do łóża męża, który nie mógłby rozpalić w niej namiętności, a tym bardziej jej zaspokoić?

I czy mogła zdążyć z przygotowaniami do przyjęcia Doris i Harfosa, tracąc czas na rozmyślenia o sprawach, na które nie miała wpływu? Liwia powiodła wzrokiem po dywanie i potrząsnęła głową.

— Reza, czy moja kąpiel jest gotowa?

— Jeśli odziejesz się, pani, przywołam kogoś, by o to zapytać.

— Dobrze.

Liwia zaklaskała i wciągnęła przyniesioną przez pokojowe koszulę.

Doris i jej syna spodziewano się przed zachodem. Dzięki temu, że wszyscy domownicy trudzili się jak galernicy, pałac udało się do tego czasu uporządkować. Po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec pewien nieporządek, jednak siedziba rodu Damaos nie wyglądała już tak, jakby urządziła sobie w niej nocleg banda rozbójników.

Wyczekująca w cieniu portyku Liwia zdawała sobie sprawę, ile zawdzięcza swoim sługom.

Zapominając o strachu, zachowali się jak żołnierze przed bitwą. Nawet pokojowe tak bardzo zapamiętały się w sprzątaniu komnat swej pani, że Reza musiał przypomnieć im o zmianie zabrudzonych szat. Sam Reza... Liwii brak było słów, by wyrazić należytą wdzięczność.

Uniosła dłoń, by przyklepać zbłąkane pasemko włosów. Rozpuszczone z rana, obecnie piętrzyły się nad głową na wysokość dwóch dłoni, wyszczotkowane do połysku i spięte odziedziczonymi po matce wielkimi grzebieniami z pereł oraz złota. Liwia włożyła szatę z najwykwintniejszego khitajskiego jedwabiu w błękitnym, dopasowanym do jej oczu odcieniu. Jej szyję zdobiła kolia z wielkich rubinów, chluba rodu Damaos. W środku naszyjnika znajdowała się Tajemna Gwiazda, wielkości piąstki niemowlęcia.

Nie szkodziło przypomnieć Doris, że ród Damaos nie potrzebował wsparcia jej ani niczyjej innej rodziny. Gdyby Liwia odrzuciła oświadczyzny wszystkich zalotników, skończyłoby się to jedynie koniecznością prowadzenia godnego, samotnego żywota. Nie byłby to najlepszy sposób spędzenia reszty życia, pomyślała wspominając pragnienie rozbudzone w niej tej nocy, lecz niewątpliwie lepszy od konieczności zaspokajania cielesnych zachcianek kogoś w rodzaju Harfosa.

U podstawy wzgórza rozległo się granie trąbki. Po chwili zabrzmiało po raz drugi. Odpowiedział im róg odźwiernego. Po przedłużającej się chwili trąbka zabrzmiała ponownie. Liwia przechyliła głowę. Zdawało się jej, że słyszy krzyki, być może przekleństwa, oraz ryk osłów i bydła.

Odmówiła krótką modlitwę w nieszlachetnej intencji, by Doris utknęła do zachodu słońca między zdążającymi na targ wieśniakami, następnie przywołała Rezę.

— Czy wszystko gotowe?

— Zrobiliśmy wszystko, o co ludzie i bogowie mogliby prosić, pani.

— Ach, ale czy to wystarczy dla Doris? Nie dość, że brak jej jakichkolwiek ludzkich uczuć, to chwilami wątpię, czy ma respekt dla bogów — wyraz twarzy Rezy świadczył dobitnie, że nie spodobał mu się żart Liwii. — Wybacz mi. Wiesz, że z natury jestem bardziej podobna do ojca niż do matki.

— Obydwoje uczynili cię tym, czym jesteś, pani, i sądzę, że oboje byliby z ciebie dumni.

— Niech ci bogowie darzą za łaskawe słowa, Rezo, i... Och, na Mitrę, jada!

W bramie pojawiła się prawdziwa karawana: czterech konnych strażników i dwie lektyki — każda niesiona przez ośmiu spoconych niewolników. Do tego dziesiątka pieszych służących i zamykająca procesję czteroosobowa, konna straż tylna.

— Na pewno kazano stajennemu przyjrzeć się koniom, gdy będzie je karmić i poić? — zapytała z naciskiem Liwia.

To, czy strażnicy Doris dosiadali wynajętych czy własnych koni, a jeżeli własnych, to czy były należycie odżywione, było dla Liwii nader istotne. Dla nikogo nie było tajemnicą, że świetność rodu Lokhri minęła. Należało dowiedzieć się, jak szybko przygasała i jak bardzo zmałała, a można było to

zrobić również dzięki ocenie wierzchowców.

— Było to pierwsze polecenie, które wydałem stajennemu, pani — odpowiedział uspokajająco Reza.

Liwia za nic nie mogła przypomnieć sobie, czy kazała to zrobić. Podejrzewała, że Reza sam wydał ten rozkaz. Jeżeli nawet tak było, zostanie wypełniony tak samo, jak gdyby wyszedł bezpośrednio od niej czy nawet od samych bogów.

Czarownicy mogli napełnić służbę przerażeniem i spowodować bałagan w pałacu, lecz nikomu nie było znane zaklęcie, dzięki któremu ktokolwiek w rezydencji rodu Damaos nie posłuchałby iranistańskiego majordomusa.

Karawana gości dotarła do krętego podjazdu prowadzącego ku wejściu. Gdy Reza uniósł dłoń, z dachu zabrzmiały srebrne tony kolejnej trąbki. Spłoszone konie zaczęły nerwowo podrygiwać i drobić kopytami. Dosiadający ich mężczyźni sprawiali wrażenie zaniepokojonych.

Masztalerze pośpieszyli, by przejąć wierzchowce, a niosący lektyki niewolnicy zatrzymali się i opuścili swoje brzemie na ziemię. Pierwsza wysiadła Doris. W świetle prawa głową rodu był jej syn, lecz Doris nie liczyła się zbyt z uświęconym tradycją obyczajem, a jeszcze mniej z zawistnymi językami. Jej własny był bronią tak ciętą, że nawet ci, którzy mieli się za przyjaciół Harfosa, nie ośmielali się stanąć po jego stronie przeciwko matce. Groziło im obdarcie ze skóry, jak gdyby zostali napadnięci przez bandytów na Jedwabnym Szlaku do Khitaju.

Po chwili pojawił się Harfos. Jak zwykle wyglądał tak, jakby lada chwila miał rozciągnąć się plackiem na ziemi, lecz tym razem oszczędził sobie tego wstydu. Liwia zauważyła, że dokonał tego, czepiając się dachu lektyki niczym tonący chwytający się kłody. Nadal był krótko ostrzyżony, co nie pasowało do jego długiej głowy, lecz jego tunika, szata i buty były nie tylko nowe, lecz prawie dopasowane.

— Przyjmijcie błogosławieństwo naszego domu — wygłosiła Liwia oficjalne powitanie.

Doris oderwała oczy od okalających podjazd pomników na tak długo, jak wymagały tego dobre obyczaje, po czym weszła na stopnie obok gospodyni. Nie dorównywała wzrostem Liwii, była za to szersza w biodrach i piersiach. Za młodu cieszyła się opinią jednej z najpiękniejszych kobiet w Argos. Nawet obecnie w jej granatowoczarnych włosach nie znać było śladu siwizny.

Harfos podszedł do dwóch kobiet, gapiąc się w Liwie tak, że znówomalże się nie przewrócił. Matka musiała przypomnieć mu, by odpowiedział na powitanie. Liwia na chwilę odwróciła głowę w bok, nie będąc pewna, czy chce ukryć uśmiech czy łzy. Harfos nie był okazem męskości, lecz nikt nie zasługiwał na życie pod pantoflem Doris.

— Widzę, że masz jeden z nowych odlewów „Biegacza” Polyemiusa — powiedziała Doris. — Doskonała rzeźba, dla tych, którzy gustują w tego rodzaju sztuce.

Liwii udało powstrzymać się przed zaciśnięciem dłoni w pięści. Od śmierci ojca dziewczyny żadne ze spotkań z Doris nie minęło bez jakiejś ostrej uwagi ze strony starszej kobiety. Faktycznie ród



Damaos posiadał jeden z najstarszych odlewów arcydzieła Polyemiusa, o ile nie oryginał. Doris nie przyznałaby tego nawet na kole tortur, ponieważ minęło kilka lat od czasu, gdy była w stanie kupić odlew którejs z podrzędniejszych prac tego rzeźbiarza.

— W środku będziemy mogli podyskutować o sztuce i wielu innych sprawach — rzekła Liwia. — Na tak zaszczytną okazję przygotowano dla nas Komnatę Różaną. — I jeżeli na widoku pozostał choćby jeden okrucz porcelany, niech bogowie zmiłują się nad służącymi, ponieważ Reza tego nie robi, pomyślała i wyciągnęła dłoń w stronę Harfosa. — Chodźmy, panie. Mam nowe nemediańskie wino i bardzo chciałabym poznać opinię o nim kogoś o tak wyśmienitym podniebieniu jak twoje.

Harfos stronił od trunków, musiała jednak powiedzieć cokolwiek do tego nieszczęśnika. Nagrodził ją niemrawy uśmiech młodzieńca i zdumione spojrzenie rozszerzonych oczu matki, gdy jej syn ujął Liwie pod ramię.

Doris idąc z synem i gospodynią przez wnętrze srodze doświadczonego pałacu nieustannie wodziła wokół rozszerzonymi oczami. Liwia ufała oku Rezy i rękóm służących, dlatego też nie starała się prowadzić gości przez nienaruszone komnaty. Doris była zbyt częstym gościem, by nie zwietrzyć w tym celowego zamiaru.

Komnata Różana była wysprzątana, jak należy. Od ubiegłej nocy na pnącej róży, wspinającej się po podpórcie w stronę świetlika pośrodku sklepienia, otworzyło się kilka nowych pęków. Delikatna woń kwiecica stoczyła daremny bój z ciężkim zapachem pachnideł Doris.

Słudzy wnieśli tace z owocami i ciastami oraz wielki dzban schłodzonego w śniegu nemediańskiego wina. Liwia trzymała go właśnie w wyciągniętych dłoniach, gdy znieruchomiała.

W skraju garnca, w którym schłodzono wino, brakowało kawałka wielkości dziecięcej dłoni. Jeden z podkuchennych przegapił to. Cóż, nawet Reza nie mógł być wszędzie...

Trudno, stało się. Liwia postanowiła tego nie komentować, lecz jej spłoszona mina sprawiła, że Doris podążyła spojrzeniem za jej wzrokiem.

— Twój słudzy zdają się nieco zaniedbywać — powiedziała starsza kobieta. — Czyżby kłopoty ze znalezieniem solidnych ludzi stały się udziałem nawet rodu Damaos? — Spojrzała na Liwie, sprawiając wrażenie gotowej zatańczyć z radości na stole, gdyby usłyszała twierdzącą odpowiedź.

— Nie — odpowiedziała dziewczyna głosem równie chłodnym jak śnieg. — To wypadek podczas przygotowań do waszej wizyty. Mógł zdarzyć się zawsze.

— Jeden z wielu, śmiem twierdzić — wtrącił się Harfos. — Widziałem miejsca, gdzie włożono mnóstwo wysiłku w sprzątanie. Bardzo się starano, ale cóż... — urwał, bowiem z ust Liwii padło słowo, których damy jej urodzenia i pozycji społecznej nie powinny znać, po czym zaśmiał się nerwowo. — Przepraszam, Liwio. Jeżeli jest coś, o czym nie chciałabyś mówić...

— To nic wstydliwego — odparła z uśmiechem. Harfosowi udało się powiedzieć

najinteligentniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek miała okazję słyszeć z jego ust. Go więcj, posunął się nawet do przeproszenia jej bez matczynego upomnienia i sądząc z miny Doris, bez jej aprobaty!

— W takim razie porozmawiajmy o tym — rzekła żywo Doris. — My, potomkowie rodu archontów, musimy trzymać się razem w obliczu fanaberii służby, inaczej nasze pałace zwałą się nam na głowy!

Gdyby marnym służącym udało się kiedykolwiek pogrzebać Doris pod ruinami pałacu Lokhri, Liwia zarządziłaby dzień świętowania. Zatrzymała tę myśl dla siebie. W końcu osoba, której dotyczyła, nie tylko żyła, lecz na dodatek była jej gościem.

Przez ostatnią chwilę potoczyła się bezładna litania skarg na upuszczone wazy, przypalone jadlo i rozlaną zawartość nocników.

— Zastanawiam się czasem, czy w tym wszystkim nie ma udziału magii? Być może ktoś rzuca czary, by pozbawić służbę rozumu — zakończyła Doris.

Na szczęście powiedziała to, odwracając się po kolejną kiść winogron, dzięki czemu nie zauważyła nerwowego grymasu na twarzy Liwii. Z trudem panując nad głosem, młodsza kobieta rzekła:

— Magia? Równie dobrze można winić Atlantów!

— W Argos praktykowano czary również później — odparła Doris. — Dwa dni temu, podczas kolacji z Akimosem, dowiedziałam się, że Czwarty Archont zapowiedział, iż nie zamierza dłużej trwonić pieniędzy na najmowanie łapaczy czarownic.

— Czyich pieniędzy? Akimosa czy tych, którymi rozporządza archont?

— Publicznych, oczywiście, chociaż przypominam sobie, że Akimos był tego samego zdania.

Zanim Doris skończyła relację, co każdy z gości miał na sobie, jadł i powiedział, Liwia otwarcie zaczęła okazywać znudzenie, Harfos zaś sprawiał wrażenie gotowego uczynić to samo, gdyby tylko śmiał. Liwia uśmiechnęła się do niego, a młodzieniec odważył się odpowiedzieć jej tym samym.

— Zastanawiam się, czy Akimos i archont mieli rację — powiedział Harfos. — Kilka dni temu w pobliżu Wielkiego Mostu został zabity rzeczny smok. Wcześniej zginęło kilka dzieci i żon rybaków, ale nikt nie wiedział, jaka jest tego przyczyna. Słyszałem, że od stulecia nie widziano w Khorotasio takiej bestii.

— Pijani kapitanowie Gwardii naopowiadali ci bredni podczas wieczerzy — stwierdziła kategorycznie Doris.

— Ależ matko, mówili o tym, co niewątpliwie się wydarzyło. Smoka zabił dowódca oddziału najemników. Rzucił się do rzeki, gdy jeden z jego ludzi spadł z mostu, i zastał bestię, gdy pożerała...

— Nie zapominaj, że siedzisz przy jednym stole z damą — powiedziała Doris. — Uczyłam cię przecież, o jakich rzeczach możesz rozmawiać w takiej sytuacji, przypomnij sobie.

Liwia odczuła wielką pokusę użycia raz jeszcze słowa nie przystającego damie, a nawet kilku. Gdyby Doris zamilkła ze zdumienia, być może Harfos zdołałby dokończyć swoją opowieść.

Gdyby żona archonta miała wąsy... Pewniejsze było to, że Doris natychmiast odzyskałaby język w gębie i zastanowiła się, dlaczego Liwie tak bardzo ciekawi rzeczny smok.

Historyczne zwoje twierdziły, że sto lat temu zakazano uprawiania czarów w Argos. Minął wiek bez magii i rzecznych smoków, i nagle w odstępie kilku dni wzdłuż brzegów Khorotasu zaczął grasować potwór, a użycie zaklęć zburzyło ład w pałacu rodu Damaos.

Liwia nie zamierzała tracić czasu na daremne modły, by okazało się to zbiegiem okoliczności. Postanowiła, że porozmawia o tym z Rezą. Iranistańczyk rzadko musiał kupować trunek w którejś z argosańskich oberż, lecz zapewne w ten sposób udałoby mu się rozwiązać parę języków. Być może nawet zdołałby dowiedzieć się, kim jest ów dowódca najemników.

Liwia wróciła uwagą do gości. Do rozmowy z Doris wystarczyłaby połowa umysłu, lecz lekceważenie biedaczyska Harfosa przypominałoby kopanie mokrego kota.

### ROZDZIAŁ 3

Były kraje, w których słońce paliło bardziej niż w Argos. Były szczyty, na których stokach człowiek oddychał rzadszym powietrzem niż w Górach Rabiriańskich. Istniała cięższa praca niż ścinanie drzew na tych zboczach.

Conan znał prawdziwość tych trzech stwierdzeń z własnego, zdobytego jako niewolnik doświadczenia. Nigdy jednak nie przyszło mu pracować przy wyrębie lasu w górach pod gołym niebem, mając równocześnie na głowie nie tylko dowodzenie kompanią najemników, ale i dbanie, by nie popadła ona w kłopoty.

Konieczność zarobienia brakującej do kaucji sumy przysparzała Conanowi niemałych zmartwień. Cymmerianin chciał, by prócz grupki, która pozostała w wiosce nad Khorotasem, pozostali trzymali się razem.

Wiedział, co oznaczają zimne spojrzenia wielu z napotkanych Argosańczyków. Najemnicy srodze ucierpią, jeżeli tylko wpadną w jakieś tarapaty. Im surowszą władzę sprawował nad nimi dowódca, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że narobią sobie kłopotów — tak przynajmniej wydawało się Conanowi.

Zdawał sobie sprawę, że mało którego z Argosańczyków było stać na wynajęcie całej kompanii najemników. Niewielu miało dość złota, a jeszcze mniej znalazłoby zajęcie, wymagające aż tylu zdrowych mężczyzn i trwające wystarczająco długo, by umożliwić każdemu z cudzoziemców zarobienie dwóch drachm brakujących do spłacenia kaucji.

Mijały dni na bezskutecznym poszukiwaniu pracy. Za to nie brak było kapitanów Gwardii, ochoczo rzucających aluzje co do losu, jaki przypadnie w udziale kompanii, jeżeli wkrótce nie znajdzie dla siebie zajęcia.

— Kiedy stracie srebro — powiedział przy winie jeden z nich — nie minie wiele czasu, a zostaniecie poproszeni o ruszenie z powrotem tam, skąd przybyliście.

Czyli przez argosańską granicę do Ophiru, gdzie na szczytach wzgórz o rzut kamieniem od Khorotasu płonęły ogniska wojsk Iskandriana. Tym razem Conanowi i jego ludziom nie udało się uniknąć wykrycia, nawet gdyby Argosańczycy nie uprzedzili Ophirczyków o ich wyrzuceniu. Po kilku spotkaniach z przedstawicielami kupieckiej nacji Conan powątpiewał, czy którykolwiek z nich ustrzegłby honoru rodzonej siostry, gdyby zaproponowano mu godziwą cenę za sprzedaż jej do oberży.

— A jeżeli nie mamy ochoty umierać w Ophirze? — zapytał.

— W takim razie umrzecie w Argos, kapitanie. Jak myślisz, ilu gwardzistów zdołalibyście pokonać?

— Więcej niż wam się wydaje! Liczę, że nie jesteście takimi głupcami, by zmuszać nas do walki?

— Och, to nie my bylibyśmy wówczas głupcami, a przynajmniej i my, i wy w równym stopniu. Tobie pozostawiam dowiedzenie się, co myślą o tym bogowie, bowiem najpewniej spotkasz się z nimi przede mną. — Conan zwalczył chęć przetrącenia karku gwardziste w celu udowodnienia mu, że myli się pod tym względem. Gdyby to zrobił, ponad dwudziestu ludzi, którzy ślubowali mu wierność, skończyłoby, powieszonych lub wbitych na pal. Cymmerianinowi nie udało się jednak powstrzymać zaciśnięcia pięści.

— Popiliśmy razem, dlatego winien ci jestem przysługę — kontynuował Gwardzista.

— Argosańskie przysługi to najlepszy sposób, by z człowieka szybko zostały skóra i kości — burknął Conan.

— Nie dzięki tej, jak sądzę. Jeżeli twoi ludzie nie boją się ciężkiej pracy, poszukajcie jej w Górach Rabiriańskich.

— Jakiej?

— Pracy w kopalniach lub kamieniołomach, przy naprawie dróg, wyrębie lasu, bo ja wiem? To zależy od pory roku i kaprysów kupców.

Conan był gotów dać temu wiarę. Doświadczenia z kupcami nauczyły go, że pod względem fanaberii mogli z nimi konkurować tylko bogowie. Co do reszty, to od przybycia do Argos nie słyszał lepszej rady, za to obdarzono go wieloma gorszymi.

Zamówił przeto więcej wina i podziękował kapitanowi. Następnego dnia uzyskał pozwolenie na przemarsz kompanii w góry. Najemnicy przeklinali, szemrali, dwóch z nich zdezerterowało, lecz pozostali dotarli z nim na pogórze, gdzie po polanach niosło się echo siekier drwali, a na zachodnim

widnokręgu wznosiły zębate szczyty.

Akimos skręcił górną połowę ciała, daremnie starając się przynieść ulgę obolałym plecom i pośladkom. Poluzował jeszcze bardziej ramię jeździeckiej opończy, i tak gotowej w każdej chwili zsunąć mu się z barków.

Nic nie było w stanie zmienić faktu, że był za stary na konną wyprawę w góry, na dodatek w przebraniu. Miary goryczy dopełniał fakt, że zmuszony był podróżować z nikłą eskortą i na szkapach, które tylko dzięki temu wymknęły się rzeźnikowi spod obucha.

Akimos nie miał jednak wyboru. Gdyby rozniosła się wieść, że wyjechał na północ, by spotkać się z zabójcą smoka, Skiron wcześniej czy później usłyszałby o tym.

W rezultacie kupiec znalazłby się w jeszcze gorszym położeniu niż obecnie. Nie miał ochoty być zdany na łaskę tylko jednego czarnoksiężnika, wołał mieć na usługi dwóch, których mógłby napuszczać na siebie w razie potrzeby.

Ściągnął wodze i uniósł dłoń, by zatrzymać jadących za nim ludzi.

— Czas dać chabetom odpocząć. Na miłość Mitry, dajcie mi pić!

Tyle wina, ile potrzeba, by uśmierzyć ból, zwałoby go z siodła, lecz łyk czy dwa pozwolił wypłukać kurz spomiędzy zębów i przypomniał o lepszym świecie poza górami.

Unosząc bukłak, Akimos usłyszał niosące się z wiatrem odgłosy siekier. Niespodziewanie zastąpiły je gniewne krzyki. Kupiec oddał naczynie i spał konia ostrogami. Dobywając miecze i napinając łuki, pozostali jeźdźcy ruszyli za nim pod górę.

Conan nie potrzebował ostrzeżenia Taloufa Shemity, by zorientować się, że bliźniacy są u kresu wytrzymałości. Cymmerianin obserwował ich od kilku dni równie bacznie jak nożownik, którego mianował sierżantem. Dlatego też odwrócił się natychmiast, gdy posłyszał gniewny krzyk Jarenza. Ujrzawszy, że młodzieniec podskakuje na jednej nodze, przeklinając i przytrzymując rękami skrwawioną stopę, ruszył w dół po stoku. Na widok zbliżających się strażników zerwał się do biegu.

Talouf popędził tuż za swoim kapitanem. W ciągu paru dni pełnienia obowiązków sierżanta zdążył nauczyć się, że nie zawsze powinien od razu dobywać noża. Cymmerianin i Shemita dotarli do toczącego się po zboczu pnia w tej samej chwili, gdy brat Jarenza, Vandar, dobiegł do niego z dołu.

Strażnicy zabiegli im drogę z dwóch stron. Jeden z nich uniósł pałkę, drugi zamachnął się krótkim biczem. Batog przeciął ze świstem powietrze o długość ramienia przed nosem Vandara.

— Wracać natychmiast do pracy! — warknął strażnik. — Zajmiemy się twoim bratem.

— Tak samo jak zajęliście się pniami? Wiążąc je liną przegniłą tak jak żarcie, które dostajemy?! — krzyknął łamiącym się z wściekłości głosem Vandar.

Ruszył w stronę strażników. Bicz trzasnął ponownie, tym razem lądując na jego ramieniu. Vandar wydał z gardła zwierzęcy pomruk i rzucił się na strażnika.

Uczył to niewątpliwie bez zastanowienia. Nim zdążył dopaść przeciwnika, Talouf rzucił się mu pod nogi. Strażnik wznosił bicz, by zdzielić nim Vandara po plecach.

Batog nie zdążył opaść. Conan błyskawicznym ruchem wyciągnął ramię nad bark strażnika, schwycił ramię w powietrzu i szarpnął silnie, przez co batog okręcił się wokół jego masywnej dłoni.

Strażnik odwrócił się. Stopa Cymmerianina w wysokim bucie podcięła mu kostki. Argosańczyk, obracając się dalej, runął na ziemię. Bicz pozostał w dłoni Conana.

— Oddam ci go, gdy do twojego tępego łba dotrze, że nie wolno ci bić wolnych ludzi — rzekł barbarzyńca.

— Kto powiedział, że ta zgraja małp to wolni ludzie? — zapytał strażnik z pałką. Nie opuszczał jej, lecz odsunął się na bezpieczną w jego mniemaniu odległość.

— Zapisano to na pokwitowaniu wpłacenia kaucji... — zaczął Conan.

— Coś takiego! Umiesz czytać? Pierwszy raz spotykam Cymmerianina, który umie czytać i na dodatek sili się na żarty! Zaiste, to dzień pełen niespo... eekhh!

Conan dźwignął strażnika jedną ręką, drugą wyłuskując mu pałkę z dłoni.

— Zanim ten dzień się skończy, stracisz wszystkie zęby, nie licząc połamanych gnatów, jeżeli nie będziesz uważać na słowa. Zawołaj swojego kapitana! Chcę z nim porozmawiać o tym, co tu zaszło, i to natychmiast!!

Strażnik opuścił polanę tak szybko, jakby wystrzelono go z katapulty. Jego towarzysz dźwignął się z ziemi, spojrzał na swój bicz i utkwiał rozważne spojrzenie w Taloufie. Shemita nie spuszczał dłoni z rękojeści sztyletu. Vandar był bezbronny, lecz wyraz jego twarzy wystarczał, by demony pierzchały mu z drogi.

— Idź po medyka! — powiedział Conan do strażnika, wskazując w dół zbocza. — Jeżeli jest zbyt pijany, by się tu wspiać, masz przynieść maści i bandaże. Swego czasu opatrzyłem niejedną ranę.

— Ty...

Conan napiął bicz w dłoniach. Jego mięśnie ledwo nabrzmiały, ale twarda skóra pękła jak nić.

— Ruszaj, inaczej drugim, którego opatrzę, będziesz ty! — Strażnik docenił zalety posłuszeństwa, aczkolwiek nie oddalił się równie szybko jak jego towarzysz. Conan odwrócił się do Jarenza. — Przyjrzyjmy się teraz twojej nodze.

— Dziękuję, kapitanie — młodzieniec zająknął się. — Nigdy nie zdołam odwdziżyć się ci...

— Zdołasz — odparł Conan. — Zrobisz to, trzymając język za zębami, kiedy zjawi się tutaj dowódca straży. Jeżeli uda nam się we dwóch załatwić tę sprawę, doczekamy wieczora bez kolejnej bójkii.

— Tak, kapitanie. Będę milczał jak...

— Zaczynij od tej chwili.

Jarencz uchylił usta, po czym zamknął je bez słowa. Talouf i Vandar roześmieli się.

Conan pomyślał, że nie ma w tym nic śmiesznego. Sądząc po zamieszaniu u podnóża stoku, kapitan straży był już w drodze, i to z konną asystą.

Wjeżdżając pod górę, Akimos słyszał granie trąbek i bębnow. Mijali go w biegu strażnicy z pałkami i krótkimi mieczami. Śpieszyli się tak, że Akimos miał wrażenie, że dosiada żółwia.

Strażnicy zniknęli za zakrętem ścieżki. Rozległy się stamtąd kolejne nawoływania. Akimos już miał spaść konia ostrogą, gdy przypomniał sobie, w jakim stanie jest jego wierzchowiec. Przysiągł sobie, że następnym razem, gdy będzie zmuszony użyć przebrania, zadba o to, by wcielić się w kogoś mogącego dosiadać lepszego konia.

Za zakrętem znajdowała się niedawno wyrębana polana, na której leżała sterta okorowanych pni, gotowych do spuszczenia do rzeki i spławiania z jej prądem. Na szczycie sterty stał olbrzym ze spadającymi na ramiona, splątanymi czarnymi włosami. Wielkimi dłońmi dawał znaki obszarpanym mężczyznom, krzątającym się dookoła z siekierami, podbijakami i klinami.

Akimos nie był nigdy Gwardzistą, strażnikiem karawan, a tym bardziej najemnikiem, lecz widział przedstawicieli tych trzech profesji w działaniu. Natychmiast zorientował się, że ma przed sobą dowódcę przygotowującego swoich ludzi do walki.

Miny strażników świadczyły dobitnie, iż oni również zdają sobie z tego sprawę. Argosańczycy ściskali broń w rękach, lecz nawet ci, którzy byli uzbrojeni w łuki, byli spoceni i spoglądali niepewnie. Wszyscy, włącznie z ich kapitanem, trzymali się z daleka od przeciwników. Ten ostatni odwrócił się w stronę Akimosa.

— Wielmożny panie...

— Szszsz! Pilnuj języka, głupcze!

— Tak jest! Panie radco, lepiej będzie, jeżeli będziesz trzymał się z tyłu. Ten szalony Cymmerianin i jego ludzie pobili dwóch moich strażników i odmawiają oddania się w ręce sprawiedliwości.

Przyjrząwszy się ludziom, przy pomocy których kapitan chciał wymierzyć karę buntownikom, Akimos zmuszony był przyznać, że jest po stronie Cymmerianina. Do tego powątpiewał w poczucie

sprawiedliwości dowódcy straży.

W pamięci kupca zatliło się wspomnienie, które po chwili rozbłysło z pełną mocą. Czy nie mówiono, że człowiek, który zabił rzeczno smoka, wyglądał na Cymmerianina?

— Hej, kapitanie! — zawołał do barbarzyńcy. — Jestem radcą wielmożnego Akimosa. Mój pan szuka czarnoksiężnika, który zabił rzeczno smoka przy Wielkim Moście na Khorotacie. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

Na chwilę na twarzy Cymmerianina pojawił się drwiący uśmiech, lecz jego niebieskie oczy pozostały zimne jak niebo na Północy.

— Może. Jeżeli tak, czy opłaciłoby mi się, gdybym ci to powiedział?

Akimos z wysiłkiem zachował kamienny wyraz twarzy. Kapitan straży sprawiał wrażenie, jak gdyby za chwilę miał dostać ataku apopleksji.

— Ile miałoby to kosztować? — powtórzył Akimos. — Mój pan zna cenę wiedzy równie dobrze jak wartość drachmy.

— Ile potrzeba, by zapłacić grzywnę za moich ludzi?

Akimos obejrzał się na kapitana straży, do którego skierowane było pytanie. Argosańczyk wzruszył ramionami.

— To zależy od osądu właściciela drewna i szkód, których doznali strażnicy.

— Jak długo mamy na to czekać? — spytał Akimos.

— Co najmniej kilka dni, najwyżej miesiąc.

— Tymczasem mam wrócić do Akimosa i tłumaczyć się przed nim, dlaczego nie byłem w stanie znaleźć czarownika?

Akimos nie zdziwiłby się, gdyby kapitan straży padł trupem na miejscu. Zaczynała go bawić ta sytuacja. Targowanie się miał we krwi. Opanował je tak dobrze, że byłby w stanie dobijać interesów z równym powodzeniem w lochu, na statku czy tu, gdzie górskie turnie podpierały nieboskłon.

— Nie... To znaczy, sądzę, że wiem, jaka byłaby to suma. Jeżeli jednak mój pan uzna, że nie jest wystarczająca...

— Wówczas mój pan wyrówna różnicę. W istocie, dano mi prawo postępować według własnego uznania.

W spojrzeniu kapitana straży łapczywość zaczęła brać górę nad strachem. Akimos zsiadł z konia i poklepał strażnika po ramieniu.



— Słuchaj, przyjacielu, nasi panowie porozumieli się już w tej sprawie. Dlaczego my mielibyśmy się kłócić?

Dowódca natychmiast przytknął uchylone usta i potrząsnął głową.

— Istotnie. Gotów jesteś zapłacić sto drachm, panie?

— Sto?! — Akimos kwiknął jak kastrowany prosiak. — Mój pan utoczy mi krwi, jeżeli zapłacę więcej niż sześćdziesiąt!

— Mój również, jeżeli strażnicy zdezerterują, bo sprawiedliwości nie stanie się zadość.

— Sto drachm to suma wystarczająca nie na odszkodowanie za dwóch poturbowanych strażników, ale na okup za księcia, i to następcę tronu Aquilonii!

— No, może dziewięćdziesiąt...

Akimos odwrócił głowę tak, że tylko koń był w stanie ujrzeć uśmiech na jego twarzy. Kapitan zaczął spuszczać z ceny, więc teraz on pokaże mu, co znaczy targować się z księciem argosańskich kupców!

Conan przyglądał się targom ze słabo maskowanym rozbawieniem, Talouf zaś nawet nie usiłował go kryć. Reszta kompanii nie odrywała wzroku od strażników. Gdyby doszło do walki, łucznicy w znacznym stopniu wyrównaliby mniejszą liczebność straży, przynajmniej do chwili własnej śmierci.

Conanowi nie uśmiechała się zbytnio walka. Gdyby był sam, już dawno zniknąłby w górach, za którymi leżały Zingara i Aquilonia. W żadnym z tych państw nie przejmowano się tak jak w Argos pochodzeniem ludzi zręcznie posługujących się bronią, jednakże Cymmerianin nie był w stanie przeprowadzić za sobą przez góry ponad dwudziestu ludzi ani nie mógł porzucić ich na pastwę losu.

Musiał zadbać o ich dolę tu, w Argos, licząc na uśmiech szczęścia. Mogło nim być właśnie pojawienie się Akimosa. Jeżeli przybysz był agentem tego bogacza, nie zaś nim samym, to Conan gotów był zostać arcykapłanem Seta!

Wreszcie kapitan straży pokiwał głową, wydając z siebie niechętnie pomruki.

— Zgadzam się na tę ofertę, jeżeli jednak mój pan ją odrzuci, lepiej uciekaj przede mną na Pustkowie Piktyjskie!

— Och, nie obawiaj się — odpowiedział przybysz. — Jestem zbyt stary i tłusty, by porzucać służbę u mojego pana. Cały czas mówiłem ci szczerą prawdę.

Conan odczekał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, aż drachmy zostaną przekazane z ręki do ręki. Gdy przybysz wspiał się po balach i zatrzymał przed Cymmerianinem, ten przywitał go gestem otwartych dłoni.

— Słuchaj, kapitanie, mam nadzieję, że zapłaciłem moim... złotem mojego pana za coś, co warte jest tej ceny — rzekł Argosańczyk.

— Dasz wiarę, że to ja jestem zabójcą smoków? — Conan uśmiechnął się.

— Jesteś czarnoksiężnikiem? — Przybysz był wyraźnie zaskoczony. To z kolei wprawiło w zdumienie Conana, lecz starannie je ukrył. Do jakiej rozgrywki Akimos potrzebował czarnoksiężnika? Fakt, że w Argos było o nich trudno, był jedną z niewielu dobrych rzeczy w tym kupieckim kraju. Conan stwierdził, że najlepiej będzie udzielić jakiejś niezłe brzmiącej odpowiedzi, nieważne czy prawdziwej.

— Nabyłem pewnej zręczności w posługiwaniu się bronią — odparł. — Nie wiem, czy pomogło mi to w walce ze smokiem czy nie. Oczywiście, słyszałem, że to magiczne stworzenia, zatem moje umiejętności nie mogły zaszkodzić mi ani pomóc smokowi.

— Z pewnością — odrzekł odziany w długą szatę przybysz, rozglądając się uważnie. — Kapitanie...

— Nazywam się Conan.

— Ach! Ten sam, który dowodził najemnikami w Ophirze?

— Zdaje się, że twój pan ma szpiegów wszędzie.

— Może sobie na to pozwolić, wiedza zaś ułatwia pomnażanie bogactw. Ta prawda stosuje się nie tylko w odniesieniu do kupców. Może sprawdzić się również w twoim przypadku.

— O jaką wiedzę ci chodzi?

— O twoją znajomość czarów.

— Moją... — Conan urwał, doszedłszy do wniosku, że się nie przesłyszał. Nie musiało to znaczyć, że Akimos jest szalony, natomiast czyniło kupca jeszcze bardziej interesującą postacią.

— Tak, twoją magię — kontynuował Akimos. — Otrzymasz szczerą nagrodę, jeżeli wykorzystasz ją na usługi pewnej młodej damy, mojej przyjaciółki, srodze jej potrzebującej.

Słuchając relacji kupca o będącej skutkiem czarów niedoli dostojnej Liwii, Conan musiał kilkakrotnie tłumić śmiech, lecz gdy opowieść dobiegła kresu, przyszła mu do głowy nieproszona myśl.

— Zrobię dla tej damy, co będę mógł — powiedział zadowolony, że przynajmniej to było prawdą. — Jestem jednak nie tylko czarownikiem, lecz również kapitanem. Ci ludzie złożyli mi przysięgę na wierność. Nie pozostawię ich na łasce kogoś takiego jak tutejszy dowódca straży.

— Twoi starzy kompani mogą dotrzymać ci towarzystwa... — zaczął Akimos.

Conan pozwolił mu paplać przez chwilę, po czym wyjaśnił, ile wynosi suma, brakująca do pełnej

kaucji za pobyt w Argos. Twarz kupca natychmiast zszarzała. Na chwilę stracił mowę, lecz wkrótce ją odzyskał.

— Oczywiście, kapitanie. Nie wszyscy wrogowie Liwii mogą napaść ją za pomocą magii. Mogą jej być potrzebni także ludzie potrafiący posługiwać się bronią. Ilu ze swoich podwładnych chciałbyś zabrać?

— Wszystkich.

— Wszystkich?!

— Wszystkich, którzy nie zechcą wystąpić z kompanii, czyli co najmniej dwudziestu.

Akimos zamilkł, prowadząc w myślach intensywne obliczenia. Conan uśmiechnął się i poklepał kupca po ramieniu tak, że ten się zatoczył.

— Daj spokój, człowieku. Twojego pana stać było na sto drachm, więc jeszcze sto na pewno nie opróżni jego kufrow.

— Sto...?

— Na resztę kaucji, porządne ubrania i przyzwoite buty. Liwia nie podziękuje nam, jeżeli zjawimy się na jej progu, wyglądając jak kwiat aghrapurskiego żebractwa.

— Nieee... — odparł Akimos.

Nastąpiła kolejna runda targów. Na twarz Akimosa wrócił uśmiech. W końcu kupiec wrócił do konia, by wysupłać pieniądze z juków. Conan usiadł na pobliskiej kłodzie i trzykrotnie uderzył w nią pięścią. Z zagłębienia pod balem wynurzył się Shemita, otrzepując z ubrania piach i wióry.

— I co, Talouf?

— Cóż, kapitanie, gdybym przyglądał się temu na bazarze, zastanawiałbym się, gdzie ten mądrała ukradł to, co próbuje sprzedać.

— Pomyślałem dokładnie to samo, ale udanie czarnoksiężnika, by wstąpić na służbę jakiejś starej wiedźmy, to nie najgorszy sposób wyrwania się stąd. Przynajmniej spłacimy kaucję i dostaniemy się do Messancji. Co później? Cóż, wszak żywot najemnika wymaga szybkiego umysłu i pewnej ręki.

— Prawie tak samo jak złodzieja, nieprawdaż?

Conan podejrzewał, że Talouf czyni aluzję do swojej dawnej kariery, bynajmniej nie w regularnej armii. Pozbawianie bliźnich sakiewek i przyprawianie im rogów sprawiło, że na Shemicie ciążyły wyroki w niejednym kraju.

— Potrzebny nam goniec, który przekaże wieści ludziom w wiosce — powiedział Conan. — Kto jest najlepszy?

— Vandar.

— Nie będzie potrzebny Jarenzowi?

— Jego brat kuleje, ale może chodzić, Vandar zaś przejdzie teraz dla ciebie przez ogień.

— Talouf, kiedy ostatni raz komuś zaufałeś?

— W moje piąte... nie, czwarte urodziny.

Conan prychnął z niesmakiem i wstał.

— Zajmij się ludźmi, sierzancie. Zamierzam spytać naszego przyjaciela kupca, czy w odległości dnia drogi jest jakaś przyzwoita winiarnia.

## ROZDZIAŁ 4

Liwia leżała na brzuchu na sofce w komnacie łaziennej, a służące wcierały w jej skórę olejek nasycony vendhiańskim kadzidłem. Woń pachnidła przepelniała ciepłe, wilgotne powietrze w komnacie. Gdybyż dało się po prostu pogрузić we śnie i po obudzeniu stwierdzić, że wszystkie problemy należą do przeszłości...

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Reza?

— Pani, otrzymałem pilne wieści.

— Chwileczkę — usiadła i włożyła podaną przez służącą żółtą szatę. Spiesznie naciągnęła czepek na głowę i zawołała: — Wejdz!

Reza wszedł kocim krokiem zaskakującym u kogoś jego postury i wieku. Miał na sobie robocze ubranie, a jego oblicze pokrywał cień przypominający burzową chmurę.

Jedno spojrzenie na tę twarz wystarczyło. Pokojowe pierzchły, jakby w komnacie wybuchł pożar. Liwia żałowała, że godność nie pozwala jej na to samo. Skoro jednak było inaczej, odwlekanie chwili, w której przyjdzie jej wysłuchać złych wieści, było bezcelowe.

— Akimos chce nam wyświadczyć przysługę — powiedział posepnie Reza. — Tak przynajmniej twierdzi w swoim liście.

— Mogę?

Liwia wyciągnęła dłoń. Iranistańczyk podał jej zwój pergaminu.

— Widać, że nie spisał go skryba — powiedziała. — To bazgranina samego Akimosa.

Przeczytała szybko pismo, najpierw unosząc brwi, potem czując, że włosy na głowie zaczynają stawać jej dęba.

— Skąd wie o napaści? — szepnęła.

— Chcesz, żebym się tego dowiedział, pani?

— Na pewno od Doris, nie sądzisz?

— Być może.

— Jeżeli ją o to zapytamy, zorientuje się, że jesteśmy zaniepokojeni jej postępkami. Nie zamierzam sprawić jej tej przyjemności — potrząsnęła głową. — Poza tym może to Harfos nie potrafił utrzymać języka za zębami, nie ona — na widok grymasu Rezy, dającego do zrozumienia co zrobić z językiem młodego mężczyzny, Liwia ponownie potrząsnęła głową. — Cokolwiek zrobimy, przyprawimy go o wstyd przed matką. Nie sądzę, by na to zasługiwał.

— Wbił sobie do głowy, że jest ciebie godzien, pani! — wybuchnął Reza. — Atlantyda wynurzy się z morza, zanim tak się stanie!

— Kto wie, co może się stać, skoro do Argos wróciła magia? — rzekła Liwia, nie zdołała jednak powstrzymać uśmiechu na widok wzburzenia Rezy. Iranistańczyk nie miał dzieci. Po śmierci jej ojca i kuratora zaczął darzyć Liwie ojcowskimi uczuciami.

— Na pewno nie dojdzie do tego, by Harfos był ciebie godny — odparł z uporem Reza. — Być może zdany na własne siły, zdołałby wyjść na ludzi, ale czy jego matka wypuści go spod spódnicy za swojego żywota?

— Pewnie masz rację, wróćmy jednak do Akimosa — powiedziała Liwia. — Twierdzi, że śle nam czarnoksiężnika, który jest równocześnie kapitanem najemników, czy też kapitana, który para się magią, oraz dwudziestu jego żołnierzy. To nie żaden wioskowy zaklinacz, lecz człowiek, który zabił rzeczno smoka przy Wielkim Moście.

— W Messancji nie ma smoków, które mógłby uśmiercić — odrzekł Reza. — Nie podoba mi się, że podsyła nam zbieraninę obcych, choćby ich przywódca znał się na czarach.

— Skoro zostaliśmy zaatakowani za pomocą zaklęć, czarnoksiężnik powinien sobie z nimi poradzić — powiedziała Liwia. — Magowie są w Argos taką rzadkością, że nie możemy odrzucić jak zgniłą kapustę tego, który się nam trafia. Gdybyśmy musieli sprowadzić czarownika z Shemu czy Koth, zabrałoby to więcej czasu i rozniosłaby się wieść o tarapatach, w które wpadliśmy.

— To prawda — przyznał Reza. — W takim razie przyjmiemy tego kapitana, jak mu tam, Conana, do pałacu?

— Owszem, łącznie z paru jego ludźmi.

— Nie wszystkimi?

— Tylko tyłoma, ilu twoim zdaniem zdołałbyś pokonać wraz ze służącymi. Zadbamy również, by nie ostały się przed nami żadne ich sekrety.

— Aha — odparł Reza.

Jego twarz nabrała blasku, a nozdrza rozszerzyły się jak starej wojskowej szkapie na dochodzący z oddali dźwięk trąbki.

— Właśnie. Ufam, że znajdziesz sposób, by odkryć te tajemnice — uśmiechnęła się. — Jeżeli ci się nie uda, zacznę podejrzewać, że w Turanie byłeś zwykłym sierżantem, a może nawet obozowym ciurą.

Pieniądze Akimosa nie wystarczyły na zaopatrzenie całej kompanii Conana w konie. Najemnikom przyszło maszerować przez pięć dni, nim przed nimi na tle zatoki wyrosły białe mury Messancji.

Nie był to najłatwiejszy przemarsz z tych, które Conan miał za sobą. Wprawdzie drogi były doskonałe, pogoda również, lecz między górskim obozem i Messancją znajdowała się niejedna winiarnia. Prawdę mówiąc, przypadało ich kilka na każdy dzień marszu.

Każdego ranka Conan musiał włożyć wiele wysiłku, by zmusić ludzi do dalszej drogi, a przynajmniej do utrzymania się na nogach. Nim pokonali połowę odległości do Messancji, Cymmerianin nabrał ochoty pozwolić im spać się do nieprzytomności i samotnie przemierzyć resztę drogi.

Jedyną skazą w tym planie byli mieszkańcy Argos. Instynkt i poczynione spostrzeżenia podpowiadały Conanowi, że nie ma najmniejszych powodów, by im ufać. Jego ludziom słusznie lub nie, ale z pewnością bardzo szybko zarzucono by złamanie niejednego z argosańskich praw. Kompania Conana znalazłaby się wtedy w takim samym położeniu jak przedtem, a Akimos niewątpliwie zwróciłby się przeciwko nim za zlekceważenie jego wspaniałomyślnego gestu.

Ostatnia mila drogi do Messancji prowadziła z góry. Nawet z wyschniętym gardłem i bolącą głową można było utrzymać niezłe tempo. Pochód otwierał prowadzący muła Talouf, Conan zaś jechał na końcu na podłej szkapie, ledwie utrzymującej jego ciężar. Przez grzbiet muła przerzuconych było dwóch najemników, którzy tego ranka nie zdołali powstać na nogi.

Do kompanii podjechał konny patrol Gwardii. Żołnierze przyjrzeni się badawczo najemnikom, przeczytali list z pieczęcią Akimosa, który podał im Conan, po czym pozwolili im przejechać. Powtórzyło się to dwukrotnie, nim dotarli do Bramy Sadowej w murach miejskich Messancji. Gwardziści ze strażnicy ociągali się z wpuszczeniem kompanii do stolicy. Gdy w końcu to uczynili, było już grubo po południu.

— Niech zaraza weźmie te rozpieszczone bachory — mruknął Jarenz. — Ciekawe, co zrobiliby,

gdybyśmy wyciągnęli broń?

Conan miał ochotę roześmiać się. Niektórzy z gwardzistów wyglądali na wystarczająco starych, by być dziadkami Jarenza. Talouf wzruszył ramionami.

— Naliczyłem stu strażników tylko przy tej bramie — powiedział Shemita. — Założę się, że to, co by zrobili, nie poszłoby na zdrowie dwudziestce niezbyt trzeźwych najemników.

Mury Messancji prezentowały się wystarczająco okazale, by otrzeźwić najbardziej pijanego rozrabiakę. Wysokości pięciu dorosłych ludzi i szerokości trzech, były strzeżone przez gęsto rozstawionych na nich gwardzistów. Choćby ulice miasta były brukowane szczerym złotem, każdy, kto miał chociaż trochę oleju w głowie, musiał dwukrotnie zastanowić się przed próbą sforsowania bramy.

Wreszcie kompanii najemników wydano przepustkę. Był to arkusz pergaminu lepszego gatunku niż patent kapitański Conana w turańskiej armii. Nie udzielono im wskazówek, jak znaleźć drogę do pałacu Damaos, lecz jak mogliby zgubić się w mieście dwukrotnie mniejszym od Aghrapur?

Odpowiedź brzmiała: bardzo łatwo. Udało się im tego dokonać trzykrotnie. Ostatni raz kosztował ich utratę muła, okazało się bowiem, że zawędrowali do dzielnicy, w której między świtem i zmierzchem wolno było poruszać się wyłącznie pieszo.

— Zdaje mi się, że powinniśmy czym prędzej zwać z tego pozłacanego wychodka udającego miasto! — mruknął jeden z mężczyzn, zmuszony do marszu po konfiskacie muła. — Mesancjanie sprzątają łajno z ulic, ale potem wpychają je sobie między uszy.

Conan zaczynał już dochodzić do wniosku, że najemnik ma rację, gdy wreszcie dotarli do bramy w murze na tyle imponującym, iż mógłby chronić większość ophirskich miast. Za pozłacanymi kolcami na jego szczycie widać było kwitnące drzewa cytrynowe. Na jedwabnym sznurze wisiał spory dzwon, a obok na lince obity filcem młotek. Conan uderzył kilkakrotnie w dzwon tak mocno, że jego łoskot zdawał się odbić echem od pobliskich gór.

— Kto tam? — rozległ się głos z drugiej strony bramy.

— Kapitan Conan i jego kompania. Z woli wielmożnego Akimosa oddajemy się na usługi rodu Danaos.

— Pieczęć?

Nie było to pytanie, lecz komenda. Conan usłuchał, pokazując pergamin z imponującą pieczęcią z niebieskiego wosku. W chwilę później okuta żelazem drewniana brama uchyliła się na zewnątrz, tuż potem ze szmerem otworzyły się również wewnętrzne pozłacane wrota. Do domostwa z błękitnego i białego marmuru prowadziła prosta jak strzała ścieżka wysypana białym żwirem.

Domostwo? Raczej pałac, poprawił się Conan. Żaden z aghrapurskich możnowładców nie wzgardziłby taką rezydencją. Budowla niewiele ustępowała pałacowi króla Ophiru. Jednakże nigdzie indziej nie można byłoby spotkać takiej kobiety jak pani pałacu, która niebawem powitała

Cymmerianina i jego ludzi.

Liwia była bogata, Conan omylił się jednak zakładając, iż jest starą wiedźmą. Może stałaby się nią za czterdzieści lat; lecz powątpiewał w to. Przy odrobinie przychylności bogów zachowałyaby morski błękit oczu i gibką sylwetkę, a samo to wystarczało, by zawrócić mężczyznom w głowach. Obecnie młodsza od Conana Liwia była wystarczająco piękna, by zdobywać dla niej imperia.

Nad doskonale owalną twarzą wznosiły się włosy barwy dojrzałej pszenicy, upięte grzebieniami, z których każdy wart był fortunę. Biała szata z khitajskiego jedwabiu okrywała ją od gardła do kostek, lecz widać było wyraźnie napinające tkaninę zarysy piersi i ud.

Liwia wyciągnęła w stronę Conana kremowej barwy rękę o długich palcach, przyozdobioną wysadzaną rubinami złotą bransoletą, i przemówiła głosem, przypominającym szmer górskiego źródła:

— Witam w służbie rodu Damaos, kapitanie. Jestem Liwia. Mój majordomus Reza zajmie się twoimi ludźmi.

Dopiero teraz Conan zdał sobie sprawę, że Liwia ma cień: siwego, lecz niemal dorównującego mu wzrostem mężczyznę, sprawiającego wrażenie byłego żołnierza. Majordomus również ubrany był w białą szatę, jednak nie z jedwabiu, lecz doskonale utkanego lnu, z niebieską lamówką. Za ozdobiony muszelkami pas zatknięty miał zakrzywiony iranistański sztylet.

— Wasze nagłe przybycie sprawiło, że nie zdążyliśmy przygotować odpowiednich kwater — powiedział Reza. — Możemy przyjąć dziesięciu ludzi oraz ciebie, kapitanie. Reszcie wypłacimy sumę wystarczającą na wynajęcie pokoju w dobrym zajeździe niedaleko portu.

Najpierw podzielenie kompanii, a co później? W Conanie obudziła się podejrzliwość. Skrzyżował ramiona na piersi, by znajdowały się jak najdalej od rękojęści broni, po czym skłonił się.

— Skoro sobie tego życzysz, pani, jest to dla nas rozkazem, jednakże jeżeli masz namioty, moglibyśmy rozbić je w twoim ogrodzie.

— Z chęcią bym się zgodziła, lecz jeśli to zrobię, duch mojego ojca nie da mi spokoju, a ogrodnik rzuci się do morza — powiedziała Liwia. — Przykro mi. Dajcie nam trochę czasu, a przygotujemy dla was wszystkich kwatery lepsze od namiotów w ogrodzie.

Odwróciła się. Conanowi nie trzeba było tłumaczyć, że oznacza to zdecydowaną odmowę osoby, która wiedziała, czego chce. Spozstrzegł, że Reza przygląda się mu bacznie, jedynie sporadycznie rzucając szybkie spojrzenia na boki. Podążywszy wzrokiem tam, gdzie patrzył Reza, wypatrzył uzbrojonych ludzi, wyobrażających sobie, że są doskonale ukryci.

Pałac mógł okazać się pułapką, lecz ulice Messancji były nią na pewno. Na razie kompania najemników nie miała drogi odwrotu.

Conan wszakże zamierzał ją znaleźć. Nie uśmiechała mu się taka ewentualność, gdyby jednak



przyszło odzyskać wolność, rąbiąc mieczem służbę Liwii, nie cofnąłby się przed tym.

— Talouf — powiedział cicho — masz kogoś zaufanego, komu można by powierzyć nadzór nad ludźmi w zajeździe?

— Kigestes zaczyna wychodzić na ludzi, ale potrzebuję go do...

— Nawet w połowie nie tak, jak ja będę potrzebować ciebie, jeżeli przyjdzie nam zmagać się z węzami w ich legowisku.

— Wężami? — Talouf uśmiechnął się. — Ta młódka nie wygląda na żmiję, chociaż przyznam, że zmaganie z nią to kusząca...

— To nie temat do żartów — odrzekł Conan, chwyciwszy Taloufa za brodę i skręciwszy ją delikatnie w dłoniach. — Zapamiętaj to sobie i powtórz wszystkim, którzy mogą się zapamiętać.

— Tak, kapitanie — odpowiedział Talouf bez śladu skruchy.

— Więc dobrze. Kigestes przypilnuje ludzi w zajeździe, a ty i ja będziemy dowodzić stąd. Podzielimy kompanię przez losowanie.

Było to najuczciwsze wyjście, zważywszy, iż Conan nie miał pojęcia, którzy z jego ludzi, oprócz Taloufa, będą bardziej przydatni. Poza tym musiał zyskać lepszą orientację w sytuacji.

Zza ażurowych zasłon Liwia przyglądała się, jak dziesięciu wybranych do zakwaterowania w zajeździe ludzi wychodzi za bramę. Oddalający się bezładnie najemnicy wodzili dookoła wzrokiem, nie pozwalając, by ich dłonie zbłądziły daleko od wielokrotnie używanej broni. Kilku wszczęło rozmowy, lecz sierżant szybko ich uciszył.

Reza podszedł do swojej pani. To, że nie zapukał wchodząc do komnaty, świadczyło o jego zaniepokojeniu.

— Gdyby tylko żył twój ojciec, pani...

— Reza, ostatni raz, gdy to powiedziałam, odparłeś, że gdybanie to zguba dla rozsądku. — Liwia odwróciła się i uśmiechnęła.

— To prawda, pani. To samo odnosi się do dobrych żołnie — rzy. Wybacz mi, pani, nie chciałem cię urazić.

— Reza, dzięki bogom, nie wiedziałbyś, jak mnie obrazić, nawet gdybyś medytował na tym przez rok. Co myślisz o kapitanie Conanie? Prawdę mówiąc, spodziewałam się kogoś w twoim wieku.

— Najemnictwo to zajęcie dla młodych, pani. Ci, którzy się tym parają, w moim wieku grzeją stare gnaty przy kominku albo nie żyją.

— Nie jestem pewna, czy nie przyjdzie ci wrócić do tego rzemiosła, jeżeli Conan okaże się nieprzyjacielem rodu Danaos. Wygląda na kogoś, kogo trudno oszukać lub zabić.

— Myślę tak samo. — Reza pokiwał głową z kwaśną miną. — Mamy jednak do wyboru wcielenie w życie naszych zamiarów albo pozostawanie w nieświadomości, dopóki Conan nie postanowi objawić nam prawdy. Zrobi to swoim postępowaniem, wykonując rozkazy tego, kto go wynajął.

Mimo żaru popołudnia Liwia poczuła chłód. Nigdy dotąd nie musiała obawiać się, że zostanie zamordowana we własnym łóżu. Obecnie nie mogła spać spokojnym snem. Przynajmniej póki Reza nie spełni tego, co zamierzył...

## ROZDZIAŁ 5

Conan spacerował po ogrodzie pałacu Damaos. Założył pas z mieczem na lnianą tunikę argosańskiego kroju, a w ręku niósł długą jesionową tyczkę.

Co do tuniki, niektórzy najemnicy szydzili, że wygląda w niej zniewieściale, lecz Cymmerianin nie przejmował się tym. Był to strój wolnych obywateli Argos. Po spodniach od razu poznano by w nim barbarzyńcę. Tunika ułatwiała mu również noszenie broni i walkę. Conan niczego więcej nie wymagał od stroju, czy była to przepaska, zbroja, czy królewska szata.

Spacerując, nasłuchiwał, czy nie cichnie wołanie nocnego ptactwa i świergoczące odgłosy owadów. Coraz to wtykał w ziemię koniec tyczki.

Przed sobą miał niewielki trawnik, przystrzyżony tak dokładnie, jakby dokonał tego cyrulik. Conan pomyślał, że równa trawa wygląda nienaturalnie i przypomniał sobie ostrzeżenie Rezy. Kilkakrotnie szturchnął ziemię w tym miejscu. Za czwartym razem rozległ się trzask i stalowe paści zatrzasnęły się z silnym kłapnięciem na jesionowym drewnie.

Niewątpliwie Reza i jego podwładni znali się na swojej robocie. Nie była to jedyna sprytna zasadzka, mająca uniemożliwić niepożądanym gościom zakłócenie spokoju w pałacu. Conan był ciekaw, kiedy natknie się na następną.

Pomyślał, że powinien szybko dowiedzieć się więcej o życiu w Messancji, włącznie z jego ciemną stroną. Kiedy Liwia zobaczy, że taki z niego czarownik jak kapłan, będzie mógł w najlepszym razie liczyć na zwolnienie ze służby wraz ze swoimi ludźmi. Pani rodu Damaos potrzebowała dwudziestu zbrojnych tak samo jak zarazy...

Conan zdał sobie sprawę, że śpiew nocnego ptactwa ustał, jeszcze zanim zatrzasnęły się paści. Odskoczył szybko za najbliższe drzewo jednym płynnym ruchem i wyjrzał zza drzewa w stronę ogrodu.

Na murze pojawiła się ciemna sylwetka. Chwilę wcześniej widać było, jak na znajdujące się na jego

szczyt kolce narzucono pikowany kaftan bojowy. Conan zahukał jak ophirska czarna sowa. Już miał wydobyć miecz, kiedy ciemna postać odpowiedziała tak samo. W chwilę później Cymmerianin wprowadził najemnika imieniem Belgor za drzewo.

— Jak się czujecie w zajeździe?

— Och, to niezłe miejsce — szczupły mężczyzna o obciętych uszach zmarszczył brwi. — Dzisiaj po południu przyjechał Vandar. Do tego jakichś dwóch ludzi nie odstępuję zajazdu, jak uczezione powały nietoperze. Kigestes twierdzi, że byli w górach razem z tym, który podawał się za radcę.

Zatem pacholkiwie Akimosa obserwowali najemników Conana. Ciekawe, na co czekali.

— Próbowali zagadywać naszych ludzi?

— Nie przypominam sobie... nie, chwileczkę, kapitanie. Zeszłej nocy widziałem, jak jeden z nich rozmawiał z Dourasem.

— Czy Douras nadal sądzi, że powinien być sierżantem zamiast Kigestesa?

Belgor wykonał gest, świadczący o wstręcie przed donosicielstwem. Conan popatrzył na niego spod oka.

— Na Croma, człowieku, pytam tylko, czy Douras wciąż miele językiem tak samo jak na trakcie?

— No, nie będzie mi wdzięczny, jeżeli się wygadam...

— Będzie jeszcze gorzej, jeżeli mi nie powiesz.

— Tak.

Ten jeden wyraz najwyraźniej wyczerpał słownictwo Belgora, jednak wystarczył Conanowi. Wyglądało na to, że Akimos robi to samo, jak postąpiłby Cymmerianin na jego miejscu — szukał w kompanii malkontenta, by uczynić z niego szpiega.

Belgor nagle nabrał ochoty powiedzieć coś więcej, jednak Cymmerianin przerwał mu zdecydowanym gestem. Nocne ptaki nie tylko siedziały cicho. Wyostrzony słuch Conana podpowiedział mu, że niektóre z nich zrywają się do lotu.

— Wracaj już. Powiedz Kigestesowi, żeby uważał na Dourasa.

— Kapitanie?

— Włóż na mur, człowieku, albo cię przez niego przerzucę, tak że wylądujesz na pustym łbie. Czy obcięcie uszu pozbawiło cię również rozumu?

Belgor dosłyszał teraz to samo co Conan: kroki idących przez ogród ludzi. Zapewne chcieli zachowywać się cicho, lecz czynili to z równym powodzeniem jak vendhiańskie słonie. Belgor

pomknął do muru, wspiął się nań po spuszczonej poprzednio linie, wciągnął ją za sobą i zniknął po drugiej stronie.

Conan wyciągnął aquiloński sztylet. Miecz zostawił w pochwie. Zależało mu na zaskoczeniu intruzów, a najlepsze widoki na to miał w zaroślach, gdzie łatwiej było posługiwać się krótszą bronią. Znieruchomiał czekając, aż tamci znajdą się bliżej.

Podnóże drzewa nie było najlepszym miejscem na zasadzkę w ogrodzie, lecz skoro już się tu znalazł, zamarł, upodabniając się do głazu. Nieproszeni przybysze musieli przejść obok niego.

Czekanie dłużyło się. Od muru z tyłu posiadłości do pałacu było ponad dwieście kroków. Conan widywał w wielu krajach gospodarstwa o mniejszej powierzchni, pozwalające utrzymać się całym rodzinom.

Hałaśliwi przybysze znajdowali się coraz bliżej. Zdawało się, że zależy im, by ich usłyszano. Conan nie mógł się pozbyć tej myśli.

Pomysł powrotu do Ophiru wydawał się mu coraz bardziej pociągający. Najemnik wiedział tam przynajmniej, kim są jego wrogowie i jak z nimi walczyć. Conan wiedział też, jaki los czekałby go tam w razie przegranej, nie musiałby obawiać się niczego z wyjątkiem śmierci z bronią w ręku. W Argos natomiast sprawy miały taką naturę jak pudełka, które Cymmerianin widział w Khitaju: w każdym kolejnym tkwiło mniejsze, aż po otwarciu najmniejszego okazywało się, że jego zawartość jest szkatułką nie większą od ziarna grochu.

Nagle w ogrodzie zapanowała cisza. Conanowi przyszło wysilić słuch, by wyłowić odgłosy oddechów. Miał rację, poprzedni hałas miał na celu zmylenie strażników pałacu! Cóż, nadszedł czas nauczyć tych spryciarzy paru rzeczy, których nie wiedzieli o Cymmerianach i najemnikach.

Ani jeden liść nie drgnął, gdy Conan popełził ukradkiem do miejsca, skąd ostatnio słyszał odgłosy intruzów. Znajdowali się za różanym żywopłotem, lecz nie wiedział dokładnie gdzie. Zatoczył szeroki łuk wzdłuż jego skraju, by zająć ich od tyłu. Mimo panującej w ogrodzie ciemności widział wystarczająco dużo. Był gotów założyć się, że nikt z Argosańczyków nie jest obdarzony jego kocim wzrokiem.

Ledwie oddychając, ze sztyletem w dłoni pokonał ostatni odcinek wzdłuż krzewów róż. Na chwilę znieruchomiał rozplaszczony na wilgotnej trawie, by upewnić się, że nikt go nie zobaczył ani nie usłyszał, po czym ponownie zaczął się czołgać.

W tym momencie z prawej rozległ się odgłos kroków. Conan przetoczył się, dźgając w górę sztyletem z szybkością atakującego węża. Ciemna sylwetka, która nagle pojawiła się nad nim, wyciągnęła ku niemu puste dłonie.

Conan dojrzał je na chwilę przed tym, nim zaatakował. Zamiast ugodzić przeciwnika ostrzem, uderzył pięścią, wytłaczając mu powietrze z płuc. Mężczyzna, trzymając się za brzuch, zgiął się wpół i zatoczył się, tarasując drogę swojemu współnikowi.

Drugi z intruzów odskoczył w bok i rzucił się na Conana. Ominięcie towarzysza zabrało mu chwilę, lecz mogłoby go kosztować o wiele więcej, gdyby Cymmerianin nie dostrzegł, że przeciwnik również ma puste ręce. Conan przetoczył się na plecy, uniósł nogi i wierzgnął.

Drugi z napastników poszybował nad barbarzyńcą niczym nocny ptak. Obrócił się w powietrzu wystarczająco, by ochronić czaszkę i kark, lecz nie uniknął upadku w kępę róż. Z trzaskiem zwałił się w bujne, najeżone cierniami gałęzie.

Nocną ciszę rozdarł pełen bólu i wściekłości krzyk intruza. Zrywając się na równe nogi, Conan dojrzał, że na dachu pałacu, w pawilonach i kępach krzewów zapalają się ognie.

Ciernie róż uwięziły napastnika i tak go pokaleczyły, że nie stanowił już zagrożenia, jednakże pierwszy z intruzów dźwignął się z ziemi, gmerając przy pasie. Conan rąbnął go ponownie, tym razem w szczękę. Przeciwnik zatoczył się tak daleko, że wpadł do pobliskiej sadzawki, Conan chwycił go za stopę i wyciągnął z wody, po czym oparł się o najbliższy krzepki pień, przyłożył dłoń do ust i krzyknął:

— Hej, służba! Wstawać! Wstawać!!! To ja, kapitan Conan! Do ogrodu zakradli się złodzieje! Wstawać, słudzy rodu Damaos!!!

Usłyszał, jak jego wołanie odbija się echem od rezydencji i pałacowego muru. Schował sztylet i wyciągnął miecz, przygotowując się na odparcie ataku tych, którzy czaili się za zapalonymi światłami — ktokolwiek to był.

Po chwili, która wydawała się trwać pół nocy, Cymmerianin zdał sobie sprawę, że ludzie ze świecami nie zamierzają zbliżyć się do niego. Ujrzał ciemne sylwetki, pochylające się nad nieprzytomnymi napastnikami. Usłyszał stłumione szepty, po czym obydwie ofiary odciągnięto w ciemność. Conan miał wrażenie, że słyszy dalsze szepty, lecz nikogo nie dostrzegł. Zdawało się, że ci, którzy dzierżą świece, to zjawy czy demony, które zjawyły się po dusze pokonanych intruzów...

Po chwili w ogrodzie zapanowała niemalże nieziemską ciemność. Conan poczuł przechodzący po grzbiecie dreszcz. Wątpił, czy istotnie działo się coś nienaturalnego, lecz nie założyłby się, że tak nie było. Mimo szczerych wątpliwości podejrzewał, że istotnie wmanewrowano go w służbę w nawiedzonym przez czary pałacu, w kraju, którego mieszkańcy kochali się w zdradach i intrygach tak jak inni ludzie w winie.

Jeżeli tak było w istocie, niedługo powinien wiedzieć to na pewno, o ile tylko Talouf i towarzyszący mu najemnicy nie potracą głów i przypomną sobie instrukcje, które Conan wydał im poprzedniego wieczora...

Jedno ze światel na dachu pałacu zaczęło migotać. Trzy pozostałe nagle zgasły. Gdzieś w pobliżu rozległo się hukanie sowy.

Conan miał ochotę parsknąć śmiechem, lecz opanował się i odpowiedział podobnym hukaniem, po czym zawołał:

— Służba! Skończcie swoje sztuczki! Pokażcie się, zanim doliczę do dziesięciu, inaczej porachuję wam kości!

Znów rozległy się szepty, pozwalając Cymmerianinowi zorientować się, gdzie znajdują się dowcipnisie. Kilku z nich podniosło głosy na tyle, że Conan był w stanie rozróżnić słowa. Po chwili ktoś — niewykluczone, że Reza — powiedział surowym głosem jedno słowo, które wystarczyło, by uciszyć pozostałych.

Tym razem milczenie trwało dłużej, niż trzeba na wysączenie kufła piwa. Conan zaczął głośno liczyć. Doszedł do pięciu, nim usłyszał głos Iranistańczyka:

— Doskonale, Cymmerianinie...

— Kapitanie!

— Doskonale, kapitanie. Wychodzimy.

— Ze światłem w rękach i niczym więcej! Moi łucznicy mają strzały założone na cięciwy i z łatwością was trafią!

W teorii tak właśnie powinno być. Conan miał nadzieję, że Reza nie odważy się zaryzykować sprawdzenia jego prawdomówności.

I słusznie. Gdy wielki Iranistańczyk pojawił się na czele sześciu swoich ludzi, Conan zdał sobie sprawę, że choć majordomus mógłby być jego ojcem, wynik walki z nim nie był z góry przesądzony.

— Kapitanie — zaczął mówić Reza — powinieneś wyjaśnić...

— Nic podobnego! — przerwał mu gwałtownie Conan. — To ty powinieneś się wytłumaczyć, i to natychmiast, nie opuszczając niczego, włącznie z tym, dlaczego ryzykowałeś, że dwóch twoich ludzi postrada życie. Sam wiesz, że diabelnie mało do tego brakowało. Gdybym nie zorientował się w porę...

— Czy tylko językiem potrafisz poruszać z taką szybkością?! — krzyknął ktoś z tyłu.

Reza uciszył szydercą srogim spojrzeniem, lecz Conan usłyszał teraz, że ukryci w krzakach ludzie Taloufa gotują się do walki. Cymmerianin podszedł do Iranistańczyka i zatrzymał się przed nim tuż poza zasięgiem miecza.

Będąc tak blisko, mógłby wpaść między przeciwników, nim zdążyliby się poruszyć. Zapewniało mu to przewagę, jaką zawsze miał jeden człowiek w potyczce z grupą ludzi nie wyćwiczonych we wspólnej walce. Mimo gierki, w którą wciągnięto go tej nocy, gdyby zaraz miała polać się krew, nie on zadałby pierwszy cios.

Reza i jego ludzie cofnęli się przed zbliżającym się Cymmerianinem. Conan wodził wzrokiem po ich twarzach, starając się wyłowić tych, którzy mogli najszybciej dobyć mieczy lub sztyletów. Majordomus był uzbrojony w solidny kij. Sposób, w jaki go dzierzył, dowodził, że wiedział, jak się

nim posługiwać.

Służący rodu Damaos zaczęli otaczać Cymmerianina półkolem, odbierając mu przewagę. Conan osądził, że teraz nie ma już obowiązku zachowywać spokoju.

Nim do tego doszło, od strony pałacu rozległ się wyraźny, wysoki głosik:

— Reza! Kapitanie! Dość tego! Zachowajcie spokój, inaczej obydwaj tego pożałujecie!

Conan przysiągłby, że w słabym świetle świec dostrzegł, jak Iranistańczyk się rumieni. Cymmerianin schował miecz. Chwilę później w kręgu światła pojawiła się Liwia. Miała na sobie krótką białą tunikę, odsłaniającą do kolan zgrabne nogi, złocone sandały oraz rozpuszczone włosy. Jej niebieskie oczy miały zimny wyraz, lecz wchodząc między obydwóch zwałistych mężczyzn, uśmiechnęła się.

— Kapitanie, sądzę, że masz prawo oczekiwać od nas wyjaśnień co do tego, co działo się tu tej nocy.

— Oraz przeprosin by uspokoić moich ludzi — burknął Conan.

Reza odpowiedział mu srogim spojrzeniem, lecz Liwia ku zdumieniu obu wojowników ujęła ich za ręce.

— Dość tego, Reza. Kapitanie, wysłuchaj nas, a jeżeli stwierdzisz, że potrzebne są przeprosiny, otrzymasz je. Chcę jednak, byś nas najpierw wysłuchał.

Conan pomyślał, że od przybycia do Argos nie robi nic innego, tylko słucha. Miał jednak wrażenie, że Liwia może powiedzieć mu nieco więcej niż inni.

— Co zrobiłem?! — wykrzyknął Akimos. — Kto naplótł ci takich bredni?!

Jego zapewnienia o niewinności nie spotkały się ze zrozumieniem. Skiron odpowiedział surowym spojrzeniem.

— Rozporządzam niedostępnymi zwykłym śmiertelnikom sposobami dowiadywania się tego, czego zechcę.

— Zdaje się, że potrafisz również wymyślać rzeczy, o których nikt nie wie z tego prostego powodu, że to nieprawda.

— Zaprzeczasz, że wysłałeś do pałacu rodu Damaos czarnoksiężnika, który raczej zostanie moim przeciwnikiem, niż stanie po mojej stronie?

Akimos roześmiał się.

— Skironie, czy dowiedziałeś się tego dzięki swoim „sposobom”, czy też winu?

— Nie zniosę obrażenia mnie!

— Skoro tak, na pewno znajdziesz sposób na przeżycie reszty swych lat bez mojego wsparcia.

— Istotnie, za powiadomienie archontów otrzymam sowitą zapłatę...

— Co im powiesz? Jak sądzisz, czy uwierzą w choć jedno twoje słowo, gdy ja doniosę, że parasz się zakazaną magią?

Obydwaj utkwili w sobie wrogie spojrzenia z przeciwnych końców stołu w pałacu Akimosa. Przypominali w tej chwili górskie kozły na wąskim moście, które chociaż miałyby ochotę walczyć, wiedziały, że oznaczało runięcie do przepaści.

Czarnoksiężnik pierwszy opuścił wzrok. Poczucie wygranej sprawiło, że Akimos hojnie nalał Skironowi wina i podsunął mu półmisek z serem i pasztetem.

— Daj spokój, przyjacielu. Jesteś wyczerpany ciężką pracą, by wprowadzać w życie nasze plany. Nie dobijaj się obawami przed tym, co istnieje wyłącznie w twojej wyobraźni. Napij się, to powiem ci prawdę.

— Czyli tyle, ile uważasz za stosowne — mruknął Skiron, lecz sięgnął po ser.

Akimos opowiedział mu o planie wprowadzenia wdzięcznych mu ludzi do pałacu Damaos. W miarę jak mówił, na twarzy jedzącego czarnoksiężnika wyraz znużenia ustępował miejsca ożywieniu. W końcu Skiron pokiwał głową.

— Możemy zaufać wdzięczności Cymmerianina?

— W takim stopniu, w jakim jest nam to potrzebne. Co do reszty, jeszcze nie spotkałem Cymmerianina, potrafiącego znaleźć nocnik, gdy odczuwa potrzebę. Conanowi nigdy nie przyjdzie do głowy zadać sobie pytanie, jakie są nasze prawdziwe plany.

Skiron machnął z obrzydzeniem ręką.

— W takim razie dlaczego uparłeś się, żeby twoi ludzie byli przebrani?

— Jesteś zbyt wyczerpany?

Skiron popatrzył na niego srogo.

— Jestem wystarczająco silny...

— Nie chcę cię obrazić, Skironie, ale jeżeli brakuje ci sił...

— Mogę z łatwością nadać niby-twarze sześciu ludziom. Na więcej pewnie nie będziemy mieli czasu.



— Wystarczy. Jestem pewny, że ród Lokhri od dawna wynajmuje nożowników z ulicy do załatwiania swoich spraw. Tym razem będą im przewodzić nasi ludzie. Czy niby—twarze, które wybrałeś, należą do służących rodu Lokhri?

— Przypomnij sobie, ile razy jeździłem z tobą do pałacu Doris i wysłuchiwałem tej krowy udającej byka i jej cielęcego synalka!

— Nie wątpię, że więcej, niż miałbyś ochotę.

— Bogowie mi świadkiem, że to prawda! — zapewnił Skiron i upił łyk wina. — Nie potrzebuję pojawiać się tam więcej. Daj mi dwa dni, powiedz, ilu i jak uzbrojonych ludzi zamierzasz wysłać, a będę mógł zabrać się do roboty.

Przebranie napastników za sługi rodu Lokhri powinno wywołać spore zamieszanie, które powiększyłby jeszcze fakt, iż to kapitan Conan wpuściłby ich do pałacu Damaos...

Cymmerianin siedział przy małym hebanowym stoliku w garderobie Liwii. Reza stał, a właściwie sterczał w wejściu, pani pałacu zaś na poły leżała na sofie, wykładanej kością morsa. Zdążyła przebrać się w błękitną szatę, odsłaniającą jedno ramię i zgrabne stopy.

Barbarzyńca upił łyk wina przysłuchując się Rezie, kończącemu relację, o tym jak jego ludzie zastawili pułapkę na Cymmerianina, by przekonać się, po czyjej jest stronie. Gdyby ich zabił, wówczas najrozsądniej byłoby wyrzucić go wraz z pozostałymi najemnikami, stanowiłoby to bowiem dowód, że służy innemu panu.

Conan słuchał tłumaczeń Iranistańczyka, czując, jak zawodzi go cierpliwość. Pomagało mu trochę wino, w porównaniu z którym prawie każdy trunek, jakiego dotąd skosztował, wydawał się octem. Kiedy Reza przerwał, by napełnić od nowa jego kielich, Conan zdał sobie sprawę, że to już czwarty z kolei, mimo to myślał tak jasno, jak gdyby pił słabe jęczmienne piwo. Uniósł kielich, osuszył go paroma łykami i rąbnął nim w stolik tak głośno, że Reza umilkł.

— Dosyć! — powiedział Conan. — Przyjmuję wszystkie przeprosiny, które wypowiedziałeś i których nie wypowiedziałeś, chociaż sędzę, że tylko straciliśmy czas.

— Ależ kapitanie... — odezwał się Reza mimo ostrzegawczego spojrzenia swojej pani.

— Reza, teraz ty mnie posłuchaj, inaczej zabiorę swoich ludzi z pałacu. Nie wiem, gdzie się podziejemy i nie dbam o to, byle tylko się stąd wydostać — zaczerpnął głęboko tchu i kontynuował spokojnie, chociaż miał ochotę grzmieć: — Dlaczego sądzisz, że sposób, w jaki walczyłem z twoimi ludźmi, świadczy o czymkolwiek? Myślisz, że jestem osłem, który rusza do przodu za każdym razem, kiedy się smagnie go batem?

Słowa Conana odebrały Rezie mowę, lecz Liwia najwyraźniej była ulepiona z innej gliny.

— Kapitanie, istotnie zaszła omyłka, ale to moja wina. Myślałam... wybac mi, ale myślałam, że

jako Cymmerianin...

— Myślałaś, że pochodzenie czyni ze mnie osła, pani? Sądzę, że Akimos również jest o tym przekonany.

Liwia skinęła głową, po czym na jej pełnych ustach pojawił się lekki uśmiech.

— Kapitanie, ten kielich był ślubnym prezentem mojej matki.

Conan opuścił wzrok. Nieświadomie zgniótł w dłoni inkrustowane turkusami srebrne naczynie tak, że przypominało ostrzygę.

— Cóż, oto moja rada, pani. Nie sądz, że Cymmerianin jest głupi, dopóki tego nie udowodni. Inaczej on może nabyć takiego zdania o tobie, a w mojej ojczyźnie głupców wyrzuca się na pastwę wilków i zamieci.

Liwia przełknęła ślinę i kiwnęła głową, po czym uśmiechnęła się ponownie.

— Zapamiętam. Musisz jednak wiedzieć, że w Argos znamy przede wszystkim cudzoziemców, którzy są kupcami, a niewielu takich trafia do nas z Cymmerii.

— W takim razie nie słuchaj opinii innych, lecz kieruj się własnymi oczami i uszami.

— Dobrze — odparła Liwia. — Zważ jednak, gdzie byłbyś wraz ze swoimi ludźmi, gdyby tak właśnie postąpił Akimos?

Conan zbyt rozgniewany, by się uśmiechnąć, pokiwał głową i rzekł:

— Powiedzmy, że walka tej nocy była uczciwa. Nikomu nic się nie stało. Mógłbym dostać jeszcze trochę wina... i drugi kielich?

— Kapitanie, jest już późno... — zaczął Reza.

— Do diaska, już prawie świta, ale nie zamierzam zasnąć, dopóki nie uradzimy, jak poradzić sobie z Akimosem — burknął Conan. — Ani ja, ani żaden z moich ludzi nie będzie wypełniał woli człowieka, który ma nas za głupców!

Gdyby wcześniej nie zgniótł kielicha, stałoby się to w tej chwili.

Liwia podała Conanowi drugi, tym razem ze zwykłej cyny, i własnoręcznie nalała mu wina, po czym usiadła. Jej szata rozchyliła się odsłaniając nogę do kolana, które było równie zgrabne jak cała reszta, jaką dotąd widział Conan.

— Sądzę, że chciałbyś ściągnąć najemników z zajazdu... — powiedziała, lecz Cymmerianin i Iranistańczyk równocześnie potrząsnęli głowami.

— Ilu ludzi może wysłać przeciwko nam Akimos, założywszy, że ufa stali bardziej niż czarom? —

zapytał Conan.

— Nie więcej niż sześćdziesięciu — odparła Liwia.

— W takim razie moich dziesięciu i piętnastu Rezy powinno pokonać każdą mniejszą ich liczbę — rzekł Conan. — Na naszą korzyść działa to, że się bronimy, znamy ten dom i nie dopuścimy, byśmy zostali zaskoczeni.

— Conanie, mówisz jak kapitan Khadjar — powiedział Reza.

— Służyłem u niego prawie rok — odparł Conan.

Twarz Rezy wydłużyła się i spłoszyła.

— Kto to jest kapitan Khadjar? — zapytała Liwia.

Reza zaczął rozwlekłe opisywać turańskiego dowódcę, który swego czasu wpoił Conanowi pokąźną wiedzę, dotyczącą sposobu prowadzenia walki przez cywilizowane narody. Zniecierpliwiona Liwia wkrótce przerwała mu uniesieniem dłoni.

— Przyznaję, że to pewnie największy wódz od czasów Kulla z Atlantydy — powiedziała z uśmiechem. — Dziękuję też wszystkim bogom, że zjawił się u nas jego wychowanek. Myślę, że jesteś tego samego zdania? — zwróciła się do Rezy.

— Pani...

— Dostyc, jak przed chwilą powiedział kapitan Conan. Jak możemy obronić pałac przed czarami?

Conan nareszcie zdołał się roześmiać.

— Pani, potrafię władać bronią, jak powiedziałem Akimosowi. Umiem posługiwać się każdym jej rodzajem, który jest dziełem rąk ludzkich. Niewielu ludzi może przeżyć starcie ze mną, ale co do zakłęk, to nie potrafiłbym rzucić choćby jednego, nawet gdyby groziło nam, że Messancję pochłonie zaraz Ocean Zachodni — jego uśmiech zgasł. — Nie spotkałem jeszcze czarnoksiężnika, który nie zrujnowałby wszystkiego, czego się tknął, i siebie na dodatek. To łajno, a ich miejsce jest na stercie nieczystości.

— Będę się modliła, byśmy zdołali pozbyć się czarnoksiężnika Akimosa, nie wątpię bowiem, że to jego sprawka — powiedziała Liwia. — Wracając do twoich ludzi: czy obawiasz się, że ściągnięcie ich wszystkich pod mój dach ostrzeże Akimosa?

Conan przytaknął i popatrzył na młodą kobietę z uznaniem.

Nie uczył jej Khadjar, lecz mimo to miała głowę do bojowego rzemiosła.

— Zaskoczenie pozwoli nam nie tylko odeprzeć przeciwników, lecz i wziąć jeńców. Nie wiem, co archonci myślą o tego rodzaju rozgrywkach, ale założę się, że Akimosowi nie spodoba się, gdy jego

ludzie wyśpiewają wszystko na torturach.

Naradę zakończono ustaleniem, że odtąd na dachu pałacu będzie stale pełnił straż godny zaufania człowiek, drugi zaś będzie czuwał na dachu zajazdu, skąd można było dostrzec dawane z pałacu sygnały. Na dany znak, najemnicy z zajazdu mieli natychmiast zjawić się w pałacu.

## ROZDZIAŁ 6

Po raz kolejny Conan przemierzał nocą ogród pałacu Damaos. Znajdował się w pobliżu miejsca udawanej walki, w którą wciągnięto go dwie noce wcześniej, lecz teraz był odziany i uzbrojony zupełnie inaczej. Pod tuniką miał kolczugę, a oprócz miecza przy pasie, w dłoni dzierżył maczugę.

Tym razem nie niósł tyczki do wyszukiwania pułapek. Wcześniej doradził, by się ich pozbyć, co nie spotkało się z zadowoleniem Rezy. Iranistańczyk w pierwszej chwili wyglądał jak ktoś, komu zaproponowano utopienie własnych dzieci.

— Chcę, by ktokolwiek nadchodzący od strony ogrodu mógł zbliżyć się do pałacu, zanim zostanie ogłoszony alarm — wyjaśnił Conan, starając się nie używać tonu, jakim napominało się dzieci i kobiety, przynajmniej takie, które miały mniej rozumu od Liwii.

— W takim razie napastnikom łatwiej będzie dostać się do środka — sprzeciwił się Reza.

— I trudniej wydostać — odparł Conan. — Będą musieli pokonać gładki jak stół trawnik, podczas gdy na dachu stać będą moi łucznicy i twoi ludzie z zapalonymi pochodniami.

— Myślę, że ryzyko się opłaci — powiedziała Liwia.

— Niech zawiodą mnie miecz i męstwo, jeżeli będzie inaczej — rzekł Conan. — Ktokolwiek się zjawi, nie chcemy go tylko przepędzić. Zjemy ich na przekąskę i wyplujemy kości ich panu w twarz.

Reza spojrział posepnie na Cymmerianina. Nie podobał się mu język, jakiego Conan używał w obecności głowy rodu Damaos. Iranistańczyk żywił przekonanie, że mimo ostatnich wydarzeń Liwia zachowała dziewczęcą niewinność i należy chronić jej uszy przed żołnierskimi określeniami. Lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego pani stwierdziła:

— Istotnie, nie chcę, byśmy uwikłali się w długą, wyczerpującą wojnę. W przeciwnym razie nie znajdę wielu kandydatów do mojej ręki, z wyjątkiem tych, którzy zechcą mnie ochronić, żądając ceny, której nie chcę zapłacić.

Conan słyszał już o konkurentach do ręki Liwii. W tym jednym zgadzał się z Rezą, że żaden z nich nie był jej wart. Ród Damaos nie ucierpiałby, gdyby przez pewien czas przyszło im siedzieć w domach.

— Sama wiesz najlepiej, ile jesteś warta, pani — powiedział. — Ja jestem prostym żołnierzem i

wiem, że przestraszony nieprzyjaciel zazwyczaj zaczyna popełniać głupstwa. Wiem również, że najlepiej byłoby, by żaden z moich ludzi nie wpadł w rozstawione w ogrodzie pułapki.

— Twoi ludzie nauczyli się już po nim poruszać — mruknął kwaśno Reza.

— Niektórzy tak, niektórzy nie — odparł Conan. — Ci, którzy mieszkają w zajeździe, na pewno nie. Poza tym, jeżeli w pałacu jest szpieg... — Reza kaszlnął, lecz Liwia uciszyła go gestem dłoni — ... przekaże wiadomość o zdjęciu paści. Myśląc, że w ogrodzie jest bezpiecznie, napastnicy przeleżą przez mur i podejną prosto pod pałac, z którego dachu nasi ludzie będą mogli na nich nasikać.

Liwia uśmiechnęła się, zachichotała i wreszcie roześmiała głośno.

— Szkoda, że to niemożliwe — powiedziała w końcu. — Wyobrażacie sobie, co powiedzieliby ci biedni głupcy po powrocie do swojego pana? O ile by się na to odważyli, a nie uciekli do Kush i zmienili imiona.

— Cóż, Conanie, po raz kolejny przekonuję się, jak dobrze wykształcił cię kapitan Khadjar. — Reza uśmiechnął się w końcu.

— Nie dzielmy skóry na nie upolowanym niedźwiedziu — odparł Cymmermanin.

Z dachu pałacu rozległo się hukanie sowy. Conan pośpieszył cicho jak polujący tygrys do miejsca, w którym umówił się na spotkanie z gośćmi. Gdy oparł się o pień drzewa, podbiegł do niego Vandar.

— Z dachu widać uzbrojonych ludzi.

— Mają jakieś godła?

W większości miast, w nocy trudno było odróżnić ludzi od małp, a co dopiero mówić o ustaleniu godła, lecz w Messancji, przynajmniej w bogatych dzielnicach, latarnie rzucały tyle światła, że można było odczytać napisy na monetach.

— Żadnych, lecz słudzy z pałacu twierdzą, że wyglądają na gwardzistów.

— Niech z nimi Erlik tańczy!

— Przy bramie jest Reza. — Vandar wzruszył ramionami. — Jeżeli wyczuje coś trefnego...

W tym momencie noc rozdarł przenikliwy krzyk, dochodzący z pałacu. Conan i Vandar obrócili się, równocześnie wyszarpując miecze. Krzyk rozległ się ponownie, a pierwszemu wołaniu zawtórował ktoś w innej części pałacu.

Kapitan i jego podwładny pobiegli w stronę rezydencji. Conan przystanął, by wydać z siebie zew polującego lamparta — znak dla strażnika z latarnią na dachu. Zrównawszy się z Vandarem ujrzał, że latarnia zaczęła mrugać. Jeżeli tylko wartownik w zajeździe był trzeźwy, jak powinien...

Z krzewów wybiegła kobieta odziana w nocną koszulę. Mimo szeroko otwartych oczu sprawiała wrażenie niewidzącej. Conan zagroził jej drogę masywnym ramieniem. Kobieta odbiła się od niego, jak gdyby uderzyła w gruby dębowy konar, po czym upadła ze szlochem na ziemię. Vandar przyklęknął i krzyknął jej do ucha:

— Co się stało, głupia krowo?! Odpowiadaj albo...

Conan chwycił młodzieńca za kołnierz i dźwignął go z trawy, po czym zrobił to samo z kobietą, podtrzymując ją za ramię.— Co się dzieje w pałacu? — zapytał łagodnie.

Kobieta rozdziawiła usta, a następnie potrząsnęła głową jak koń, którego obsiadły muchy.

— Znowu czary! Och, myślałam, że już się nie powtórzą, ale zaczęły się od nowa, gorsze niż przedtem! Ach, panie, jeżeli znasz jakieś zaklęcia, żeby nas obronić...

Conan przełożył miecz do lewej ręki, chwycił kobietę w pasie i podniósł ją. Gdy to czynił, jej koszula, która zaczepiła się o krzew, rozdarła się...

W ten sposób Liwia, gdy wyszła na pałacowe schody, ujrzała Cymmerianina z mieczem w dłoni i z nagą kobietą pod i pachą. Dziedziczka rodu Damaos miała na sobie wyłącznie nocną koszulę. Była blada jak prześcieradło, lecz zdołała uśmiechnąć się na widok Conana.

— Kapitanie, miałam nadzieję, że uda ci się utrzymać ręce z dala od moich służących.

— Nie wtedy, kiedy przybiegają do mnie z krzykiem, że w pałacu dzieją się czary. Czyżby twój znajomy czarnoksiężnik znów zabrał się do dzieła?

Liwia pokiwała głową.

— Pękają garnki, wino leje się z dzbanów, coś błyska, trzeszczy i śmierdzi. Na razie dzieje się tak tylko w piwnicy. Kazałam opuścić ją wszystkim...

— Na bogów, kobieto, tego właśnie chcą nasi wrogowie! — zagrzemiał Conan.

Bezceremonialnie upuścił służącą na trawę i wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Vandar popędził tuż za nim.

— Którędy do piwnic?! — ryknął Conan.

Któryś ze sług wskazał mu drogę drżącą dłonią.

— Tędy, ale tam są demony...

— A żeby cię porwały! — krzyknął Vandar. — To sztuczki dobre dla dzieci. Nie zagradzaj drogi prawdziwym mężczyznom! Złapiemy tego zaklinacza!

Conan był zadowolony, że Vandar wierzy w to, co mówi, lecz mimo to stawienie czoła magii nie

było przyjemną sprawą. Gdy Cymmerianin stanął przed ciemnymi schodami, na chwilę serce ścisnęła mu zimna dłoń strachu. Puściła, gdy zaczął zbiegać w dół. Za nim podążył Vandar i czterech pałacowych strażników. Dwóch z nich niosło pochodnie.

Okazało się, że nie były potrzebne. Magiczne światło w piwnicy było wystarczająco jasne. Zmieniało barwę z różowej na karmazynową, z karmazynowej na turkusową, z turkusowej na szmaragdową. Rozbłyskiwało w nieregularnych odstępach, zdawało się tańczyć po wszystkich metalowych sprzętach oraz okuciach beczek. Zniekształcało odległości i obraz przedmiotów, lecz również ukazywało przeszkody pod nogami. Conan i towarzyszący mu ludzie szli nie zwalniając kroku.

— Gdzie jest wejście do katakumb? — szepnął do najbliższego służącego.

Mężczyzna zacisnął obydwie dłonie na mieczu, zamachnął się nim usiłując przepędzić wielobarwne płomyki i nie odpowiedział. Uczynił to za niego strażnik z pochodnią, który zamykał pochód.

— Nie słyszałem nigdy, by coś takiego znajdowało się w pałacu.

— To prawda — powiedział trzeci mężczyzna z pochodnią. — Słyszałem jednak, że z północno-zachodniego rogu piwnicy z winami dochodzą czasami powiewy i zapachy, a nawet szmery.

Conan podziękował w myślach bogom, że ktoś wreszcie okazał się mieć trochę rozumu. Powiódł pozostałych w stronę piwnicy z winami. Okazało się, że jest zalana po kostki trunkiem z pękniętych beczek i dzbanów. Conan zatrzymał się na progu i zanurzył miecz w winie.

Czyniąc to zauważył, że w przeciwległym rogu piwnicy tafla cieczy się marszczy. Poczul dobiegający z tej strony powiew. Conan znieruchomiał, a potem gwałtownymi ruchami dał znak do odwrotu. Kiedy zaczęli się cofać, piwnicę wypełnił łoskot i zgrzyt żelaza ciągniętego po kamieniu. Hałas narastał, aż posadzka zadudniła im pod stopami. Nagle magiczne światła zgasły. To samo stało się z pochodniami, niesionymi przez służących.

Conan przylgnął do najbliższego filaru. Spostrzegł, że część piwnicznego muru odchyła się tworząc wąską szczelinę. Poczuli przeciskać się przez nią jacyś ludzie — przeważnie obszarpani, niektórzy półnadzy, lecz wszyscy dzierżyli obnażone ostrza.

Towarzysze Conana zorientowali się, co się dzieje, dopiero gdy do piwnicy dostało się tuzin przeciwników. Dzięki bogom, służący wykazali tyle rozumu, że zachowywali się cicho. Poszturchując mieczem Conan nakazał im wycofanie się na schody. Nim wszyscy opuścili piwnicę, znajdowało się w niej już ze dwudziestu intruzów.

Conan namacał krzesiwo i sztylet przy pasie, po czym wzrokiem zmierzył odległość. Miał nadzieję, że nie myliła go pamięć. Żałował, że nieproszonym gościom wędrówka tunelami pod miastem nie zabrała więcej czasu.

Intruzi ruszyli do działania w chwili, gdy Conan dotarł do upatrzonej beczki. Cymmerianin chwycił ją za brzeg, przetoczył po stopie i odszpuntował kopniakiem. Zrobił to tak mocno, że nie tylko wypadł czop, lecz beczka zaczęła przeciekać w tuzinie miejsc.

Łoskot kopnięcia sprawił, że napastnicy znieruchomieli. Rozglądali się dookoła, starając się ustalić kierunek i odległość, z którego dochodził. Nikt z nich nie był obdarzony kocim wzrokiem Conana, dlatego żaden nie zauważył, jak Cymmerianin odwrócił się, by osłonić ciałem krzesiwo, podpalił kawałek drewna i rzucił go na ogniste wino wylewające się z pękniętej beczki.

Ogniste wino nie nadawało się do transportu, dlatego też niewielu poza Argos o nim słyszało, a jeszcze mniej go zakosztowało. Po pierwszym łyku Conan zdecydował zostawić je Argosańczykom, jednak mimo iż cechował je podły smak, miało cechę, niezmiernie w tej chwili przydatną Cymmerianinowi; w zetknięciu z ogniem paliło się jak roztopiona smoła.

Rozlane przez Conana ogniste wino przemieszane ze zwykłym powoli zajęło się błękitnym płomieniem. Wstrzymawszy oddech, Conan zastanawiał się, czy zwykłe wino nie uniemożliwi mu zapalenia się.

W końcu po podłodze piwnicy rozprzestrzeniły się błękitne błędne ogniki. Powoli, lecz w równym tempie posuwały się w stronę intruzów, wzbijając się coraz wyżej.

Przybysze nie czekali biernie, aż ogień ich dosięgnie. Wrzeszcząc i rozpychając się, rzucili się do szczeliny w ścianie i wejścia do piwnicy. Conan osądził, że nie wymierzywszy ani jednego ciosu, odebrał chęć do walki połowie napastników. Pozostali byli ulepieni z solidniejszej gliny lub może bali się czegoś innego bardziej niż płomieni ognistego wina. Stłoczywszy się, pobrnęli przez pożar, rozchlapując wino i dodając sobie otuchy przekleństwami.

W chwilę później otoczyli Conana. Cymmerianin oparł się plecami o najbliższą ścianę i puścił miecz w ruch. Żaden z przeciwników nie wykazywał zbytej zręczności w posługiwaniu się bronią; być może wynikało to z faktu, że rzucili się hurmem do ataku. Conan błyskawicznie uśmiercił trzech z nich, a dwóm kolejnym zadał rany, uniemożliwiające im dalszą walkę.

Pięciu pozostałych wystarczyło jednak, by Cymmerianin został zmuszony do wykorzystywania całej pełni szermierczego kunsztu. Tkał przed sobą stalową zasłonę, dochodząc do wniosku, że być może zbyt pośpiesznie odesłał swoich towarzyszy.

Słyszał wykrzykiwane przez przeciwników bojowe okrzyki. Brzmiały: „Naprzód! Zawsze do boju” — tak jak hasło rodu Lokhri.

Dlaczego właśnie ten ród urządził przeciw Liwii zbrojną wyprawę, skoro jego potomek starał się o rękę dziewczyny? Brakowało w tym sensu, chociaż Conan w ciągu dwudziestu trzech lat swojego życia napatrzył się na więcej szaleństw niż wielu dwakroć starszych od niego ludzi.

Jedynym możliwym wytłumaczeniem było, że Liwię chciano porwać. Być może tak właśnie było. Skoro tak, Cymmerianin musiał jak najszybciej pokonać przeciwników w piwnicy lub zamknąć ich w niej, by sprawdzić, co dzieje się gdzie indziej. Nie miał wątpliwości, że na pewno byłby tam przydatny.

W chwilę później jednak okazało się, że zamiast zwycięzcą, Conan może zostać zwyciężonym. Przywódca napastników przypuścił gwałtowny atak, którym przyparł Cymmerianina do ściany. Udało



się mu chwycić prawą rękę Conana w dłoń w rękawicy z żelaznych ogniw i wykręcić ją.

Cymmerianin zamachnął się. Przeciwnik poleciał w tył, przewracając jednego ze swoich kompanów. Głowa przywódcy z głuchym łoskotem uderzyła w filar i ogłuszony intruz osunął się po kolumnie na rozciągniętego w winie towarzysza.

Lecz atak przywódcy sprawił, że Conan na chwilę rozluźnił uścisk dłoni na rękojeści miecza. Wystarczyło to, by kolejny przeciwnik ciosem zakrzywionej szabli wytrącił mu broń z ręki.

W następnej chwili pozostali napastnicy przekonali się, że bezbronny Cymmerianin nie jest bynajmniej bezradny. Klepką, która nawinęła się mu pod rękę, zgruchotał kolano jednemu z nich, a dwaj pozostali podali tyły.

Conan zyskał czas na chwycenie beczki z winem. Gdyby była pełna, nawet on nie zdołałby jej unieść, lecz czary sprawiły, że była niemal pusta. Cymmerianin dźwignął ją nad głowę i cisnął. Okazała się wystarczająco ciężka, by powalić uciekających przeciwników na zalaną winem posadzkę. Utonęli, nie mogąc się spod niej wydostać.

Conan uklęknął w winie, nie wypuszczając sztyletu w dłoni. Wolną ręką zdołał namacać rękojeść miecza. Schowawszy broń, rozbił kilka następnych beczek. W dwóch było zwykłe wino, w jednej — ogniste.

Ogniste wino podsyciło płomienie, a zwykłe — podniosło poziom, do którego była zalana piwnica. Conan przyglądał się, jak ciecz przelewa się przez próg tajemnego przejścia i z chlupotem stacza się na drugą stronę. W chwilę później dobiegły go stamtąd chóralne okrzyki.

Wcześniej zastanawiał się nad sposobem zamknięcia przejścia, by uniemożliwić kolejnym napastnikom dostanie się do piwnicy, lecz wyręczyło go w tym płonące wino.

Ruszył do wyjścia. Było na tyle widno, że wyraźnie widział twarz nieprzytomnego przywódcy intruzów. Było w niej coś niesamowitego...

Conan przysięgłby, że człowiek, z którym walczył, miał spłowiałe, jasne włosy, a jego blada twarz była usiana piegami. Podejrzewał, że jest to Bossończyk, Aquilończyk lub Vanr. Obecnie jednak oblicze i włosy trupa pociemniały, lecz nie za sprawą dymu czy ognia. Jego skóra była niemal tak ciemna jak u Kushyty.

Cymmerianin powiedział sobie, że to tylko sztuczka światła i że ma ważniejsze sprawy na głowie, jednakże świadomość, że pałac stał się miejscem działania nieznanymi czarów, sprawiła, że wychodząc z piwnicy nie spuszczał dłoni z rękojeści miecza. Pierwszym towarzyszem, którego napotkał, był Vandar.

— Zamknęliśmy wejścia do pozostałych piwnic — powiedział najemnik. — Jeżeli ktokolwiek przedostał się na górę, ma odcięty odwrot.

— Zgadza się — dodał jeden ze służących. — Chyba udało się to tylko jednemu człowiekowi. Przebiegł obok nas w chwili, gdy ze schodów spadła pokojowa, goła jak ją bogowie stworzyli.

Vandar otoczył ramieniem szczupłą dziewczynę, odzianą teraz w dwukrotnie na nią za dużą męską koszulę.

— Prawda. Ten stygijski syn pewnie nigdy nie widział kobiety, bo wytrzeszczył oczy i rozdziawił gębę, aż Gebro podkradł się do niego z maczugą.

Kopnął związanego i zakneblowanego mężczyznę na podłodze. W odpowiedzi rozległo się stłumione stęknienie.

— Mamy przynajmniej jeńca. Dobra robota — powiedział Conan i zwrócił się do pokojowej: — Jak wyglądają sprawy na górze?

Dziewczyna wyprostowała się, co pochlebnie uwydatniło jej kształty.

— Zajmowałam się czym innym... ech, musiał pobiec, by walczyć z wiedźmami, czarownikami, bagiennymi duchami — wzruszyła ramionami. — Zeszłam prosto na dół, dlatego wiem tylko, co działo się tutaj.

Wtuliła się ponownie w ramiona Vandara, który wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

— Doskonale — odparł Conan. — Najlepiej sam wejdę na górę i... — w tym momencie w panującym we wnętrzu pałacu zgiełku dało się dosłyszeć wyraźne wołania: „Naprzód, zawsze do boju!” Conan wbiegł na schody. Vandar ruszył jego śladem. — Pilnujcie piwnicy! — krzyknął Cymmerianin do pozostałych. — Jeżeli wydostanie się z niej tylko paru ludzi, stawcie im czoło i wołajcie pomocy. Jeżeli będzie ich więcej, wbiegnijcie na górę i zamknijcie za sobą drzwi. Mam nadzieję, że ogniste wino powstrzyma tych łajdaków, dopóki nie poradzimy sobie na górze! — barbarzyńca dotarł do połowy wysokości schodów, gdy ujrzał, że dziewczyna zdążyła za nimi. — Na Croma, dziewczyno, na dole jest bezpieczniej! — krzyknął.

— Nie nazywaj mnie dziewczyną, kapitanie! Mam siedemnaście lat. Muszę znaleźć Psirosa...

— Pewnie jest zbyt zajęty walką o życie, by zaprzętać sobie głowę byle dziewczuchą — sarknął Vandar.

Conanowi przemknęło przez głowę, że powinien chwycić oboje za włosy, trzepnąć o siebie głowami i tak zostawić. Równocześnie jakiś człowiek otworzył na oścież drzwi u szczytu schodów.

— Czarnoksiężnik! — krzyknął i zaczął zamykać drzwi.

Cymmerianin jednym susem pokonał pozostałe stopnie. Masywne, okute żelazem dębowe drzwi otworzyły się gwałtownie, waląc o ścianę. Na Conana rzucił się człowiek z mieczem. Cymmerianin sparował cios maczugą. Ujrzawszy, że mężczyzna nosi na ramieniu białą opaskę rodu Damaos, wrzasnął mu prosto w ucho:

— Spokój, głupcze! Jestem swój! Swój!!!

Oszołomiony mężczyzna cofnął się i w jego brzuchu pograżyło się ostrze krótkiego miecza. Napastnik musiał obrócić się bokiem do Conana, by wyszarpnąć broń. Głownia Cymmerianina rozplątała mu czaszkę od ciemienia po grzbiet nosa.

Przeciwników było zbyt wielu, by ich policzyć, i byli zbyt dobrze wyćwiczeni, by ich zlekceważyć. Cymmerianin zdał sobie sprawę, że Vandar stanął przy jego boku.

Mimo szermierczego kunsztu i niedźwiedziej siły Conana minęło sporo czasu, nim pozostali przy życiu napastnicy zaczęli pierzchać. Wokół Cymmerianina wyrosła sterta skrwawionych trupów. W chwili gdy zdał sobie sprawę, że przeciwników ubywa, spostrzegł, że za ich plecami wyrosła zwalista sylwetka.

— Kapitanie!

— Reza?

— Brama jest zamknięta. Zostawiłem dość ludzi w stróżówce, by tak zostało, i wróciłem z pozostałymi do pałacu.

Conan pokonał gardę ostatniego przeciwnika, rozplątał mu ramię do kości i przyparł go do muru, przyciskając mu sztych miecza do gardła.

— Poddajesz się, czy mam cię na to nadzieć?

— Nie...

Reza sięgnął nad ramieniem Cymmerianina, chwycił mężczyznę za włosy i walnął głową napastnika o mur. Pokrywające go strzępy skrwawionego gobelinu nie były w stanie złagodzić ciosu. Mężczyzna osunął się bezwładnie na podłogę.

— Na dole jest jeszcze jeden jeniec — powiedział Conan. — Widziałem też coś...

Reza uciszył go uniesieniem dłoni.

— Coś złego dzieje się na północnych schodach — rzekł Iranistańczyk. — Chodźmy!

Conan nie sprzeczał się.

— Dokąd one prowadzą? — zapytał, gdy ruszyli.

— Do komnat mojej pani, a stamtąd na dach.

Wcześniej ustalono, że w razie napaści na pałac Liwia miała zebrać kobiety i niezdolnych do walki mężczyzn w swoich osobistych komnatach. Dwóch broniących wejścia ludzi mogło stawić czoło o wiele większym siłom. Kręcone schody prowadziły stamtąd na dach, gdzie rozstawiono łuczników. Gdyby atakującym udało się szybko tam wedrzeć, mogliby przeważać szalę zwycięstwa na swoją stronę, a przynajmniej wziąć ze sobą zakładników.

Bez wątplenia Gwardia zjawiałaby się w swoim czasie, by zaprowadzić porządek, lecz Conan obawiał się, że przybyłaby zbyt późno, by ocalić dziedziczkę rodu Damaos.

Furia sprawiła, że Conan wysforował się przed Rezę. Gdy wpadli na północne schody, nadal biegł przed nim. Zwalisty Iranistańczyk dołączył do Cymmerianina dopiero na ich szczycie.

— Znam drogę lepiej od ciebie — powiedział. — To ja jestem strażnikiem domu Damaos! — schował do pochwy zakrzywiony miecz i ujął w dłonie zawieszony dotąd na plecach kij.

— Zostaw paru dla mnie — rzekł Conan odsuwając się na bok.

— Nie obawiaj się, Cymmerianinie, pani wyskubie mi brodę, jeżeli tego nie zrobię! — Obydwaj mężczyźni pomknęli po schodach, a za nimi podążyli najemnicy i służba. Na górze Reza rozesłał czterech służących, by przeszukali boczne komnaty. — Jeżeli zdołacie, bierzcie jeńców — rozkazał.

Łatwo było dostrzec prowadzącą na dach dalszą część schodów — strzegło jej sześciu mężczyzn rozglądających się we wszystkie strony. U ich stóp leżało w kałużach krwi dwóch strażników pałacu Damaos.

Uszy Conana rozdarł krzyk, przypominający ryk drapieżnego kota. Dziewczyna, która szukała narzeczonego, skoczyła do przodu, unosząc sztylet. Na jej widok napastnicy otwarli usta, najwyraźniej wzięli ją za wariatkę. Gapiąc się na służącą, nie zauważyli, że Cymmerianin przemknął obok niej.

Jak język żmii jego miecz przeciął powietrze tuż nad głową dziewczyny. Zawadził o twarz jednego z przeciwników, który runął na ziemię, nagle pozbawiony twarzy. Dziewczyna wskoczyła kolejnemu na plecy. Wtykając mu w oczy rozcapierzone palce jednej dłoni, drugą bez opamiętania dźgała go sztyletem.

Pozostali intruzi wykazali dość rozumu, by ustąpić pola Conanowi. Bez wątplenia liczyli, że zdołają wciągnąć go do walki, by następnie otoczyć ze wszystkich stron. Ich rachuby okazały się nadaremne, bowiem gdy rozpoczęli ten manewr, do walki włączył się Reza.

Majordomus biegł wolniej od Conana, lecz nadrobił to, gdy wreszcie znalazł się przed wrogami. Kij zawirował w powietrzu, jego wypolerowana powierzchnia zabłysła i zaraz przestała błyszczeć, gdyż pokryła ją krew. Reza gruchotał czaszki i żebra, łamał kończyny czyniąc takie spustoszenia, że Conanowi i pozostałym wkrótce zabrakło przeciwników.

— Za mną! — zawołał Iranistańczyk ruszając na dach.

Conan błyskawicznie przemierzył przedsionek. Na schodach zdawał się frunąć. Gdy znajdował się w połowie drogi, od muru na wysokości jego głowy odbiła się strzała i poleciała w dół. Kilka stopni wyżej leżał trup z brzechwą sterczącą spomiędzy żeber. Ściekająca krew sprawiła, że schody były śliskie, lecz Conan utrzymał równowagę do chwili, gdy stoczyło się po nich dwóch splecionych w śmiertelnym uścisku mężczyzn.

Cymmerianin odczekał, aż człowiek bez białej opaski znajdzie się na górze, chwycił go za włosy i

ramię, oderwał go od przeciwnika i rąbnął o ścianę.

Nie miał czasu sprawdzić, czy intruz jeszcze oddycha, ponieważ wrzawa na dachu wciąż narastała. Gdy dotarł do szczytu schodów, ujrzał, jak dwóch łuczników cofa się pod komin, desperacko broniąc się mieczami i nożami. Paru ich towarzyszy padło, podobnie jak kilku przeciwników. Łucznicy zmuszeni do bezpośredniej walki nie mogli strzelać, przez co droga przez ogród do pałacu stała dla napastników otworem. Conan przebiegł na skraj dachu omal nie spadając w dół. W ogrodzie napastnicy uciekali w stronę ogrodzenia. Mieli przewagę liczebną, lecz obrońcy pałacu Damaos gnali ich przed sobą jak jesienny wiatr liście.

Conan odwrócił się, by pomóc łucznikom. Okazało się jednak, że zadbali już o to Reza i pozostali. Po dachu przewalało się kłębowisko wrzeszczących i wymachujących mieczami ludzi.

Gdy Conan podszedł bliżej, z kłębowiska wy dostał się wysoki, jasnowłosy mężczyzna z długim wąsem. Nieprzyjaciel rzucił jedno spojrzenie na Cymmerianina i skoczył w bok.

— Zatrzymaj go! — rozległo się wołanie spomiędzy walczących. — Ten z wąsem to przywódca!

Conan zamachnął się mieczem o szerokość dłoni przed jasnowłosym mężczyzną, który zamiast stanąć do walki, wskoczył na obramowanie dachu i rzucił się w dół. Gdy Conan popatrzył za nim, stwierdził, że uciekinier leży bezwładnie na schodach do ogrodu z karkiem wygiętym pod nienaturalnym kątem.

Ucieczka herszta odebrała wolę walki pozostałym napastnikom. Ich wołania o łaskę okazały się nie dość głośne i potrzeba było wielu krzyków i paru ciosów pięści Conana i Rezy, by obrońcy pałacu okazali miłosierdzie.

Walka na dachu była ostatnim wysiłkiem, na który zdobyli się atakujący. Podczas gdy łucznicy byli zajęci obroną własnego życia, ci, którzy mogli uciekać, nie omieszkali tego uczynić. Ponieważ ludzie Rezy utrzymali stróżówkę, pozostawało im przedzierać się przez mur. Większości się to udało.

Niedługo jedynym wspomnieniem po napastnikach pozostali związani jeńcy oraz leżące w ogrodzie i przewieszane przez mur trupy. Reza wrócił na parter sprawdzić, co się tam działo, podczas gdy Conan zszedł do komnat Liwii, by zdać jej relację z przebiegu obrony pałacu.

Zastał dziewczkę przy bandażowaniu rany na ramieniu starszego sługi. Jej ręce były skrwawione po łokcie, a pozbawione blasku włosy zwisały po obu stronach jej spoconej twarzy.

— Spisałeś się tak dzielnie, jakbyś był rodowitym Argosańczykiem — uśmiechnęła się na widok Conana.

— Dziękuję, pani.

Opowiedział jej, jak przebiegła walka.

— Nie wiesz, kto wysłał napastników?

Conan wzruszył ramionami.

— Słyszałem ich bojowe zawołania, lecz mogły być równie nieprawdziwe jak twarz przywódcy w piwnicy.

— Czar nadawania niby-twarzy był jednym z pierwszych, których zakazano w Argos. — Liwia skinęła głową. — Gdybym chciała popełnić morderstwo, zapewne również wykorzystałabym go do zatarcia śladów.

— Jestem nie najgorszym tropicielem — odparł Conan. — Za pozwoleniem, chciałbym zadać jeńcom parę pytań, pani.

— A jeżeli nie zechcą odpowiedzieć?

Conan ponownie wzruszył ramionami.

— To, jak długo zachowają milczenie, będzie zależało tylko od tego, jak daleko pozwolisz mi się posunąć.

Liwia przełknęła ślinę i utkwiała w Conanie surowe spojrzenie, po czym potrząsnęła głową.

— Prawo ściśle określa, w jakich okolicznościach można zastosować tortury, jest jednak surowe, jeżeli chodzi o napaść na cudzy dom, rabunek, rozbój i morderstwo. Masz moje pozwolenie na zrobienie wszystkiego, co uznasz za stosowne.

— Dziękuję, pani.

Cymmerianin wyszedł.

## ROZDZIAŁ 7

Liwia siedziała na łożu ze złotym talerzem na kolanach. Upiła wina z puchara, po czym odstawiła go na posadzkę. Większość mebli w komnacie, z wyjątkiem stolika nocnego, wykorzystano do budowy barykad. Ten ostatni przeniesiono później do kuchni, by uzdrowiciel Kyros miał na czym ułożyć swoje narzędzia i leki.

Kyros dostał wszystko, czego sobie zażyczył. Wraz z zaufanym sługą przybył natychmiast na wezwanie gońca Liwii. Wiedział lub domyślał się, co zdarzyło się w pałacu, bowiem niewiele z tego, co działo się w messancjańskich rodach, stanowiło dla niego tajemnicę. Wszelako tej wiedzy nie można było wydobyć z niego złotem, magią ani nawet torturami.

W przyległej komnacie rozległ się przeciągły krzyk, po którym nastąpiło szlochanie. Niektórych ran nawet Kyros nie był w stanie uleczyć. Nie było również w jego mocy ożywić zabitych ani umniejszyć

rozpaczy po nich.

Przez płacz dziewczyny przebiły się słowa pociechy jednej ze służących.

Liwia pomyślała, że niedługo powinna obie wydać za mąż. Wiedziała, że większość z tych służących, które zechcą odejść, bez trudu znajdzie dobre partie. Musiała zacząć rozglądać się za pokojową, jedną czy dwiema kucharkami, może stajennymi i ogrodnikami. Na szczęście nie musiała szukać następcy dla Rezy. Iranistańczyk nie skusiłby się nawet na propozycję objęcia urzędu archonta.

Służąca przestała płakać. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Liwia otuliła się ciasniej szatą narzuconą na nocną koszulę. W chwilę później usłyszała dobrze znany głęboki głos i charakterystyczne tygrysie kroki.

— Dzień dobry, kapitanie.

Cymmerianin spojrzał w okno. Niebo bladło przed świtem.

— Dzień dobry, pani. Skończyliśmy z jeńcami.

— Czy... czy trudno było zmusić ich do mówienia? Słowo „tortury” nie chciało przejść jej przez usta. Pogardzała sobą za fałszywe skrupuły, tym bardziej że Conan na pewno ich nie miał, a chciała znaleźć uznanie w jego oczach.

— Na Croma, wczorajsza bitka nie odebrała mi rozumu na tyle, żebym brał się do torturowania argosańskich obywateli! — powiedział szczerze zdumiony Cymmerianin. — Przyznam, że większość jeńców nie przynosi temu krajowi zaszczytu, ale...

Liwia zaczerpnęła głęboko tchu.

— Skoro nie torturowaliście ich...

— To jak sobie poradziliśmy? Bardzo prosto. Powiedziałem, że jeżeli chcą umrzeć jako mężczyźni, nie eunuchowie, powinni mówić, i to szybko. Potem wyprowadziłem jednego z nich do pokoju, w którym czekał mój człowiek, potrafiący naśladować wszystko i każdego. Kazałem mu krzyczeć, jak gdyby go kastrowano. Tymczasem pożyczyłem od jednego z trupów... to, czego już nie potrzebował. Gdy mój człowiek chrypl od wrzasku, wróciłem do pozostałych więźniów i pokazałem im klejnoty nieboszczyka. Gdy je zobaczyli, naraz wszyscy zechcieli mówić.

Liwia puściła skraj talerza i półmisek ześlizgnął się jej z kolan. Olej i okruchy ryby wybrudziły dywan. Conan przykląkł i podniósł talerz, po czym podał Liwii kielich z winem. Na chwilę ich palce zetknęły się. Liwia poczuła, jak gdyby ogień rozlał się w jej żyłach od dłoni do ramienia. Przez chwilę nie była w stanie przełknąć.

— Zatem co powiedzieli? — spytała, kiedy odzyskała panowanie nad głosem.

Conan opowiedział jej zwięźle, nie opuszczając niczego, co chciałyby wiedzieć. Biła od niego woń zaschniętego potu i krwi — bez wątplenia nie jego! Liwia zdała sobie sprawę, że mimo żelaznych sił,

nawet on musi być wyczerpany.

— Cóż, Conanie, mogę ci jedynie podziękować. Marna to nagroda — powiedziała w końcu. — Kiedy dojdę do siebie, wymyślę coś odpowiedniejszego dla ciebie i twoich ludzi. Teraz musimy zająć się przygotowaniami do wizyty Doris i Harfosa...

Conan przerwał jej chrząknięciem. Mimo że postarał się zrobić to delikatnie, Liwia zmarszczyła brwi. Postanowiła nie dopuścić, by w jej tonie pojawiła się chłodna, niewdzięczna nuta, lecz po wyrazie twarzy Cymmerianina spostrzegła, że się to jej nie udało.

— Wybacz mi, pani, ale sądzę, że powinnaś wysłać gońca do pałacu Lokhri i poprosić ich o przybycie innego dnia. Może jutro, lecz jeszcze lepiej byłoby, gdyby udało się to przełożyć na pojutrze. Wiem, że nie powinniśmy okazywać, że mamy kłopoty, ale nasi ludzie potrzebują odpoczynku. Ty również, pani. Poza tym musimy przeszukać rezydencję i pałacowe grunty. Ktoś mógł się tu zaszyć. Założmy, że wyskoczy wieczorem z krzaków i przebije Harfosa nożem?

Liwia skinęła głową. Najchętniej opuściłaby ją na piersi i tak zasnęła.

— Jeżeli Doris dowie się, co się tu stało, postara się to wykorzystać.

— Niech tam! — prychnął Conan. — Z chęcią pokażę jej trupy! Może ich widok rozwiąże jej język. Nie wiem czemu, ale zachowuje się tak, jakby wiedziała, kto za tym stoi. Chciałbym dowiedzieć się, jak doszło do tej napaści.

Jego rozsądne słowa zdawały się dochodzić do niej z wielkiej odległości. Zdała sobie sprawę, że na nią patrzy, po czym podchodzi i bierze bez wysiłku na ręce. Nie zachowywał się jak spragniony kobiety mężczyzna. Złożył ją na łożu niczym chore dziecko i okrył szatą...

W którejś chwili musiał zawołać pokojowe, ponieważ zjawiły się obydwie.

— Wyślij gońca, Conanie. Doris może zaczekać... — zdążyła jeszcze wyszeptać.

Przyglądając się, jak orszak Doris wlewa się przez bramę pałacu Damaos, Conan pożałował, że nie kazał jej czekać miesiąc. Jej Słudzy najwidoczniej otrzymali polecenie rozleźć się po terenie pałacu jak zgraja małp. Jednak do tej pory wszelkie ślady po napaści sprzed dwóch dni były równie trudne do znalezienia jak kości Atlantów.

Conan i Reza zrobili, co było w ich mocy. Każdy wchodzący do ogrodu członek świty Doris miał być śledzony. Na wszystkich czekał królewski poczęstunek z pałacowych zapasów wina i jadła, by dać im zajęcie i w miarę możliwości rozplatać ich języki.

Zadbano, by nie było łatwo odkryć, że pałac Damaos stał się ostatnio celem ataku. Wszystko, co zostało uszkodzone w czasie walki, naprawiono lub schowano. Przeszukano wszystkie miejsca, w których mógł się ukryć nożownik, po czym zamknięto je na głucho i postawiono tam strażę.



— Bogom jednym wiadomo, że daliśmy z siebie wszystko — powiedział Conan do Rezy, gdy usiedli nad winem i jęczmiennymi plackami przed udaniem się na spoczynek. — Jeżeli bogowie mają chociaż trochę poczucia sprawiedliwości, nagrodzą nas, zamykając usta Doris. Jeżeli nie, pozostaje nam to — klepnął rękojeść miecza.

Majordomus skinął poważnie głową, lecz jego twarz miała zboląły wyraz. Cymmerianin zastanawiał się, czy Iranistańczyk jest zazdrosny o łaski, jakimi on cieszył się w domu, w którym Reza od lat sprawował niepodzielne rządy. Słyszał, że w niektórych szlacheckich rodzinach dochodziło z tego powodu do rozlewu krwi.

Gdyby tak się stało tym razem, mogła polać się krew Conana. Z pewnością skorzystałby na tym wyłącznie Akimos. Dlatego też Cymmerianin zamierzał w obecności Rezy trzymać język za zębami, a dłoń z dala od rękojeści miecza.

Towarzyszająca Doris karawana w całości przekroczyła bramę. Conan przyjrzał się, jak jeden z mężczyzn zsiada z klaczy, ważąc zapewne prawie tyle co on sam. Próba zgrabnego skoku skończyła się pokracznym upadkiem w kępę kwiatów. Potknięcie przyniosło uszczerbek nie tylko honorowi jeźdźcy, lecz i jego ubraniu.

Liwia stanęła obok Conana. O szacie, którą miała na sobie, można było powiedzieć, że jest prosta tak, jak prosta jest forma sztabki złota. Biały jedwab z blad różową lamówką i paskiem tej samej barwy podkreślał w równym stopniu wzrost dziewczyny, jej wdzięczną figurę oraz władcą postawę. Conan pomyślał, że Liwia powinna była urodzić się w którymś z koronowanych rodów i władać potężnym królestwem. Marnowała się w kraju kupców i skrybów z poplamionymi atramentem palcami.

— Szacowna Doris, dostojny Harfosie, witajcie! — rzekła. — Wybaczcie nam nasze wczorajsze posłanie i skromną dzisiejszą gościnność. Mieliśmy trochę kłopotów.

Doris szeroko otworzyła umalowane czerwono usta, lecz nic nie powiedziała. Miała dość ładną twarz, jednak odrobinę zbyt pulchną jak na gust Conana. To samo dałoby się powiedzieć o jej figurze.

Dopiero po chwili Cymmerianin przyjrzał się niezgrabnemu młodemu mężczyźnie, który stanął obok Doris. Mimo kunsztownej niebieskiej tuniki i wykończonych złotem sandałów zdawał się równie uległy kaprysom matki jak sługa.

Było to pierwsze wrażenie Conana. Po chwili stwierdził, że Harfos wodzi oczami po pałacu i ogrodzie. Nie był to pusty wzrok matołka, jak mogłoby się wydawać, lecz baczne poszukiwanie wszystkiego, co odbiegało od normy. Conan widywał już takie spojrzenie u wytrawnych złodziei, przyglądających się domom, które mieli zamiar obrabować.

— Rozumiem, że ostatnio nie dzieje się u ciebie najlepiej, ale nie mam pojęcia dlaczego — powiedziała Doris. Ton jej głosu działał Conanowi na nerwy jak dźwięk dobrego miecza trafiającego na kamień. — Twoja wiadomość była bardzo skąpa. Ponownie użyto przeciw wam czarów?

Doris wypowiedziała słowo „czary”, jak gdyby była to obelga. Conan ujrzał, że nozdrza Liwii rozszerzają się tak samo jak u Harfosa.

— Matko, ona... Liwia... nie wszystko mogło znaleźć się w posłaniu. To znaczy... mogłoby wpaść w ręce komuś niepowołanemu i...

— Istotnie — wtrąciła się Doris.

Harfos przez chwilę stał z otwartymi ustami, nim zorientował się, że powinien je zamknąć. Zarumienił się jak dzieciak. Conan odniósł wrażenie, że Harfos jest inteligentniejszy, niż okazuje po sobie, czy też pozwala okazać mu matka. Warto byłoby porozmawiać z nim na osobności, jeśli tylko uda się wydostać go spod spódnicy Doris.

— Harfos ma zupełną rację — powiedziała Liwia. — Dlatego proszę, wejdźcie do środka. To, co chcę powiedzieć, nie jest przeznaczone dla uszu wszystkich.

— Nikogo nie ma w pobliżu — rzekła ostrożnie Doris.

— Właśnie, jest upalnie — odparła gładko Liwia. — Na dodatek czeka nas gorąca dyskusja.

— Naprawdę? — spytała starsza kobieta marszcząc grube czarne brwi i wydymając usta.

Liwia kiwnęła głową, tak jak gdyby potwierdziły się jej przypuszczenia.

— Pani, obrażasz ten dom — powiedział Conan. — Obawiasz się o swoje bezpieczeństwo?

— A cóż to za przerośnięty osioł?! — wypaliła rozgniewana Doris.

— Kapitan Conan to najemnik, który wraz ze swoimi ludźmi służy rodowi Damaos — powiedziała Liwia, ucinając wybuch jej złości z taką łatwością, z jaką nóż kroi jabłko. — Sądzę, że bez jego pomocy plan porwania mnie powiodłby się.

Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, kogo o to podejrzewa. Doris ponownie zapomniała języka w ustach. Na szczęście Harfos postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję.

— Matko, nie wyobrażam sobie, by mogło grozić ci niebezpieczeństwo ze strony tak starego i czcigodnego rodu. Jeżeli raczysz wejść, zajmę się służącymi. Kogo chcesz zabrać ze sobą?

Doris uświadomiła sobie, że milczenie oznacza poddanie się przeciwnicze bez walki. Wyrecytowała szybko pół tuzina nazwisk. Harfos odszedł.

— Pani, za twoim pozwoleniem, będę towarzyszyć Harfosowi — powiedział Conan, siłąc się na jak najuprzejmniejszy ukłon.

Liwia skinęła głową. Doris wyglądała tak, jakby wołała raczej zostawić syna na łasce węża, lecz pani pałacu Damaos ujęła ją za ramię. Nie zostało jej nic innego, jak dać się prowadzić. Obydwie zniknęły w cieniu przedsionka za wielkimi drzwiami wejściowymi.

Conan nie czekał na ich odejście. Natychmiast ruszył w dół po schodach. Szedł tak szybko, że Harfos potykał się, starając się dotrzymać mu kroku. Conan zwolnił. Nie chciał zrażać do siebie młodzieńca, przynajmniej dopóki z nim nie porozmawia.

Dwie wysoko urodzone damy spędziły razem większą część popołudnia. Do odjazdu Doris Conan zdążył dowiedzieć się dwóch rzeczy. Po pierwsze, Harfos miał bardzo mocną głowę i doskonale panował nad językiem. Po drugie, młody mężczyzna był o wiele mniejszym głupcem, niż się wydawał.

Conan nie miał pojęcia, dlaczego Harfos udawał. Wyniesione z kontaktów ze szlachetnymi rodami doświadczenie podpowiadało mu, że może być tuzin różnych przyczyn. Każda z tych możliwości była równie prawdopodobna, a Liwia nie płaciła mu za zabawianie się we wróżą.

Wino, które Conan musiał wlać w siebie, by dorównać Harfosowi, sprawiało, że kręciło się mu w głowie, gdy wchodził na górę do komnat Liwii. Gdy dotarł na piętro, minął go żwawym krokiem mężczyzna w zbroi Gwardzisty z herbem Najwyższego Archonta na napierśniku i hełmie.

W chwilę później do Conana dobiegł płacz. Słyszając go, Gwardzista przyśpieszył kroku. Nim Conan zdołał krzyknąć do wartowników, by go zatrzymali, przybysz wypadł z pałacu. Cymmerianin zaklął, po czym zastukał do drzwi.

Otworzyła mu jedna z pokojowych Liwii.

— Och, kapitanie, moja pani wolałaby na razie zostać sama. Przyśle po ciebie...

— Niech wejdzie — rozległ się ledwie rozpoznawalny głos Liwii. — Szerma, poślij po Rezę.

— Pani...

— Natychmiast!

Conan usłyszał dźwięk tłuczonego szkła i kolejne szlochy. Służąca wypadła z komnaty równie szybko jak Gwardzista. Conan pchnął drzwi i wszedł do Liwii.

— Wzywałaś mnie, pani?

Liwia uniosła zaczerwienione oczy, wysiakała nos i skinęła głową.

— Wybacz mi, kapitanie. Nie powinnam okazywać słabości, ale... — Conan przysięgł sobie, że jeśli odpowiedzialna za to była Doris, odwiedzi tę kobietę i obetnie jej uszy... — Kapitanie, Doris zaprzecza, że miała cokolwiek wspólnego z napaścią. W tym przypadku wierzę jej. Odmawia jednak powiedzenia czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić, komu zależy na poróżnieniu naszych rodów.

Conan zmarszczył brwi. Harfos również powiedział niewiele, jednak niektóre jego słowa sprawiły, że Conan doszedł do wniosku, iż bardziej od matki zależy mu, by sprawiedliwości stało się zadość.

Być może była to tylko gra ze strony młodzieńca, liczącego na wyprowadzenie Cymmerianina w pole, lecz jeżeli Harfosowi rzeczywiście na tym zależało, to może udałoby się zyskać w nim sprzymierzeńca.

Conan doszedł do wniosku, że dziewczyna płacze nie tylko z powodu Doris. Podał jej ręcznik i Liwia zdążyła wytrzeć twarz, nim przybył Reza.

— Wysłałam do archontów petycję z prośbą o przesłuchanie naszych jeńców i Akimosa — przemówiła do obu mężczyzn. — Miałam nadzieję, że Doris podpisze się pod nią. Mogłaby na tym skorzystać więcej ode mnie, ponieważ zależy jej na oczyszczeniu własnego imienia. Lecz to już bez znaczenia, archonci odrzucili petycję. Twierdzą, że chociaż napaść na pałac była bezprawna, nie miałam prawa bronić się z pomocą Conana i jego ludzi.

— Na Croma!

Reza wymamrotał po iranistańsku coś dłuższego, i z pewnością nie było to błogosławieństwo. Liwia pokiwała głową.

— Ponieważ dwa naruszenia prawa znoszą się nawzajem...

— Niech to piekło! — zagrzemiał Conan. — Czy ci archonci to mężczyźni, czy eunuchowie?! Czy Argosańczycy nie mają do roboty nic lepszego niż wydawanie praw, uniemożliwiających porządnym ludziom obronę przed napaścią?

— Wiem, że tak to może wyglądać — powiedziała Liwia spokojnym głosem, jednak Cymmerianin zauważył, że skończywszy, przygryzła wargę.

— Doskonale. W takim razie złożmy Akimosowi wizytę — odparł Conan. — Możemy zrobić to oficjalnie i z nie mniejszą pompą niż Doris. — Reza wyglądał, jak gdyby nie mógł się zdecydować, czy uśmiechnąć się, czy zmarszczyć brwi. — Mogę też — kontynuował Cymmerianin — zabrać moich najlepszych chłopaków i odwiedzić go mniej oficjalnie. Dzięki temu dowiedzielibyśmy się jeszcze więcej.

— Conanie, twoja propozycja to szaleństwo. — Reza potrząsnął głową. — Napaść na pałac Akimosa oznaczałaby złamanie większej liczby praw, niż mógłbym wyliczyć na palcach obu rąk. Po pierwsze, nie masz pozwolenia na wyprowadzenie swoich ludzi poza pałac Damaos — chyba że zostaniesz przyjęty w szeregi Gwardii...

— Niech Mitra utopi Gwardię w łajnie! — Conan rąbnął pięścią w stół, sprawiając, że zatańczyły na nim kielichy z winem. — Ile czasu trzeba, żeby się do niej zaciągnąć?

— To nieistotne — odparł Reza.

— Mów do mnie „kapitanie” — burknął Conan. — Zadałem ci pytanie!

— Mogę na nie odpowiedzieć — rzekła Liwia. — Żeby wstąpić do Gwardii, trzeba mieć obywatelstwo Argos lub ubiegać się o jego przyznanie. Nie wolno być ściganym za żadne zbrodnie i

należy złożyć kaucję w wysokości piętnastu drachm.

Conan na razie wyczerpał zapas przekleństw. Gorączkowo myślał, co robić. Po chwili osuszył jednym haustem pół kielicha wina. Reza i Liwia przyglądali się temu, powstrzymując uśmiechy. Cymmerianin otarł dłonią usta i również się uśmiechnął.

— Pani, czy archonci, Gwardia, bogowie czy ktokolwiek inny powiedzieli ci, co masz zrobić z jeńcami?

— Jeszcze nie.

— Dobrze. W takim razie dlaczego by nie wysłać ich do tego samego obozu drwali, w którym znalazł mnie pewien kupiec? Jestem pewny, że handlarze drewnem nie zmartwią się przysłaniem nowych rąk do dźwigania bali. Po miesiącu takiej zabawy będą mieli mniej sił na włożenie na cudze mury.

— Akimos z pewnością uwolni ich do tego czasu — stwierdził Reza.

— I co z tego? — Conan wzruszył ramionami. — Będzie miał parę drachm mniej na wynajmowanie kolejnych bandytów, przekupywanie archontów i inne sztuczki.

— Cymmerianinie, posuwasz się za daleko, podając w wątpliwość uczciwość archontów! — rzucił Reza.

— Nie tak jak archonci, wylewając honor naszej pani z pomyjami — odpowiedział zimno Cymmerianin. — Jeszcze nigdy nie spotkałem cywilizowanego człowieka, którego nie można by przekupić.

— Spokój! — rzuciła Liwia. — Reza, chcę, żebyś miał pieczę nad ludźmi, którzy zabiorą jeńców w góry. Weź ze sobą najlepszych wojowników, ale upewnij się, że wszyscy, którzy pozostaną, będą słuchać Conana.

Cymmerianin pomyślał, że jeżeli sprawy potoczą się tak dalej, to jedynym, który go nie posłucha, będzie sam majordomus. Conan musiałby być ślepy i głuchy, by nie dostrzec, że zwalisty Iranistańczyk jest zazdrosny o wpływ, jaki kapitan najemników miał na jego panią.

Nie była to zazdrość o kobietę, z którą dzieliło się łóżko, ale barbarzyńca wolał nie dociekać jej przyczyn.

— Pani, wysłanie jeńców w góry było tylko radą — powiedział głośno. — Skoro ma to oznaczać podział sił w sytuacji, gdy nie wiemy, co nam grozi, zapewne nie był to mój najlepszy pomysł.

— To oczywiste... — zaczął mówić Reza.

— Kupcy drzewni na pewno mają agentów w Messancji, prawda? — Liwia ponownie ucięła narzekania majordomusa. — Nie wątpię, że powierzyli im prawo wynajmowania robotników i straży. Chyba zgodzicie się ze mną?

Reza natychmiast zdał sobie sprawę, że znalazł się między młotem a kowadłem. Skłonił się i rzekł:

— Z pewnością, pani. Dowiem się, jak załatwić tę sprawę. Proszę o pozwolenie odejścia.

— Oczywiście. Trzeba odesłać jeńców jak najszybciej, by Akimosowi nie wpadło do głowy ich odbić.

— Ci, którzy zostaną wysłani na odsiecz, dołączą tylko do swoich przyjaciół — odparł Reza i wyszedł. Na jego ustach był uśmiech, który nie sięgał oczu.

Na znak Liwii Conan usiadł i dolał sobie wina. Nie miał już wątpliwości, że dla tego trunku warto było znosić surowe prawa Argos.

## ROZDZIAŁ 8

Pola zbóż niepostrzeżenie znikwały gdzieś u podnóża gór. Trakt, którym jechał Akimos, ginął w ich perspektywie.

Milę wcześniej szlak był twardy, suchy i wystarczająco szeroki, by żołnierze Gwardii mogli jechać po czterech obok siebie. Obecnie ubitej powierzchni ledwie wystarczało, by mieściło się na niej dwóch jeźdźców. Po obu stronach rozpościerały się trzęsawiska, kępy krzewów i bagienne chaszczce.

Było to idealne miejsce dla bandytów, którzy ponoć grasowali na tych terenach. Robiło się późno, na zachodnim horyzoncie dogasały resztki dziennego światła.

— Mamy jechać przez całą noc? — mruknął Akimos. — Jeżeli tak, powinniśmy zapalić latarnie, dopóki jeszcze widzimy stal i krzesiwo.

Akimos nie był pewien, jaki grymas pojawił się po tych słowach na twarzy Skirona. Zdawało mu się, że uśmiech.

— Zostało nam najwyżej ćwierć mili — odparł Skiron. — Dobrze pamiętam znaki orientacyjne.

— Dojrzysz je w ciemnościach?

— Te, których potrzebuję, tak. Dlatego nie powinniśmy zapalać latarni. My widzielibyśmy drogę, a nas wszyscy bandyci w promieniu mili.

Pomruki z tyłu świadczyły, że strażnicy zgadzają się ze zdaniem czarnoksiężnika. Nikt z nich nie miał ochoty jechać na oślep, lecz bardziej odstręczała ich perspektywa walki z rozbójnikami.

Na zachodzie złoty blask gasł na niebie, a szkarłat szedł jego śladem. W górze niebo miało barwę ciemnej purpury, migotały na nim pierwsze gwiazdy.

Akimos miał wrażenie, że gwardziści szydzą za jego plecami, że wyprawił się z Messancji w pogoni za mrzonką. Duma nie pozwalała mu okazać, że nie darzy pełnym zaufaniem czarnoksiężnika wypełniającego jego polecenia. Skiron sprawiał wrażenie tygrysa na uwięzi, ale łańcuch mógł pęknąć w każdej chwili. Dlatego Akimos musiał wiedzieć, co Skiron zamierza robić na tych wzgórzach. Był to jedyny powód, dla którego dołączył do wyprawy czarnoksiężnika. Pozostawało mu teraz modlić się do Mitry, by poświęcenie to okazało się warte zachodu.

Straż przednia pozysadała z koni i prowadziła je za sobą. Podoficer wyciągniętym z pochwy mieczem wymacał drogę przed sobą jak ślepiec laską.

Akimos zastanawiał się, czy również nie zsiąść. Na grzbiecie wierzchowca czuł się jak tarcza na strzelnicy, mimo że pod jedwabny strój do konnej jazdy założył kolczugę. Wiedział, że jeśli wpadną w zasadzkę, nie zdoła zawrócić konia i uciec. Nie na szlaku wąskim jak aghrapurskie zaułki i równie cuchnącym...

Ulotny szelest był jedynym ostrzeżeniem, jakie zostało dane Akimosowi. Gdy dobył miecza, na jego głowę runęła obwieszona ciężarkami sieć. Kupiec otworzył usta, by wykrzyknąć rozkazy, lecz język miał sztywny jak uschnięta gałąź, a usta wypełnił mu kwaśny smak lęku. Spodziewał się śmierci na oczach świadków, którzy powiedzą, że zginął jak tchórz.

Była to myśl czarniejsza niż ciemność, w której niknął trakt. Ogarnęła umysł Akimosa z taką siłą, iż nie zauważył ciemnych sylwetek, poruszających się w zaroślach po obu stronach drogi.

Nie zauważył również, że Skiron krzesze iskry, które spadają na umieszczone w spiżowej misie wióry. Drewnienka zajęły się cynobrowym blaskiem.

Skiron wzniósł laskę i zakołysał misą. Gdy buchnęły z niej kłęby dymu, czarnoksiężnik włożył weń rękę. Dym zaczął wirować zgodnie z ruchami dłoni Skirona. Przez chwilę tym, którzy przyglądali się temu z niezmaconym umysłem, zdawało się, iż dym utworzył runy — wyższe od człowieka, rozciągające się w poprzek traktu i niknące po bokach wśród drzew.

Akimos odzyskał jasność myśli na czas, by dojrzeć, że cynobrowe światło wypływa z misy niczym ciecz. Rozlało się po drodze, obejmując nogi koni i ludzi. Jeden z wierzchowców zarżał przeraźliwie, drugi stanął dęba; jeździec przywarł rozpaczliwie do jego grzbietu, gorączkowo mamrocząc.

Blask rozpląnął się dalej, docierając do bandytów. Ci również zdawali się modlić lub przeklinać, lecz dźwięk ich głosów nie docierał do Akimosa. Dopiero teraz kupiec uświadomił sobie, że jego koń stoi z otwartym pyskiem rżąc niesłyszalnie.

Akimos nie mógł wykonać chroniącego przed urokiem gestu, nie zdejmując rąk z wodzy. Zamiast tego modlił się gorliwie, jak nigdy w życiu.

Jednakże tej nocy, w obecności niezmiernego blasku, zdawało się, że bogowie nie istnieją.

Herszt rozbójników był dzielnym człowiekiem, bijącym się odważnie we wszystkich armiach zanim z nich zdezerterował. Gdy upiorne światło ruszyło w jego stronę, nie cofnął się. Widział, jak jeden z jego ludzi dźga w nie włócznią. Drzewce zadygotało i znieruchomiało, jak gdyby broń uwięzła w szczękach krokodyla.

Po chwili jasność dotarła do herszta bandytów. Poczł pieczenie, mogące być skutkiem żaru, zimna lub obu tych rzeczy naraz. Nie było zbyt bolesne. Gdy spojrzł na swoje nogi w ubłoconych buciorach i obszarpanych spodniach, wyglądały tak jak zawsze.

Wyciągnął miecz i wydał bojowy okrzyk. Usłyszał go tylko znajdujący się najbliżej kompan. Posłusznie ruszył naprzód, gdy nagle na jego bark skoczyła jakaś lepka szara masa.

Był to mech, w który tchnięto demoniczne życie. Błyskawicznie skręcił się w kłęb wielkości głowy dorosłego człowieka i popęzł ku twarzy rozbójnika, drgając jak kłębowisko węży. Gdy rozbójnik otworzył usta do wrzasku, wepchnął się w nie z piekielną siłą.

Oczy wodza bandytów wylazły z orbit, gdy patrzył, jak oszalały podwładny próbuje oburącz zderzeć mech z twarzy. Nie zdało się to na nic, ponieważ roślina zdawała się twarda jak kłęb brązowych drutów. Nie udało się mu również powstrzymać nowych odrostów mchu, wypełzających do nosa i pozbawiających go resztek powietrza. Z siniejącą twarzą wygiął się w łuk i runął na plecy. Przez chwilę wierzgał w konwulsjach, po czym znieruchomiał. Obdarzony niesamowitym życiem mech spłynął z twarzy trupa i zaczął pełznąć w stronę herszta rozbójników.

Do tej pory odwaga nie opuszczała wodza bandytów, lecz w tej chwili pierzchła. On sam jednak nie mógł uciekać tak szybko jak jego męstwo. Marsz przez światło przypominał brnięcie w sięgającym po kolana błocie. Posuwał się tak wolno, że mech dotrzymywał mu tempa. Gdyby drogę zastąpiła mu jeszcze jedna kępa, byłby zgubiony.

Skraj plamy światła znajdował się coraz bliżej. Herszt zdołał przyśpieszyć, zwiększając dystans dzielący go od pełzającego mchu, nie spadł też na niego drugi kłęb. Wrażenie marszu przez lepkie błoto najpierw zmałało, by wreszcie zniknąć całkowicie. Przywódca bandytów rzucił się z całych sił ku granicy blasku, minął go i poczuł, że stawia nogi na twardej ziemi.

Rzucił się do dalszej ucieczki, nie zastanawiając się, dokąd gna i nie oglądając się ani na chwilę za siebie. Nie mógł uratować swoich ludzi.

Za uciekającym bandytą nie pomknęły ani strzały, ani zaklęcia. Sto kroków od skraju kręgu światła herszt przystanął, upewniwszy się wpierw, że nie ma w pobliżu choćby kępki mchu.

Wyglądało na to, że ci jego kompani, którzy weszli na trakt, są straceni. Nie dotyczyło to wszystkich, dziesiątka ludzi zaczęła się nieco dalej, a on nie wydał im żadnych rozkazów. Jeśli jednak mieli głowy na karkach, to już dawno powinni uciec. Jednak z drugiej strony piekielne światło sprawiło, że czarnoksiężnika i jego asystę było widać wyraźnie jak za dnia. Wśród rozbójników było kilku niezłych łuczników. Mogli się domyślić, że najeżony strzałami czarownik to marny zaklinacz.

Herszt bandytów ruszył w górę zbocza. Po pięćdziesięciu krokach dotarł do zakrętu drogi. Znajdował



się poza zasięgiem wzroku ludzi na trakcie i swoich współników. Zatrzymał się, rozglądając za młodym cedrem po drugiej stronie drogi. Drzewo rosło u wylotu jaru, prowadzącego do miejsca, w którym zaczęli się bandyci.

Odnalezienie go zabrało mu nieco czasu, bowiem patrząc na światło stracił zdolność widzenia w ciemnościach. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć tętent kopyt i okrzyki towarzyszy czarnoksiężnika, a być może nawet słowa, których nie powinni znać zwykli śmiertelnicy.

Gdy tylko przywódca bandytów wypatrzył cedr, rzucił się pędem w jego stronę. Biegając nie dostrzegł szczeliny szerokości dłoni, która otworzyła się wzdłuż całej szerokości drogi.

Przewróciwszy się, zdarł sobie skórę z dłoni i kolan. Stopa uwięzła mu w szczelinie. Dźwigając się, zaklął i poczuł, jak coś go chwyta za nogę. To coś nie paliło tak łagodnie jak upiorne światło. W jednej chwili zwęgliło mu nogę do kości.

Czując, że ogień sięga coraz wyżej, zaczął krzyczeć. Zawył głośniejsze, gdy zdał sobie sprawę, że jest wciągany w szczelinę. Wrzeszczał, aż ogień dotarł do jego piersi i spopielił płuca.

Wkrótce nad powierzchnię drogi wystawała już tylko ręka bandyty. Ze szczeliny buchały kłęby dymu o barwach, dla których nie było odpowiedników w ludzkim języku. Po chwili brzegi rozpadliny zadygotały i szczelina zamknęła się. Na poczerńiałej ziemi pozostała tylko ręka herszta z zakrzywionymi jak szpony palcami, których paznokcie nabrały szarego odcienia.

Akimos słysząc krzyki bandyty nie mógł powstrzymać drżenia. Minęło sporo czasu, nim jego wyschnięte wargi i język zdolne były wymówić słowa:

— Co to było?

— Bogowie jedni wiedzą, a oni nie przysyłają mi posłańców. — Skiron wzruszył ramionami.

— To nie czas na żarty!

— Wybacz mi, panie — odparł gładko czarnoksiężnik. Zbyt gładko, pomyślał Akimos. Wie więcej, niż chce mi powiedzieć.

— Nie wątpię, że część bandytów jeszcze żyje.

— Skironie...

— Wybacz mi, panie. Chciałem tylko przypomnieć ci, że nie jestem żołnierzem.

— Owszem, a ja nie jestem świątynnym posągiem, by czekać w nieskończoność. Co tak krzyczało?

— Podejrzewam, że jeden z bandytów trafił na lotne piaski lub węża. Ukąszenie żmii błotnej jest śmiertelne, lecz przedtem pali jak ogień.

Akimos zrezygnował z zadawania dalszych pytań i zarządził zbiórkę swoich ludzi. Zabitego w

pierwszym starciu sierżanta przerzucono przez siodło i ruszono dalej. W tym samym czasie łasica zwabiona wonią pieczonego mięsa wskoczyła na drogę i pomknęła w stronę dłoni herszta bandytów.

Za moment umknęła z traktu ze zdobytym pożywieniem. Dzięki niej odwaga Akimosa nie została wystawiona na kolejną próbę. Kupiec Skiron i towarzyszący im Gwardziści przejechali przez to miejsce, nie zauważając niczego niezwykłego.

Głęboko w podziemnej grocie Większy Wartownik odzyskał świadomość. Z wielu powodów nie można było powiedzieć, że się obudził — chociażby dlatego, że nie miał zmysłów w ludzkim rozumieniu tego słowa.

Zorientował się, że znajdująca się dalej część jego istoty, która dawno temu oddzieliła się od niego, dotarła właśnie do podniebnego świata oraz znajdującego się w nim pożywienia. Udało się jej znaleźć porcję najwyborniejszego niebiańskiego pokarmu, którą właśnie przyswajała.

Prócz świadomości, że oddzielona część właśnie się pożywia, do Większego Wartownika dotarło płynące z tego faktu zadowolenie, co obudziło jego zazdrość.

W tym, co u Większego Wartownika pełniło rolę mózgu, uformowała się myśl. Postanowił porozumieć się z pożywiającą się częścią i dowiedzieć od niej, co się właściwie stało oraz czy nadszedł czas zdobywania pokarmu.

Minuta i stulecie nie różniły się zbyt dla niego, pamiętał jednak, że jeszcze nigdy nie było tak długiej przerwy między posiłkami. Miał nadzieję, że to, co przywróciło mu świadomość, może się poruszać, i liczył, że po pewnym czasie dotrze do niego osobiście. Gdyby nadarzyła się mu okazja do spożycia większej porcji pokarmu, nie potrzebowałby później pomocy z podniebnego świata, by się poruszać, wyszukiwać kolejne zdobycze oraz swobodnie się rozmnażać.

Po ciele Większego Wartownika przeszedł dreszcz rozkoszy, który udzielił się otaczającym go skałom.

Wilgotne podłoże jaskini, w której stał Akimos, zadrżało. Gdzieś bardzo daleko rozległ się łoskot spadającej skały. Bliżej słychać było osypywanie się piasku ze szczelin pod sklepieniem. Jeden ze stalaktytów runął z hałasem. Gwardzista, którego o mało nie przedziurawił, odskoczył z dłonią na rękojeści miecza.

— Spokojnie! Nie denerwujcie się — powiedział Skiron. — Pełno tu podziemnych źródeł, które drażą nawet najtwardszy kamień, dlatego też czasem skały osiadają.

— Nie obchodzi mnie, jaka będzie przyczyna, jeżeli osiadą na mnie! — mruknął ktoś.

Skiron zaklął pod nosem, żałując, że Akimosowi brakuje rozumu i odwagi jego przodków. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż uspokajanie Gwardzistów.

— Jest tu szczelina, która da ujście dymowi — stwierdził Akimos, wskazując strop pieczary. Zaśmiał się. — Przynamniej dymowi ze zwykłego ognia. Nie wiem, jak będzie ze smrodem twoich czarów.

— Nie zamierzam ich rzucać, jeżeli...

Akimos zmarszczył brwi. Skiron zorientował się, że się zdradził. Kupiec obdarzył go przeciągłym, surowym spojrzeniem.

— Nie będziesz ich potrzebować? Czy też nie ośmielisz się ich użyć?

— Czego miałbym się obawiać?

— Nigdy nie słyszałeś o Wartownikach, chociaż mienisz się czarnoksiężnikiem?

Skiron zaśmiał się. Poniewczasie uświadomił sobie, że echo jego śmiechu niesie się daleko po labiryncie tuneli i kawern. Twarz Akimosa nabrała chmurnego wyrazu.

— Niewykluczone, że Wartownicy nie są magicznymi stworzeniami. Wiele opowieści podaje, że zawdzięczają swe powstanie wielkiej wiedzy Atlantów o naturze.

— Być może tego cię nauczono — powiedział Akimos. — Dla nas to, co wiadomo o Wartownikach, zalatuje ohydą magią.

— Czy stworzyła je wiedza, czy czary, na pewno już dawno nie żyją — odparł Skiron. — Nic mi jednak nie przeszkadza, że ludzie wierzą w opowieści o nich.

— Tacy ludzie jak pewien Cymmerianin?

— Właśnie.

Skiron odwrócił się, zadowolony, że tak łatwo udało mu się wyłgać. Nie chciał, by Akimos zainteresował się zbytnio Wartownikami.

Kupiec nie wiedział, że Skiron przywiódł ich w miejsce, gdzie niegdyś grasowali Wartownicy. Jeśli teraz nie żyli lub byli słabsi niż czary przykuwające ich do tych ziem, wtedy magowi i jego towarzyszom nic nie groziło. Inaczej...

Swoje wątpliwości czarnoksiężnik musiał jednak zachować w głębi duszy. Ujawnienie ich oznaczałoby przyznanie się, że jego znajomość magii jest skromniejsza, niż się chwalił. Akimos nie wybaczyłby mu tego oszustwa, i było mało prawdopodobne, by Skiron przeżył rozstanie ze swym protektorem.

Oczywiście, o ile Akimos pozwoliłby mu przeżyć ich rozstanie.

Posłanie od Doris przyniósł wynajęty posłaniec, którego Liwia ani Reza nigdy wcześniej nie widzieli na oczy. Większe zamieszanie w pałacu Damaos nie zapanowałoby nawet wtedy, gdyby wybuchł w nim pożar. Liwia pierwsza zapoznała się z wiadomością, po czym przywołała Conana oraz Rezę i odczytała im list.

Jeżeli kapitan Conan raczy przybyć dziś po czwartej godzinie do siedziby rodu Lokhri, dowie się czegoś ważnego dla bezpieczeństwa rodu Damaos.

Prócz tego posłanie zawierało pieczęć Doris, odcisniętą w perfumowanym wosku. Liwia i Reza poświadczyli jej prawdziwość, Conan zaś zapamiętał woń pachnidła podczas wizyty Doris.

— Należy sądzić, że wiadomość jest prawdziwa — powiedział Cymmerianin. — Doris nie zaznaczyła, że mam się zjawić sam. Myślę, że powinienem tam pójść z kilkoma ludźmi.

Liwia otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz ubiegł ją Reza:

— Oczywiście, Conanie. Wybiorę trzech czy czterech moich najlepszych strażników. Powinniśmy ustalić, jak przekazywać sobie znaki. Jeżeli to pułapka, dobrze byłoby, gdyby udało ci się nas zawiadomić.

— Od wielu lat trafiam w pułapki lepszych myśliwych niż Doris. Nadal żyję, czego nie można powiedzieć o większości z nich — odparł Conan z uśmiechem. — Jeżeli Doris zastawiła zasadzkę na lisa, zdziwi się, że znalazł się w niej niedźwiedź.

— Conanie... kapitanie, to szaleństwo! — wykrztusiła Liwia. — Nie sądzę, by Doris chciała zdradzić ci cokolwiek ważnego. Jeżeli tam pójdziesz, narazisz siebie i ród Damaos na wielkie niebezpieczeństwo.

— Zawsze tak bywa, gdy spiskują możni tego świata — rzekł Conan. — Byłbym jednak głupcem, gdybym zlekceważył możliwość, że dowiem się czegoś istotnego.

Postanowił nie wspominać, że liczył na spotkanie z Harfosem. Miał nadzieję, że we własnym domu rodu Lokhri będzie pilnować się mniej starannie.

— Być może za cenę śmierci ludzi, którzy pójdą z tobą! — odparła Liwia.

— Na czele ośmiu czy dziewięciu uzbrojonych po zęby najemników Conanowi nie będzie groziło wielkie niebezpieczeństwo. — Reza zmarszczył brwi.

— Lecz jeśli Doris nie zechce ich wpuścić... — Liwia przystąpiła do zaciętej obrony własnego zdania.

— W takim razie Conan będzie miał powód podejrzewać, że zastawiono na niego pułapkę — odrzekł Reza. — Możemy być pewni, że zachowa się rozsądnie. Pani, wybacz mi szczerość, lecz jeżeli możemy zaufać komukolwiek, to właśnie wychowankowi tak wytrawnego żołnierza jak kapitan Khadjar.

— Ufam Conanowi i wierzę w twój sąd o Khadjarze — powiedziała Liwia tonem kapryśnego dziecka. — Czy mogę jednak zaufać tobie, Reza?

— Co to ma znaczyć, pani?

W głosie majordomusa zabrzmiała nuta buntu. Conan wstrzymał oddech i oparł dłoń na rękojeści miecza. Jeżeli Liwia była gotowa otwarcie oskarżyć Iranistańczyka o niechęć do Conana, to pogorszyłoby tylko sytuację. Reza zacząłby jeszcze bardziej obawiać się o swoją pozycję. Jeżeli zazdrość wzięłaby górę nad innymi uczuciami, zapewne bezpieczniej niż w rezydencji Damaos byłoby w pałacu Lokhri!

— Pani, sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli odwiedzę Doris — stwierdził Conan. — Jeżeli się nie zjawię, będzie to dla niej obraza, a przecież mamy już dosyć wrogów.

Liwia przygryzła wargę i skinęła głową.

— W takim razie niech bogowie będą z tobą, kapitanie.

— Nie ufam bogom, lecz przy pomocy Rezy, dzielnych ludzi i ostrej stali, poradzę sobie. — Conan uśmiechnął się i wyszedł.

Czuł, że Liwia nie spuszcza z niego wzroku, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi.

Conan uniósł dłoń. Dziesięciu podążających za nim ludzi stanęło. Zegar wodny na szczycie fontanny na Placu Klatkowym wskazywał, że nie minęło jeszcze wpół do szóstej.

— Mamy dość czasu, by utrudnić zadanie wszystkim, którzy mogliby nas śledzić — powiedział i wskazał jedną z prowadzących do portu uliczek. — Zejdziemy tędy. Mekhasie, ty najlepiej znasz tę dzielnicę. Idź przodem, będziesz wskazywać nam drogę.

Sługa rodu Damaos skinął głową i przeszedł na czoło kolumny. Kiedy oddalił się na tyle, że nie mógł już usłyszeć Conana, ten skinął na Jarenza.

— Dołącz do niego. Nie wyjmuj miecza, lecz bądź gotów go użyć. Jeżeli Mekhas będzie zachowywał się niespokojnie, wypytaj go dlaczego. Jeżeli zacznie z tobą walczyć, postaraj się ogłuszyć go płazem.

— Tak jest, kapitanie.

Jarenz ruszył szybko naprzód, aczkolwiek utykając nieco na zranioną w obozie drwali nogę. Gdy pozostali skierowali się w stronę nadbrzeża, Conan został z tyłu. Instynkt podpowiadał mu, że od pewnego czasu są śledzeni. Nie usłyszał ani nie wypatrzył niczego podejrzanego, lecz zbyt wiele razy zawdzięczał życie swoim odczuciom, by je lekceważyć.

Na odcinku kilkuset kroków ulica była dobrze oświetlona i opustoszała. W pobliżu portu niewielu ludzi załatwiało po zmroku uczciwe interesy, ci zaś, którzy prowadzili nieuczciwe, starali się uniknąć spotkania z patrolami Gwardii. Żywot złodzieja w Messancji, zwłaszcza w tych jej dzielnicach, w których zgromadzone były godne kradzieży dobra, był ciężki i zazwyczaj wyjątkowo krótki.

W samym jednak porcie nie spotykało się już patroli Gwardii. W miarę zbliżania się do niego, latarnie były coraz rzadsze. W końcu drogę oświetlały wyłącznie gwiazdy, księżyc oraz światła z okien winiarni i domów rozpusty. Gładki bruk zastąpiły garbate, zawalone śmieciami kocie łby, między którymi rozciągały się kałuże cuchnącego błota.

Conan obciągnął kolczugę. Mimo przestronności, czystości, dobrego jedzenia i miękkiej pościeli, w najbogatszej dzielnicy Messancji czuł się nieswojo. Bardziej przywykł do obyczajów biedniejszych rewirów, które oglądał najpierw jako niewolnik, a później złodziej.

Gdy dziesięciu ludzi dzieliło od nadbrzeża nie więcej niż sto kroków, Conan nakazał zatrzymać się, po czym dał znak, by skręcić na zachód w najbliższy zaułek. Dzięki temu mógł teraz zajrzeć równocześnie w głąb trzech uliczek.

Wszystkie były mętnie oświetlone. Jedną z nich skradała się słabo widoczna postać. Na chwilę znieruchomiała pod ścianą, zlewając się z nią, po czym ruszyła ponownie naprzód.

Conan dał dłonią znak: „Przygotować się, grozi zasadzka”. Przekazano go dalej.

Ulica wiła się jak pijany wąż. Miejscami była tak wąska, że Conan mógł namacać mury po obu stronach naraz. Niewielki orszak poruszał się pod górę, zawracając w stronę pałacu Lokhri.

Nadal ich śledzono. Potrzeba było kociego wzroku Cymmerianina, by nie stracić ich z oczu, lecz ten, kto im towarzyszył, najwyraźniej nie ustępował Conanowi pod tym względem.

Przed towarzyszami Conana pojawiły się cztery stopnie, za którymi uliczka rozszerzała się. Wkrótce dostrzegł światło latarni, a w jego kręgu trzy masywne beczki na wino... i chudą rękę, która wysunęła się z cienia, by wyciągnąć podtrzymujący je klin.

— Beczki! — krzyknął Conan.

Pomknął na czoło grupy. Beczki zsunęły się z łoskotem i nabierając rozpędu, potoczyły ku nim po pochyłej uliczce.

Conan dostrzegł opartą o pobliskie drzwi belkę. Chwycił ją, zważył w dłoniach i stanął na drodze pędzących beczek, opierając przed sobą koniec kłody o ziemię. Pierwsza beczka wtoczyła się na

belkę i zatrzymała. Druga rąbnęła w pierwszą, a trzecia zderzyła się z drugą tak silnie, że pękła. Po bruku popłynęło wino, splukując brud.

— Co za marnotrawstwo! — westchnął Jarenz.

Nim Conan zdążył uciszyć go z przekleństwem, z zaułków na obu końcach uliczki wyroili się nieprzyjaciele.

Conan wyszarpnął belkę spod beczek. Dwie ocalałe potoczyły się dalej, tam gdzie uliczkę przecinały schodki. Zwały z nóg trzech z czterech wspinających się po nich ludzi. Zginęli z krzykiem, zmiażdżeni ich ciężarem. Conan zamachnął się balem w stronę czwartego z przeciwników. Ten odskoczył, poślizgnął się na zalanych winem kamieniach i za moment legł ze strzaskaną czaszką.

Tymczasem towarzysze Conana wdali w bezpardonową walkę. Dwóch napastników podbiegło do Cymmerianina, który nie tracąc czasu na wyciąganie miecza, wystawił belkę na mierzone z góry cięcia. Obydwa ostrza ugrzęzły w drewnie. Conan obrócił belkę, wyszarpując przeciwnikom broń z dłoni i rzucił im kłodę prosto w twarz.

Zatoczyli się na mur. Jeden znieruchomiał, przywalony kłodą, drugi wyciągnął nóż. Ledwie go uniósł, Conan odciął mu pod łokciem rękę, w której go trzymał. Piskliwy krzyk ранnego mężczyzny zniknął w zgiełku walki.

Zgiełk szybko ucichł. Napastnicy zapewne liczyli, że beczki rozproszą ludzi Conana i zranią paru z nich. Tymczasem sześciu atakujących zginęło, zanim walka zaczęła się na dobre.

W tej sytuacji większość z tych, którzy byli w stanie uciekać, uczyniła to bez zwłoki.

Dwóch oprychów wpadło do jednego z domów i zatrasnęło za sobą drzwi. Conan zobaczył, że trzech jego ludzi podnosi porzuconą kłodę i taranuje nią zamknięte wejście. Chwycił jej koniec i wyszarpnął im z rąk. Mężczyźni utkwili w nim nie rozumiejące spojrzeń.

— Nie mamy czasu na wyłapywanie tych bękarcich psów! Poza tym wyważanie drzwi na pewno jest sprzeczne z jakimś argosańskim prawem! — dwaj najemnicy uśmiechnęli się, a Cymmerianin uniósł głos: — Zbiórka! Czy ktoś jest ranny?

W odpowiedzi rozległ się słaby głos Jarenza. Kapitan najemników przyklęknął przy młodym mężczyźnie. Zaciął usta, ujrawszy jego pobladłą twarz i ziejącą w udzie ranę. Nie musiał nic mówić. Jarenz namacał słabnącymi dłońmi sakiewkę przy pasie i zdjął ją.

— Dla Vandara... żeby łatwiej mu poszło... z dziewczyną... Po raz pierwszy... zalecał się... bez niczyjej pomocy. — Jarenz zmusił się do uśmiechu, co wywarło upiorne wrażenie. — Przepraszam, kapitanie — zdołał jeszcze powiedzieć. — Chyba nie... byłem dość dobry. Może bogowie...

Conan nie dowiedział się, na co Jarenz liczył ze strony bogów. Oczy młodego mężczyzny zamknęły się. W chwilę później przestał oddychać. Cymmerianin otarł skrwawione dłonie o tunikę i wstał.

To, że martwy najemnik miał towarzystwo w postaci ośmiu trupów, poprawiło nieco nastrój Conana.

Nie mogło to jednak przywrócić Jarenza do życia, zapewnić spokoju jego bratu ani powstrzymać Cymmerianina przed zemstą na tych, którzy byli sprawcami zasadzki.

— Zróbcie nosze — rzucił krótko. — Zabieramy Jarenza ze sobą.

Pałac Lokhri, aczkolwiek gorzej utrzymany, był jeszcze większy od siedziby rodu Damaos. Rozsypany się i na poły zarośnięty winoroślą mur przylegał do niewielkiego parku.

Conan polecił jednemu z ludzi, by wspiął się na pobliskie drzewo, drugiemu zaś kazał wejść na mur w miejscu, gdzie odpadły przerdzewiałe kolce.

— Miejcie otwarte oczy, ale nie gęby — polecił mu. — Trzeba, by ktoś pozostał tutaj i w razie potrzeby przekazał wiadomość do pałacu Damaos. Macie obserwować teren wokół pałacu. Gdy tylko znajdziemy się w środku, wyślę kogoś, żeby dawał sygnały. Jeżeli coś przegapicie, lepiej uciekajcie do Khitaju. Wszędzie bliżej mogę was znaleźć.

— A jeżeli zginiesz w zasadzce, kapitanie? — roześmiał się służący.

Cymmerianin odpowiedział mu uśmiechem, w którym nie było radości.

— Chcesz założyć, że tylko dlatego, że zginę, niewypełnienie rozkazu ujdzie ci bezkarnie?

Ani służący, ani najemnik nie mieli ochoty stawiać czoła mściwemu duchowi Cymmerianina. Zajęli wyznaczone stanowiska, a Conan zabrał pozostałych siedmiu żywych towarzyszy i jednego martwego pod główną bramę pałacu.

Obydwaj strażnicy byli dwakroć starsi od Cymmerianina i niemal o połowę niżsi. Jeżeli to ich pani zaplanowała zasadzkę, na pewno nie brali w niej udziału. Gapili się na pieczęć na posłaniu i wydaną przez Gwardię przepustkę, jak gdyby zawierały sekret wiecznej młodości.

Obaj nie tylko wyglądali na niezdolnych do walki. Byli również marnie wyposażeni. Począwszy od wytartych rzemieni hełmów po nie dopasowane sandały, cały ich strój trącił starzyzną. Conan natychmiast wyrzuciłby tak odzianych wojaków ze swej kompanii.

Kruszące się, zarośnięte mury. Wartownicy sprawiający wrażenie, jakby spali na posterunku, oraz Doris, która pragnęła ożenić syna z Liwią, dziedziczką jednej z największych w Argos fortun. Jeżeli Conan żywił wcześniej wątpliwości, jakiego rodzaju intrygę knuła głowa rodu Lokhri, teraz mógł się ich pozbyć. Przysiągł sobie, że gdy pomści Jarenza, każe drogo zapłacić Doris za uchybienie honorowi rodu Damaos.

Lecz jeśli to nie Akimos, ale Doris zastawiła zasadzkę tego wieczora? Conan zacisnął dłonie na zardzewiałych prętach kraty, jakby było to gardło wroga. Ciężko przychodziła mu myśl o wyrządzeniu kobiecie krzywdy, lecz przysiągł sobie, że się nie zawaha. Twarz Conana przybrała jeszcze posepniejszy wyraz. Strażnicy spieszenie zeszli mu z drogi, a Cymmerianin wprowadził swoich ludzi na aleję wiodącą ku pałacowi.



— Pani przyjmie cię w Bursztynowej Komnacie, kapitanie — powiedział kilka minut później majordomus.

Conan skinął głową. Majordomus był niemal równie zwalisty jak Cymmerianin, lecz łysy, brzuchaty i wystarczająco stary, by być jego dziadkiem. Conan pomyślał, że jedyny pożytek, jaki można by mieć z niego na wojnie, to wystrzelić go jako pocisk z katapulty. Dzięki swojemu ciężarowi z pewnością przebiłby dach każdej fortyfikacji.

— Powiedziała kiedy? — spytał Conan.

— Ach, ci młodzi wojownicy są tacy niecierpliwi — odparł majordomus chichocząc.

— Nie o to pytałem — rzekł Conan. — Przyznanie się, że ani ty, ani twoja pani nie wiecie, jak długo kazać mi czekać, nie przyniesie waszemu rodowi wstydu — zmarszczył brwi. — Jeżeli jednak będziecie zwlekać, jak byście mieli do czynienia z żebrakami, może stać się coś gorszego.

Conan pozostawił resztę wyobraźni sługi, i nie zawiódł się; majordomus otworzył szeroko przekrwione oczy. Chwilę później wdrapał się po schodach szybciej, niż można było się po nim spodziewać. Wkrótce wrócił, zasapany i bledszy niż przedtem.

— Pani przyjmie cię natychmiast. Racz pójść za mną, kapitanie.

— Co z moimi ludźmi?

— Twoimi... ach tak. Czeka na nich jedzenie i wino w kwaterach służby. Jeżeli zechcą po drodze zabrać dar, który przynieśli...

— To nie dar, ale zabity człowiek — odparł Conan.

— Co... — majordomus oniemiał ze zdumienia.

— Jeden z moich ludzi zginął w zdradzieckiej pułapce niedaleko waszego pałacu. — Nie była to cała prawda, lecz Conan nie miał nic przeciwko przestraszeniu majordomusa. — Wątpię, by moi towarzysze byli mile widziani w kuchni — kontynuował Cymmerianin. — Pozostaną przy martwym towarzysz. Powiedziałaś, że pani czeka na górze, czyż tak?

Wszystko, co Conan dostrzegł po drodze na piętro, opowiadało historię o potężnym niegdyś rodzie, który popadł w ruinę. Zszarzałe ściany pokryto świeżym tynkiem tylko tam, gdzie nie można było tego uniknąć. Widniały na nich jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie niegdyś wisiały kobierce i gobeliny. Nieliczne, które pozostały, były spłowiałe, przetarte i nadpleśniałe. Szczury i myszy powygryzały dziury w wystawnej boazerii. Służący byli albo bardzo starzy, lub bardzo młodzi. Wychudzeni, poruszali się niepewnie, jakby stale wisiała nad nim groźba chłosty.

Conan przypomniał sobie opowieści o pompie, z jaką Doris złożyła pierwszą wizytę w pałacu Damaos. Zastanawiał się, ile sprzedano w tym celu gobelinów? I jak długo służba musiała potem jeść

cienką owsiankę?

Conan domyślił się, dlaczego Doris wezwała właśnie jego, nie zaś Liwię czy Rezę. Liczyła, że cymmeriański barbarzyńca nie zorientuje się, do jakiego stopnia podupadło domostwo rodu Lokhri. Jeżeli zdradziłby się ze swą wiedzą, zapewne zaproponowałyby mu łapówkę za milczenie.

Poprzysiągł sobie, że jeśli Doris spróbuje mu posmarować dłoń złotem, wypróbuje miecz na jej meblach. Czy wszyscy Argosańczycy myśleli, że każdego Cymmerianina od urodzenia bito po głowie? I czy właśnie to trzeba było zrobić z przedstawicielami tego kupieckiego narodu, by nabrali trochę rozumu?

Majordomus zatrzymał się u szczytu schodów i wyciągnął dłoń.

— Pani czeka w końcu korytarza, za wykładanymi bursztynem drzwiami.

— Dobrze.

Sługa wyraźnie spodziewał się napiwku. Conan potrząsnął przecząco głową. Jeżeli Cymmerianinowi powiodłoby się z Doris, dopiero wówczas poświęciłby trochę funduszy rodu Damaos, by rozwiązać języki tutejszej służby.

Wykładane bursztynem drzwi wykonano z rzeźbionego z wielką dbałością i polerowanego drewna. Conan zastukał. Dźwięk, jaki wydały, powiedział mu, że ostałyby się przed taranem.

— Kto tam?

— Kapitan Conan, na wezwanie dostojnej Doris.

— Proszę.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Za nimi obute stopy Conana zatoneły w ciemnoniebieskim grubym dywanie. Cymmerianin wyczuł woń kadzidła i znajomego pachnidła. Uniósł wzrok i spojrzął w oczy gospodyni.

Doris była odziana bardziej skąpo, niż się spodziewał. Sięgająca połowy łydek szata u góry odsłaniała jej ramiona. Była rozcięta z przodu niemal do pasa, lecz spinająca ją masywna złota brosza, inkrustowana bursztynem i drobnymi szmaragdami, zapewniała zachowanie pozorów przyzwoitości.

— Pani — rzekł Conan i skłonił się, naśladując najlepiej jak mógł argosańską służbę wyższej rangi.

— Witaj, kapitanie. Możesz usiąść.

Cymmerianin rozejrzył się po wykładanej mahoniową boazerią komnacie. Mógł usiąść jedynie na wielkim łożu z baldachimem lub na hebanowej sofie z purpurowymi poduszkami, na której siedziała Doris. Nie chcąc krzyknąć przez całą komnatę, Conan przysiadł na sofie.

— Cóż, kapitanie, jak mają się sprawy w pałacu Damaos? Tuszę, że wszystko w porządku?

— Na tyle, na ile to możliwe — odparł zwięźle Cymmerianin.

— Wciąż nie wiadomo, kto nasłał na was czary, a później zbrojnych napastników?

— Staramy się tego dowiedzieć, pani. Nie mogę powiedzieć nic więcej, przynajmniej zanim moja pani mi na to zezwoli, a stanie się tak, kiedy będzie gotowa do ataku.

Doris zaczerpnęła głęboko tchu, co sprawiło, że szata napięła się na jej piersiach — nie tylko bujnych, lecz sprawiających wrażenie wciąż jędrnych. Chociaż miała dwudziestoletniego syna, z łatwością dano by wiarę, gdyby twierdziła, że ma za sobą dopiero trzydzieści wiosen życia. Oliwkowa skóra jej ramion była gładka, a granatowoczarne włosy pozbawione chociażby pasma siwizny.

— Zabrzmiało to, jakby Liwia była czyhającą na ofiarę lwicą, kapitanie.

Conan zaśmiał się po raz pierwszy tego wieczora bez cienia szyderstwa czy goryczki.

— Nie chciałbym mieć za wroga kogoś takiego jak ona. Znaczoną część życia byłem żołnierzem, pani, a jednak widziałem niewielu wodzów bardziej przebiegłych niż Liwia.

— Mimo to nawet najlepszy dowódca musi wiedzieć, kim są jego wrogowie, czyż nie?

— Oczywiście. Jednak, jak powiedziałem, usilnie staramy się tego dowiedzieć. Kiedy zyskamy dowody, które będziemy mogli przedstawić archontom, ten, kto wynajął zaklinaczy i nożowników, najlepiej uczyni, wsiadając na statek zmierzający na drugi koniec świata.

— Ten? To mężczyzna?

— Pani, nie podejrzewamy cię, przynajmniej nie o napaść na pałac Damaos.

Doris oblizwała wargi. Conan wyczuwał z jej strony oczekiwanie, zaciekawienie i coś jeszcze. Najprawdopodobniej strach.

— Kapitanie, powiedz otwarcie, jeżeli pragniesz mojej pomocy. Czy podejrzewasz, że działałam na szkodę rodu Damaos?

Conan obrócił się w jej stronę.

— Dzisiejszej nocy wyprawiliśmy się tutaj okrężną drogą, obawiając się szpiegów. Mimo to byliśmy śledzeni. Na ulicy... nie znam nazwy, ale są na niej cztery schodki...

— Ulicy Dytrambesa Opoja — powiedziała niemal szeptem Doris.

— Odpowiednia nazwa — stwierdził Conan. — Zaatakowało nas około dwudziestu ludzi. Zabiliśmy przynajmniej połowę z nich, lecz zabili jednego z moich najemników, a dwóch zranili. Ktoś zapłacił,

by ich wynająć. Mamy temu komuś krwawy dług do spłacenia...

Urwał, ponieważ Doris pobladła na tyle, na ile pozwalała jej cera. Jej oczy zamieniły się w ciemne, głębokie stawy, jeden policzek począł drgać bezwiednie. Skurcze objęły usta Doris. By to ukryć, przyłożyła do nich upierścienione dłonie. Zamknęła oczy i wydała głębokie westchnienie.

Opuściły ją siły. Zachwiała się i zsunęłaby się z sofy, gdyby Conan nie przytrzymał jej, otoczywszy ramieniem. Łagodnie przytulił omdlałą Doris do szerokiej piersi i sprawdził, czy oddycha.

W tym momencie rozległy się dzikie krzyki:

— Psie! Zabierz parszywe łapy od naszej pani!

Ukryte drzwi z łoskotem stanęły otworem. Do komnaty wpadło trzech ludzi, dwóch wyskoczyło spod łoża, a jeszcze dwóch przez okno.

Conan bezceremonialnie rzucił Doris na sofę i zerwał się na równe nogi. Ujrzał, że kobieta nadal nie otwiera oczu. Gdy siedmiu służących otoczyło go nierównym kręgiem, przestał mieć czas na przyglądanie się jej.

Okazało się, że młodzi i krzepcy służący nie są rodzajem ludzi nie znanym w pałacu Lokhri. Byli uzbrojeni w krótkie miecze i sztylety. Jeden z mężczyzn dzierżył włócznię. Mimo to wszyscy sprawiali wrażenie nie zdających sobie sprawy, do czego się zabierają, ani tym bardziej z kim przyszło im się zmierzyć. Przewodził im najwidoczniej włócznik, który nie spuszczał oczu z Doris. Jego długa broń czyniła go najgroźniejszym, a przez to pierwszym przeciwnikiem, z którym musiał sobie poradzić Conan. Należałoby właściwie nazwać go ofiarą, ponieważ Cymmerianin pierwszym ciosem miecza przeciął włócznię w pół, po czym zamarkował cios w jego nogi. Włócznik odskoczył, podczas gdy do Conana zbliżyli dwaj najbliżsi słudzy.

Znaleźli się zbyt blisko, co dało Cymmerianinowi cel, którego nawet ślepiec nie byłby w stanie przegapić. Przerzucił miecz z prawej do lewej ręki i rąbnął rękojeścią w twarz jednego z nich. Pozwolił, by impet ciosu obrócił go, i obutą stopą kopnął drugiego z przeciwników w kroczę. Służący spróbował usiąść w powietrzu. Gdy mu się to nie udało, runął na dywan, walcząc o oddech, by móc krzyczeć.

Przywódca służących dźgnął Conana uciętym końcem drzewca włóczni i wyciągnął nóż. Cymmerianin ponownie przerzucił miecz i płazem uderzył go w dłoń ze sztyletem. Mężczyzna wrzasnął i upuścił nóż. Jeden z jego towarzyszy rzucił się po niego, równocześnie tnąc w stronę kolan Conana.

Gdy ostrze sztyletu musnęło golenie Cymmerianina, ten odwrócił się szybciej, niż mogło za nim nadążyć oko. Po drodze jego stopa wylądowała między kolanami nożownika, który stracił równowagę, lecz nie upadł. Rozpaczliwie przebierając nogami, wpadł na jednego ze swoich towarzyszy. Obydwaj zatoczyli się na ścianę komnaty. Wisiał na niej gobelin przedstawiający otaczających tygrysa łuczników. Nie wystarczył on, by złagodzić zderzenie służących z murem. Padli na podłogę bez zmysłów, gobelin zaś zsunął się po ścianie i okrył ich niczym całun.

Conan jeszcze raz przerzucił miecz z ręki do ręki i roześmiał się. Jedno lub drugie sprawiło, że dwóch pozostałych służących znieruchomiało jak posągi. Doris stęknęła i zamachała rękami.

Cymmerianin ostrożnie ujął nadgarstek pani domu i pomógł jej usiąść, po czym odwrócił się do siódemki mężczyzn, których pokonał w ciągu czasu, wystarczającego na wypicie duszkiem połowy kielicha wina.

— Conanie... kapitanie, czy oni...? — wydusiła z siebie Doris.

Rozejrzała się po komnacie i jej oczy stały się bardziej okrągłe niż zwykle.

— Jeżeli którykolwiek z tych... mężczyzn — rzekł z przekąsem Conan — stracił choćby kroplę krwi, osobiście opatrzę jego rany, ale nie twierdzę, że do rana będą zdolni do walki... o ile nadawali się do niej kiedykolwiek — dodał, spoglądając na dwóch zamienionych w posągi służących.

Obelga sprawiła, że obydwaj zadygotali i wzniesli miecze.

— Dosyć! — rozkazała ich pani. — Zabraniam wam podnosić rękę na kapitana Conana — i jego ludzi.

Przywódca służących odzyskał zmysły i zdolność mowy.

— Pani, powiedziałaś...

— Nie wiedziałam wszystkiego. Dowiedziałam się od Conana... czegoś, co zmienia postać rzeczy. Wyjdźcie, wszyscy! i przekażcie, że towarzyszący kapitanowi Conanowi ludzie mają poznać całą gościnność rodu Lokhri.

— Pani...

— Czy cios Conana sprawił, że stałeś się jeszcze bardziej tępy niż przedtem? — Doris stłumiła protest w zarodku. Może powinnam kazać mu rąbnąć cię ponownie, żeby przywrócić ci rozum?

Myśl o ponownym stawieniu czoła Cymmerianinowi dodała służącym skrzydeł do pięt. Dźwignęli nieprzytomnych towarzyszy i rzucili się do drzwi z takim pośpiechem, iż mieli spore kłopoty, nim ustalili, który wyjdzie pierwszy.

Gdy wreszcie zniknęli, Doris roześmiała się tak serdecznie, że brosza na jej piersi o mało nie puściła.

Conan stał w milczeniu, dopóki Doris nie przestała i usiadła.

— Wybacz mi, kapitanie. Pewnie nie widziałeś w tym nic śmiesznego?

— Istotnie — odparł. — Nigdy nie bawiło mnie upokarzanie ludzi walczących tylko dlatego, że otrzymali bezmyślne rozkazy. Zważywszy na to, że ty je wydałaś...

— Moje rozkazy?

— Pani, potrafię odróżnić pułapkę od przypadku. Znam nawet ten rodzaj pułapki. Służba miała pomścić twoją cnotę... — Doris opuściła wzrok przed wymierzonym w nią lodowatym spojrzeniem Cymmerianina, lecz skinęła głową. — Tak właśnie myślałem. Nie wszystko poszło zgodnie z planem, prawda? — Odpowiedziała kolejnym kiwnięciem. — Powiesz mi dobrowolnie, po co mnie wezwałaś, czy mam cię do tego zmusić, pani?

— W moim własnym domu? — Doris uśmiechnęła się. — Jaką bronią?

Przesunęła palcami po zapince. Conan spostrzegł, że szata zsunęła się jej z ramienia, odsłaniając wypukłość piersi.

— Jeżeli potrafisz poradzić sobie bez rozlewu krwi z siedmioma mężczyznami, nie wątpię, że dasz sobie radę również z jedną kobietą.

— Nawet w bezpośrednim starciu?

Czuł, że krew zaczyna pulsować mu żywiej w żyłach. Musiałby pierwszy raz widzieć kobietę, by pomylić znaczenie ostatnich słów.

— Nawet w nim.

Doris wstała. Jej dłoń powędrowała do zapinki. Jeden zręczny ruch wystarczył do rozpięcia broszy. Szata rozchyliła się do pasa. Wzruszenie ramion wystarczyło, by zsunęła się na podłogę.

Całe ciało Doris było tak wspaniałe, jak podpowiadała Conanowi wyobraźnia, począwszy od piersi, aż wołających, by ujęły je męskie dłonie. Miał wrażenie, że w jego żyłach toczy się rozpalona magma.

— Wyzwałam cię do bezpośredniej walki, Cymmerianinie — powiedziała dama, kładąc się na sofie. — Odmawiasz podjęcia wyzwania?

— Czy wyglądam na aż takiego głupca? — odparł Conan. Zakrył jej usta pocałunkiem, nim zdążyła odpowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 10

Stukanie do drzwi obudziło Conana później niż zwykle. Zawsze miał sen tak płytki, jak znajdujące się w niebezpieczeństwie dzikie zwierzę, jednak tym razem usłyszał pukanie dopiero wtedy, gdy stało się głośniejsze od chrapania Doris.

Obudzony, Conan w jednej chwili przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Z mieczem w dłoni ruszył

do drzwi.

— Kto tam?

— Kapitanie, chciałbym z tobą porozmawiać.

Conan rozpoznał głos Harfosa.

— Za chwilę.

Wrócił do łoża, przykrył nagą Doris, zaciągnął zasłony przy łożu, ubrał się i zapiął pas. Gdy w końcu odciągnął zasuwę, Harfos sprawiał wrażenie zniecierpliwionego oczekiwaniem. Miał zaczerwienione oczy, lecz nie bił od niego odór wina.

Potomek rodu Lokhri jednym spojrzeniem musnął zasłonięte łożo i Conana, po czym odwrócił się w stronę drzwi.

Cymmerianin położył mu dłoń na ramieniu.

— Dokąd chcesz mnie zabrać?

— Tam gdzie nikt nie może podsłuchać naszej rozmowy.

— Prowadź. Mam nadzieję, że nie wciągniesz mnie w kolejną bijatykę.

Harfos zaśmiał się krótko, chrapliwie.

— W tym domu niewielu jest ludzi, mogących ci stawić czoło. Mogę ręczyć, że żaden z nich nie ma na to ochoty. Nie mógłbym zastawić na ciebie zasadzki, nawet gdybym chciał.

Conan wiedział, że nie potrzeba ludzkiej dłoni, by zadziałały nastawione kusze, podwieszane ciężary, rozsuwane otwory w posadzce czy inne tego rodzaju pułapki. Był jednak gotów zawierzyć, że instynkt uchroni go przed nimi. Poza tym musiał zdać się na łaskę bogów, jeżeli chciał poznać tajemnice rodu Lokhri.

O ile są jakiegokolwiek, pomyślał. Prócz tej, że Doris wygląda lepiej w nocy niż za dnia i zna wszystkie sposoby, dzięki którym kobieta może zadowolić mężczyznę.

Harfos powędrował szybko pogrążonym w mroku korytarzem do drzwi, prowadzących na kręcone schody. Zszedł po nich po dwa stopnie naraz, poruszając się z zaskakującą pewnością siebie.

W końcu dotarli do drzwi, wykonanych z jednej kamiennej płyty i zaopatrzonych w zamek godny pałacowej bramy. Harfos wyjął z sakiewki absurdalnie mały klucz i obrócił go trzy razy w trzech różnych dziurkach zamka.

Przy otwieraniu ostatniego z rygli z zamka wydobył się wysoki odgłos, przypominający przesuwanie palcem po szkle. Kamienna płyta obróciła się na spizowej osi, umieszczonej w środku jej szerokości.

Obydwaj mężczyźni musieli się schylić, by precyzyjnie do środka. Kolczuga Conana zazgrzytała o kamień.

Cymmerianin nie miał pojęcia, czego powinien spodziewać się po starannie zamkniętej komnacie, lecz na pewno nie tego, co ujrzał w środku. Posadzkę pokrywały wydeptane, lecz wciąż puszyste dywany. Przy ścianie stał długi stół z mahoniu. Prawie nie było na nim ozdób, tylko w jednym z kątów blatu znajdował się jakiś srebrny motyw. Przyjrząwszy się bliżej, Conan stwierdził, że to pradawne runy Vanirów.

Na półkach pokrywających pozostałe ściany stały dziesiątki porcelanowych, szklanych, kamionkowych, a nawet glinianych naczyń ze srebrnymi i brązowymi korkami. Gdzieś tam widać było sterty zwojów, niektórych pożółkłych, a nadto moździerze i tłuczki oraz nie znane Conanowi sprzęty.

Cymmerianin nie miał zresztą ochoty dowiadywać się, czym były. Gdyby jeszcze godzinę temu ktoś powiedział mu, że Harfos jest czarnoksiężnikiem, Conan orzekłby, że ma do czynienia z szaleńcem.

— Wyglądasz, jakbyś nie czuł się najlepiej, kapitanie. — Harfos usiadł na stole i uśmiechnął się. — Może zapach ziół i naparów przyprawia cię o mdłości?

— Marny to gospodarz, który w pierwszych słowach obraża gościa — mruknął Conan. — Ta zasada obowiązuje nie tylko w Argos, natomiast tutejsze prawo mówi, iż nikt nie może praktykować magii. Spodziewasz się, że zobaczywszy to wszystko, zachowam język między zębami?

— Tak.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie jest to tajemnica dla nikogo z wyjątkiem matki i kilku zaufanych służących. Po drugie, nie bawię się w czary. Potrzebuję tego wszystkiego, by leczyć.

— Na przykład, tych gamoni, którzy rzucili się na mnie?

Harfos zaśmiał się o wiele serdeczniej, niż można byłoby spodziewać się po chudym jak szczapa chłopaku.

— Conanie, trudno ukryć przed tobą cokolwiek, czyż nie?

— Jeżeli chodzi o coś, od czego może zależeć los moich ludzi, to owszem. Zatem jesteś uzdrowicielem. Taka jest tajemnica rodu Lokhri?

— Nie. — Harfos zaczął nagle wyglądać, jakby miał piętnaście lat. Wróciła niezgrabność i nieśmiałość, która cechowała go wcześniej. — Kapitanie, chcę, żeby Liwia została moją żoną. Nie dlatego, że matka każe mi zalecać się do niej, by podreperować naszą nadjedzoną przez szczury fortunę. Jak jednak mogę okazać jej, że ją kocham? Jak?

Conan ugryzł się w język i nie zaproponował, by Harfos skorzystał ze swoich eliksirów, by



uśmierzyć własną namiętność. Matka i jej służące pewnie już wystarczająco często wyśmiewały Harfosa.

— Słyszałem, że niektóre kobiety potrafią czytać w myślach mężczyzn — powiedział z uśmiechem.  
— Nie wiem jednak, czy Liwia jest jedną z nich. Dlaczego sam jej tego nie powiesz?

Na twarzy Harfosa pojawił się wyraz takiej zgrozy, jak gdyby Conan zaproponował mu skoczenie z murów Messancji.

— A moja matka?!

— Nie powiesz mi, że ona...

— Dowiedziałyby się i natychmiast ucięła konkury. Zależy jej na władzy nade mną w równej mierze jak na majątku Liwii. Gdyby doszła do wniosku, że wymykam się jej z rąk, nie miałbym chwili spokoju. Może nawet kazałyby zniszczyć tę komnatę!

— Na czym zależy ci bardziej, na Liwii czy na tym składzie?

— Kapitanie! — Harfos wstał i wyprostował się z godnością. — Gdybym nie wykorzystał moich umiejętności i lekarstw do uzdrowienia służby, zapewne przyszedłoby ci tłumaczyć się przed Gwardią. Dzięki mnie żaden z naszych ludzi nie doznał trwałego uszczerbku na zdrowiu.

— Mnie również możesz być za to wdzięczny — zauważył Conan. — Nie zwykłem traktować łagodnie ludzi, którzy rzucają się na mnie z wyciągniętą bronią.

— Nie spodziewałem się tego po tobie — odparł Harfos. — To kolejny powód, dla którego chciałbym mieć w tobie przyjaciela, kapitanie. Bezustanne strzeżenie się przed własną matką to niełatwa dola.

Conan nie mógł temu zaprzeczyć, dlatego postanowił wznieść zaproponowany przez Harfosa toast za przyjaźń.

— Sądzę, że najlepiej będzie, kapitanie, jeżeli wrócisz teraz ze swoimi ludźmi do pałacu Danaos. Kończąc opatrywanie służących matki, dałem im wywar nasenny. Obudzą się dopiero, gdy słońce wzejdzie wysoko na niebo. Przy odrobinie szczęścia, będą mieli jutro kłopoty z przypomnieniem sobie, co im się stało.

Ton Harfosa świadczył, że jego prośba jest w istocie poleceniem. Conan stwierdził, że będzie najlepiej, jeśli je wypełni.

Oczy Liwii przyglądającej się badawczo Conanowi miały odcień lodowej jaskini i zdawały się sprawiać, że w jej komnacie było równie zimno.

— Tak więc straciłeś jednego człowieka i naraziłeś pozostałych na niebezpieczeństwo, kapitanie.

Mimo to nie masz pojęcia, po co zostałeś wezwany?

— Domyślam się tego, pani.

Od opuszczenia pałacu Doris Conan nie miał wiele czasu na zastanawianie się, na czym mógł polegać sekret tej kobiety. Cały poranek zabrało mu sprowadzenie swoich ludzi do rezydencji Danaos, pochowanie Jarenza i odprawa jeńców, których zabrał Reza. Popołudnie zaś upłynęło mu na obsadzaniu najemnikami wszystkich wskazanych przez Iranistańczyka słabych punktów obrony.

— Domysły są mało warte podczas wojny — powiedziała Liwia. — Nauczył mnie tego mój ojciec. Sam zresztą tak mówiłeś.

— Nie zaprzeczam, pani.

— Dlaczego więc nie jesteś w stanie przedstawić mi nic poza domysłami?

— Pani, czasami to jedyne, co może zrobić dowódca. Przynajmniej wtedy, gdy czeka na kolejne posunięcie przeciwnika... — niebieskie oczy Liwii zwężyły się. Conanowi wydało się, że jej usta są czerwieńsze niż przedtem, a perfumy silniejsze i równocześnie subtelniejsze. Zdawało się także, iż Liwia odrobinę bardziej wypina pierś do przodu. Cymmerianin potrząsnął głową. — Mam wrażenie, że zużyliśmy cały zapas szczęścia, jakim zechcieli obdarzyć nas bogowie. Natychmiast po powrocie Rezy musimy postanowić, co robimy dalej.

— Zgadzam się, kapitanie. Skoro nie masz dla mnie niczego lepszego, wysłucham twoich domysłów. Miałeś możliwość porozmawiać z Doris po walce, prawda? — Język odmówił Conanowi posłuszeństwa. W komnacie zaległa cisza, jakby nagle znalazła się pod wodą. Wyraz niebieskich oczu pani pałacu zmienił się w przeciągu chwili z lodowatego w pałący. — Proszę! Spędziłeś noc z Doris, ale nie miałeś czasu zamienić z nią słowa?

Conan nie mógł okłamać Liwii, tak jak nie byłby w stanie powiedzieć nieprawdy bogini. Na dodatek podejrzewał, że zemsta głowy rodu Damaos za kłamstwo byłaby o wiele szybsza i pewniejsza niż boska.

— Istotnie. Obawiam się, że gdy mężczyzna i kobieta...

— Barłóżą się do utraty zmysłów...

— Pani...

— Nie wiem, co innego mógłbyś robić w takiej sytuacji. I nie mów, że takie słowa nie przystoją damie. Nie chcę tego więcej słyszeć. Kobieta nie musi być wysoko urodzoną nierządnicą jak Doris, by wiedzieć parę rzeczy o tym, co się robi w łożu.

Conan nigdy nie zarzuciłby Liwii, że nie zachowuje się jak dama, chociażby dlatego, że nie miał ochoty, by rozbito mu czaszkę słoikiem pachnideł. Zachowywanie potulnego milczenia do chwili, gdy dziewczyna wyładowuje swój gniew, wydawało się najlepszą w tej sytuacji metodą postępowania.

Trwało to trochę. W ciągu tego czasu Conan został obrzucony wieloma wyzwiskami, z których kilku nigdy nie zdarzyło mu się usłyszeć z niewieścich ust. Każdej innej kobiecie na miejscu Liwii za połowę jej przemowy sprawiłby porządne lanie lub opuścił ją bez pożegnania.

Żadnej z tych rzeczy nie mógł zrobić z Liwią, przynajmniej nie teraz. Położywszy uszy po sobie, Conan czekał do chwili, gdy dziewczynie skończył się dech i zapas obelg.

Zapanowało kolejne długie milczenie, dopóki Liwia nie odzyskała zdolności mowy.

— Conanie... Nie będę cię prosić o wybaczenie. Jeżeli myślałeś, że Doris odsłoni wszystkie swoje sekrety, odsłoniwszy ciało... Nie! Powiedziała już przecież, co o tym sądzę?

— Tak, pani.

— Nie musisz zwracać się do mnie w ten sposób, gdy jesteśmy sami.

— Jak sobie życzysz, Liwio.

Dziewczyna usiadła prosto i zadzwoniła po służącą. Szata zsunęła się jej z ramienia. Gdy pokojowa odeszła, otrzymawszy polecenie przyniesienia wina i ciast, Liwia dała Conanowi znak, by przysunął fotel i usiadł obok niej.

— Powiedz wreszcie, jakie są twoje domysły?

— Sądzę, że Doris nie pomaga Akimosowi. Powiedziała ci prawdę podczas waszego ostatniego spotkania, lecz wątpiłaś w jej szczerłość. Zgadza się?

Twarz Liwii spłonęła rumieńcem.

— Nie tylko nie uwierzyłam jej. Nazwałam ją... hmm, nie tak brzydtko jak ciebie, lecz dość źle.

— Czyli bardzo źle. Ta kobieta jest przerażona, a przerażeni ludzie zachowują się jak zwierzęta: gotowe są bez powodu użyć pazurów przeciw człowiekowi.

— Conanie, mówisz, jak gdybyś miał sto lat.

— Liwio, urodziłem się w Cymmerii. To surowy kraj, którego prawo głosi, iż głupcy nie dożywają sędziwego wieku.

— Takie prawo przydałoby się w Argos, ale, jak twierdzisz, mamy za dużo praw.

— Być może to jedno nie zaszkodziłoby. — Conan wzruszył ramionami. — Co do Doris, ona chce mnie okryć hańbą lub zranić, ale nie zabić. Uważa, że mam na ciebie zły wpływ. Kiedy powiedziałem jej, że ktoś próbował zabić mnie i moich ludzi po drodze, była wstrząśnięta. Nie myślę się co do tego.

— Tak dobrze znasz się na kobietach?

— Zachowywała się tak jednoznacznie jak ktoś, kto spada ze skraju urwiska. Myślała, że zamierzam wyróżnić w pień jej służących, ponieważ podejrzewam, iż maczali palce w zamachu na nas.

— Nie pomyślałabym, że tak zależy jej na służbie. Ma złą opinię pod tym względem. Powiadają, że wyrzuca ludzi bezlitośnie, gdy się starzeją lub jest z nich niezadowolona.

— Liwio, może tak czasami bywało, lecz założę się o całe wino w twoich piwnicach, że Doris sama rozpuszczała takie opowieści. Pozbywała się w ten sposób służących, by nikt nie zorientował się, że brak jej srebra na ich utrzymanie.

— Biedaczka... — niebieskie oczy Liwii rozszerzyły się. — Biedaczka? Co ja mówię! Conanie, zaraziłeś mnie swoim szaleństwem?

— Liwio, nie...

— Masz zwracać się do mnie „pani” albo stracisz zajęcie. Odejdź i niech bogowie nauczą cię manier, skoro ja tego nie potrafię.

Conan wyszedł bez zwłoki. Nie miał ochoty towarzyszyć dłużej drugiej wariatce, której przyszło mu wysłuchiwać tego dnia.

Nie, nie wariatce, uświadomił sobie Conan, gdy zamykały się za nim drzwi. Kobiecie zazdrosnej. Co często sprowadzało się do tego samego.

Miał jedynie nadzieję, że do zazdrości nie dołączy wrogość. Już bał się mieć za plecami Rezę. Gdyby dołączyła do niego Liwia, byłby bezpieczniejszy w Stygii! Ale dzięki bogom, mógł jeszcze napić się dobrego wina ze swoimi podwładnymi, nie musząc przejmować się zawilościami kobiecej natury.

Szpieg odszedł na palcach z miejsca, z którego podsłuchiwał spotkanie pani pałacu z Conanem. Miał ochotę na śpiew, taniec i opróżnianie całych dzbanów wina.

Trzymanie się na uboczu tej nocy, gdy Akimos wysłał swoich ludzi do rezydencji rodu Danaos, nie było łatwe. Wśród zabitych byli jego przyjaciele, a jeszcze większa ich liczba znalazła się pośród jeńców, których wysłano do niewolniczej pracy w górach. Wszelako najbardziej drażniło go, że nie potrafił znaleźć bezpiecznego sposobu podsłuchiwania tego, co działo się w komnatach Liwii.

Bogowie jednak uśmiechnęli się do niego i znalazł upragnione miejsce. Obecnie mógł nie tylko słyszeć, lecz i widzieć, co tam się działo. Szpieg założyłby się o każdą sumę pieniędzy, że Liwia pragnęła Conana. Ponieważ niegdyś trudnił się uszczęśliwianiem kobiet, które miały więcej pieniędzy niż piękna, uważał, że ma duże doświadczenie w tych sprawach.

Akimos musi się o tym dowiedzieć. Była to zapewne wiadomość warta wszystkich ludzi, których stracił, i jeszcze dziesięciu. Może dzięki niej pomści przyjaciół, których zabił i zniewolił ten przerośnięty cymmeriański osioł!

Szpieg ruszył spiesznie do kuchni. Wiedział, że do chwili gdy będzie mógł przekazać zdobyte informacje, czas będzie włókł się dla niego nieznośnie. Do tej pory musiał też pożegnać się z myślą o pijatyce i śpiewach.

## ROZDZIAŁ 11

— Conan stoi nam na drodze. Musimy z tym skończyć!

Akimos spojrzał na czarnoksiężnika, zdając sobie sprawę, że z jego własnej twarzy można odczytać znużenie. Nie było mu miło słuchać raportu o tym, jak zakończyła się próba porwania Liwii. Przełknięcie kolejnego wybuchu niezadowolenia Skirona było jeszcze mniej przyjemną perspektywą.

— Dlaczego? — zapytał kupiec. Starał się zachować spokój, lecz w jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. — Dowiedziałaś się, że rzeczywiście jest czarownikiem, twoim rywalem?

Gdyby okazało się, że tak jest w istocie, Akimos zamierzał przekabacić Conana na swoją stronę, nawet gdyby miało go to kosztować tysiąc drachm i połowę dziewczek z oberż Messancji. Trzeba było rywala, żeby Skiron zachował uczciwość!

— Conan nie zna zaklęcia wystarczającego do podgrzania miski zupy — odparł z sarkazmem Skiron.  
— Jednakże... nie mogę powiedzieć ci całej prawdy, ponieważ to bardzo zawiłe sprawy.

— Zawiłe? Czy nie możesz mówić jaśniej? Czy zawsze muszę wysłuchiwać zagadek? Ostrzegam cię, że ostatnio brakuje mi cierpliwości.

— Czyżby zaczęła ona opuszczać nawet Akimosa, mistrza intryg?

Kupiec cofnął się, by nie ulec pokusie wymierzenia czarnoksiężnikowi policzka. Zatknał kciuki za pas spodni do konnej jazdy i warknął:

— Usłyszałem dosyć, by wiedzieć, dlaczego boisz się Conana. Niczego innego nie mogę się po tobie spodziewać.

— Więc dobrze. Conana otacza ciemność. Skoro taki człowiek znalazł się w kręgu naszych spraw, wszystkie moje środki mogą okazać się niewystarczające, by stawić mu czoło.

Akimos pokiwał głową bardziej z uprzejmości niż dlatego, że zgadzał się ze Skironem. Kupiec podejrzewał, że czarnoksiężnik bardziej lęka się ostrego miecza Cymmerianina niż jego mrocznego przeznaczenia.

Nie zamierzał powiedzieć tego na głos, bowiem Skiron nie przełknąłby potulnie oskarżenia o tchórzostwo. Poza tym być może niesprawiedliwie oceniał czarnoksiężnika. Conan był wspaniałym wojownikiem, a każdy taki przeciwnik, pozostawiony samemu sobie, był istotnie groźny.

Oraz kosztowny. Akimos nie podliczył jeszcze sum, wydanych na ucieszenie krewnych zabitych i okupu za jeńców, odesłanych do wyrębu lasów. Była to kwota większa, niż byłby skłonny wydać, gdyby rozstrzygnięcie spraw nie zbliżało się tak szybko.

— Poszukam sposobu usunięcia Conana z naszej drogi. Możliwe, że przysłuży się nam bardziej, pozostając tam, gdzie jest. Zadbam, by nie mógł nas powstrzymać. Zadowolona cię to?

Skiron niechętnie pokiwał głową i wyszedł bez słowa. Nie zwracając uwagi na jego nieuprzejmość, Akimos upił łyk wina i zastanowił się, co robić dalej.

Szpieg był godzien zaufania. Jego informacje pozwalały spodziewać się, że lada dzień wybuchnie skandal dotyczący Cymmerianina i Liwii. Gdyby Conana zamknięto w podziemiach koszar Gwardii, plotka rozniosłaby się z opóźnieniem, o ile w ogóle.

Czy jednak rzeczywiście Conan znalazł drogę do łoża głowy rodu Damaos? Rozsianie po ulicach miasta pogłoski tej treści powinno sprawić, że przestanie mieć znaczenie, jak było naprawdę. Gdyby dziewczynie nadarzyła się wówczas okazja odzyskania reputacji przez związek małżeński — z synem kobiety, którą zamierzał poślubić Akimos — czy nie skorzystałaby z niej gorliwie?

Musiałaby, chyba że jest głupia lub rozpustna. W tym wypadku wszystkie problemy uległyby rozwiązaniu. Z wyjątkiem Conana. Nie byłaby to jednak wielka zawada, ponieważ Gwardziści zwykli przymykać oczy za odpowiednią opłatę. Trucizna czy sztylet powinny wystarczyć do ostatecznego rozwiązania tej kwestii.

Nadszedł czas pomyśleć o przyjaciółach w Gwardii. Kto najłatwiej mógłby zaszkodzić Conanowi, za najmniejszą sumę w złocie?

Conan dokonywał obchodu posterunków przy bramie, gdy dotarł do niej oddział Gwardii. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to zwyczajna wizyta. Gwardzistów było niemalże czterdziestu. Dowodziło dwóch oficerów, w tym jeden na koniu. Cymmerianin rozpoznał w nim Helgiosa z Wielkiego Mostu.

— Gwardia Argos, w bardzo ważnej dla dostojnej Liwii i rodu Damaos sprawie — oznajmił sierżant.

— Wielmożna Liwia jest w komnacie muzycznej — odparł Conan. — Czy mam jej coś przekazać?

— Rzecz dotyczy kapitana Conana, dowódcy jej straży.

— To ja jestem Conan — odparł Cymmerianin ukazując wszystkie zęby. — Jeżeli sprawa dotyczy mnie, nie ma potrzeby zakłócać spokoju pani domu.

— Rzeczywiście nazywasz się Conan z Cymmerii? — zapytał sierżant, wodząc krótkowzrocznym spojrzeniem po pergaminowym zwoju.

— Tak zapisano na moim... jak się zwał ten zatracony papier?... Na pokwitowaniu kaucji. Wystarczy?

— Zapiszcie, sierżancie: lekceważenie oficerów Gwardii — polecił gromko pieszy kapitan.

— A zarzucanie człowiekowi, że podaje nieprawdziwe imię, to nie bezczelność? — zapytał Conan uprzejmie i utkwiał wzrok w twarzy Helgiosa.

Cymmerianin postanowił zachować ostrożność. Ponieważ Gwardziści przybyli w towarzystwie znającego go oficera, nie miał szans ich zaskoczyć ani zwieść. W takim przypadku stosunek trzydziestu na jednego był zniechęcający, nawet gdy tych trzydziestu reprezentowało argosańską Gwardię, a ich przeciwnik wychował się na wzgórzach Cymmerii. Nie można było również zlekceważyć kłopotów, w które popadłaby Liwia, gdyby przed bramą pałacu doszło do bitwy.

Helgios skinął głową sierżantowi.

— Conanie z Cymmerii, jesteś aresztowany za bezprawne uzurpowanie sobie przywilejów kapitana Gwardii. Zostały ci również postawione inne zarzuty, co do których trwa śledztwo. Ostrzegam, że wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane do postawienia nowych zarzutów, a opieranie się Gwardii jest przestępstwem, karanym sprzedaniem w niewolę. Ostrzegam...

— Niech bagienne diabły porwą twoje ostrzeżenia! — powiedział Conan. Wydawało się mu, że mówi spokojnie, lecz cały oddział cofnął się o dwa kroki, z wyjątkiem kilku gwardzistów, którzy cofnęli się o cztery. Nikt nie sięgnął po broń, jednak wszystkie prawice znalazły się bliżej kołczanów i rękojeści mieczy. Traktując żołnierzy jak gdyby zapadli się pod bruk, Conan zwrócił się do strażników przy bramie: — Wyślijcie gońców z wiadomością, co się tu dzieje, jednego do Liwii, drugiego do Taloufa. Do mojego powrotu kompanią będzie dowodzić Talouf.

Niektórzy z Gwardzistów nie mogli powstrzymać uśmiechu przy ostatnich słowach Conana. Było jasne, że nie zamierzano dopuścić, by powrócił żywy stamtąd, dokąd go zabierano.

Ktoś istotnie wydał Liwii wojnę, Conan nie zamierzał jednak kontratakować przed bramą pałacu Damaos lub w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie dziedziczkę rodu Damaos można było obarczyć za to winą. Skoro okazało się, że tak łatwo można przekupić stróżów porządku, czekały ją wystarczająco duże kłopoty.

Conan zastanowił się, czy nie powinien był powiedzieć Liwii o uczuciach Harfosa. Traktowałaby go wówczas jak przyjaciela, nie wroga. Co prawda, chłopak musiałby uważać, by nie dowiedziała się o tym Doris, ale to już jego zmartwienie.

Obejrzał się na Helgiosa.

— Mogę wrócić do kwatery po moje rzeczy?

— Tylko wtedy, jeżeli pójdzie z tobą czterech moich ludzi i przeszuka wszystko, co zabierzesz — odrzekł kapitan.

— Nie zamierzam dopuścić, by wtargnięto do pałacu mojej pani. — Conan skłonił się. — Jeżeli ceni sobie moją wygodę wyżej od czci jej domostwa, wówczas bez wątpienia...

— Co wówczas, Conanie? — za plecami Cymmerianina rozległ się głos Liwii.

Wbrew pierwszemu impulsowi, obrócił się powoli. Ujrzał, że dziewczyna ubrana jest w płaszcz spiesznie zarzucony na domową szatę.

— Dostojna pani — powiedział, celowo używając formalnego zwrotu. — Dopóki pewne sprawy nie zostaną załatwione, jestem zmuszony na pewien czas opuścić twoją służbę.

Wyjaśnił, o co chodzi, stojąc tak, by mieć równocześnie na oku ją i Helgiosa. W trakcie jego przemowy usta Liwii zadrżały i dziewczyna ścisnęła w dłoni skraj szaty. Gdy poczuła, że Helgios przygląda się jej jak kot czyhający na ptaka, wyprostowała się i zacisnęła usta. Conan ponownie pomyślał, że widział dwukrotnie starsze od niej królowe z połową jej godności.

Gdy skończył swą relację, Liwia skinęła głową.

— Kapitanie, podejrzewam, że ktoś rozsiewa o tobie... fałszywe wieści — spojrzała twardo na Helgiosa, który nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Na ten widok Conan o mało nie roześmiał się. — Przyślę ci jedzenie, ubranie i wszystko, czego będziesz potrzebował, by było ci wygodnie — kontynuowała. — Sierżanta Taloufa będę traktować tak samo jak majordomusa Rezę — chyba że on również podejrzany jest o nasikanie w różę Najwyższego Archonta lub podobną zbrodnię? — Po tych słowach roześmiał się nawet sierżant trzymający nakaz aresztowania. Helgios bezgłośnie uchylił usta, nim potrząsnął głową.

— Nie? Doskonale — dokończyła Liwia. — W takim razie niech bogowie mają cię w opiece, kapitanie.

Uścisnęła mu obydwie dłonie. Cymmerianin ze swej strony musiał dołożyć heroiczkich starań, by nie zamknąć jej w objęciach i unieść nad ziemię.

W chwilę później Conan wyszedł za bramę. Zamknął ją własnoręcznie, śmiejąc się z Gwardzistów, którzy cofnęli się przed nim jeszcze bardziej.

— Przyjaciele, obiecaliście przecież, że czeka na mnie chłodny, przyjemny loch, prawda? Mamy cały dzień stać w słońcu?

Gdy z koszar dotarła wieść o ostatnich wydarzeniach, Akimos omal nie zaczął skakać z radości.

Powiadomiono go, że Conana wtrącono do Ostoi Charofa. Był to najniższy poziom podziemi. Nazwa pochodziła od starożytnego argosańskiego boga śmierci. Zazwyczaj przebywali w niej skazani na stracenie zbrodniarze, jednak wystarczająco dużo złota zmieniło właściciela, by znalazło się tam miejsce dla Conana.



Akimos uważał, że było to więzienie jak najbardziej właściwe. Cymmerianina czekała zguba, aczkolwiek w odróżnieniu od morderców, jego egzekucja nie miała się odbyć publicznie. Była jednak nie mniej pewna. Nawet potężne mięśnie Cymmerianina oraz jego rozum nie pozwolą mu przedostać się przez bramy, strażę i inne zasadzki, dzielące go od wolności. Argos miało już nigdy więcej nie ujrzeć żywego Conana. Jego zwłoki skończą na jakimś odpowiednim dla nich śmietniku za murami Messancji.

Zamiast pić czy krzyczeć z radości, Akimos zszedł spokojnie do podziemnej komnaty Skirona. Zatrzymał się przed drzwiami, zrezygnowawszy z wejścia, ponieważ ze środka dobiegały nie dające się z niczym pomylić odgłosy zaspokajania nienasyconej żądz.

Nienasyconej przynajmniej dla kobiety...

Akimos zawrócił z uśmiechem na ustach. Nie przejął się koniecznością przełożenia rozmowy ze Skironem na inną okazję. Sam wielokrotnie powtarzał czarnoksiężnikowi, jak ważne jest, by eliksir o nazwie „Kwiat Pożądania” okazał się skuteczny. Zależały od tego jego plany, związane z Doris. Jak mógłby więc winić Skirona za jego wypróbowywanie?

Przez pograżony w półmroku ogród przelatywały robaczki świętojańskie. Na ulice miasta wkroczyli zapalacze lamp. Niebo na zachodzie zaciągało się purpurą, a z nadbrzeża niosły się z wiatrem śpiewy i muzyka z winiarni.

Liwia nie mogłaby wymarzyć sobie wspanialszego wieczoru. Niestety, siedziała samotnie na dachu pałacu Damaos. Nie chciała powiedzieć, nawet sama przed sobą: „Gdyby Conan był ze mną...” Chociaż nie było go w jej rezydencji, gościł w jej myślach.

Oczy zachodziły jej łzami na myśl, że kogoś tak wspaniałego, tak silnego i przebiegłego wtrącono do lochu. Dowiedziała się, że trafił do Ostoi Charofa. Starzy przyjaciele rodziny w Gwardii zdążyli dowiedzieć się dla niej przynajmniej tego.

Mimo rozpytywania, nie udało się jej usłyszeć niczego więcej, z wyjątkiem ostrzeżenia, że lepiej nie wykazywać zbytnej ciekawości losom kapitana Conana. Jeden z rozmówców powiedział jej to wprost, pozostali zaś odwracali jedynie wzrok. Nie potrzebowała słów, by zorientować się, co myśla.

Nie przejęłaby się, nawet gdyby wszyscy w Argos szeptali, że ona i Conan byli kochankami. Nawet gdyby krzyczeli o tym z dachów domów i statków na morzu! Nie zamierzała pozwolić Conanowi zginąć w więzieniu, jeżeli w mogła temu zaradzić.

Ale jak? Nie mogła pozbyć się myśli, że Reza mógł mieć coś wspólnego z aresztowaniem Cymmerianina, Zawieść o okazywane Conanowi łaski miał wprost wypisaną na twarzy. Czyżby ta zazdrość pchnęła go do zdrady?

Jeżeli tak, mogła sprawić, by spotkała go zasłużona kara! Sierżant Talouf i pozostali podwładni

Conana przysięgli słuchać się Rezy. Być może ufali mu, a być może nie...

W każdym razie zachowywali się rozsądnie. Idąc ich śladem, łona również okazałaby rozsądek. Jeśli jednak jej podejrzenia wobec Iranistańczyka były słuszne, Reza bez wysiłku udaremniłby jej starania zmierzające do wyciągnięcia Conana z niewoli.

Zacisnęła dłonie na balustradzie, aż zbiełały jej kłykcie. Łzy, które mąciły jej wzrok, wreszcie znalazły upust i pociekły po i policzkach.

Gdy w końcu wypłakała się, zadzwoniła na służącą. Na jej wezwanie przyszła Gisela.

— Wina!

— W dzbanie czy pucharze?

— A kim ty jesteś, by dyktować mi, ile mam pić?

— Pani, jeden puchar wyostrza umysł, pełny dzban zaś zawsze go przytępia, a przecież wszyscy musimy zachowywać trzeźwe głowy, prawda?

Liwia zmuszona była uśmiechnąć się. Gdyby jej matka nie umarła przy porodzie, może miałaby siostrę w wieku Giseli.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś mówiła to już wcześniej.

— Sprzeczałam się z Vandarem.

— Tylko tym się zajmujecie?

— Wtedy, gdy nie mamy nic innego do roboty. — Gisela nie zarumieniła się, lecz spuściła wzrok. — Szkoda, że ostatnio zdarza się to nam częściej, ale rozumiem go. W końcu wróci do siebie po śmierci brata. Nie tylko urodzili się równocześnie, ale nigdy się nie rozstawali.

Liwia poczuła ponownie ochotę do płaczu.

— Pomści śmierć brata. Wszyscy się zemścimy! — tupnęła w wykładaną płytkami posadzkę tarasu.

— Przysięgam na nasz dom i wszystkie lata, przez które stoi!

— Bogowie raczą nas wysłuchać — odparła Gisela. — A więc, puchar czy dzban?

— Przynieś dzban, dwa puchary i zostań ze mną. Może razem uda nam się wyostrzyć umysły, zanim zaczniemy planować zemstę.

Spieg szedł ku drzwiom piwnicy z winem, przyciskając dłoń do brzucha, jak gdyby go bolał. W istocie pod tuniką miał złoto, które dostał od Akimosa. Wyleczyłoby ono wiele bólów, gdyby dożył

okazji, by je wydać.

By tak się stało, szpieg musiał zniknąć z pałacu Damaos. Gdy spotykał Rezę, na twarzy Iranistańczyka wyraźnie malowało się podejrzenie. Równie dobrze mogłoby być wypisane ognistymi zgłoskami na każdej ścianie. Zwalisty majordomus zadawał ostatnio zbyt wiele pytań.

Niektórzy służący powątpiewali w wierność Rezy. Twierdzili, że Iranistańczyk jest zazdrosny o Cymmerianina. Podobno chciał usunąć kapitana najemników i samemu uratować Liwie?

Szpieg roześmiałby się na tę myśl, gdyby nie zaschło mu w gardle i zabrakło oddechu. Reza przelałby ostatnią kroplę krwi w obronie Liwii, nawet gdyby Conan uczynił ją królową Cymmerii. Iranistańczyk wykazałby jeszcze większą gorliwość w utoczeniu krwi każdemu, komu dałoby się udowodnić zdradę...

Szpieg otworzył własnym kluczem piwnicę z winami. Przemykał od cienia do cienia, kryjąc się za największymi beczkami. Każdy krok sprawiał, że znajdował się bliżej północnej ściany. Posadzka pod jego stopami była lepka — nie zmyto jeszcze z kamieni krwi i wina po walce z ludźmi Akimosa. Do wejścia do katakumb zostało jeszcze tuzin kroków. Szpieg zaczął szukać w kieszeni klucza do drugiego zamka.

W chwili gdy udało się mu namacać klucz, na nadgarstku szpiega zamknął się żelazny uścisk czyjejś dłoni. Druga ręka zacisnęła się na jego karku.

Człowiek, który zaczął się na szpiega, odwrócił go twarzą ku sobie tak gwałtownie, że rozdarł się rękaw tuniki. Ani napadnięty, ani napastnik nie zwrócili na to uwagi. Reza przeniósł dłoń na włosy schwytanego mężczyzny. Przez chwilę ich nosy niemal się stykały. Stopy szpiega zawisły w powietrzu.

Nieszczęśnik poczuł jeszcze, jak Reza ponownie zmienia uchwyt. Iranistańczyk zacisnął jedną z wielkich dłoni na gardle szpiega, drugą zaś chwycił go za pas. Pewnie przekreślił ciało złapanego zdrajcy, zrobił półobrót i z całych sił rąbnął jego głową o kamienną kolumnę.

Szpieg zachłysnął się własnym mózgiem. Reza cisnął trupa na posadzkę i wytarł dłonie o ubranie. Miał ochotę wziąć długą kąpiel, trzeć skórę do bólu. Wiedział jednak, że nic nie pozwoli mu pozbyć się uczucia, że skalał się nieczystością szpiega.

Powściągnął tę myśl i uśmiechnął się drapieźnie. Jedyne on i bogowie wiedzieli, że ród Damaos rozpoczął właśnie dzieło zemsty na swoich wrogach.

## ROZDZIAŁ 12

W środku nocy do pałacu Lokhri zakradły się czary.

Nie były to potężne zaklęcia. W innych krajach nawet tak podupadły ród jak Lokhri rozporządzałyby magiem, dla którego pokonanie czarów Skirona byłoby dziecinną igraszką.

Jednakże działo się to w Argos, gdzie każdy rodzaj magii był wspomnieniem, a wielka magia — zaledwie cieniem wspomnienia. Gdyby Doris przeszukała cały kraj od Gór Rabiriańskich po Ocean Zachodni, nie znalazłaby czarnoksiężnika zdolnego stawić czoło Skironowi.

Osiągnięcia Skirona były niewielkie, lecz praktyczne. Udało się mu zostać największym od kilku pokoleń czarnoksiężnikiem w Argos. Obecnie swoje talenty — nieważne, że poślednie — zwrócił przeciw rodowi Lokhri.

Doris przebudziła się w pustym łóżu ze snu, w którym na nowo przeżywała swą miłość z Conanem. Uważała kapitana najemników za mężczyznę wartego dowolnych dziesięciu innych z kręgu jej znajomych.

Dałaby wiele, by znów poczuć na sobie jego ciężar, napór jego ciała, gdy zaciskała na nim ramiona i nogi, pragnąc, by stał się jeszcze większy...

Z sąsiedniej komnaty dobiegł przenikliwy krzyk. Doris zerwała się z łóża, a nocna szata ześliznęła się jej z ramion. Nie zważając na swoją nagość, ruszyła do drzwi.

Nie zdążyła ich otworzyć. Zamek pękł jak przegniły owoc, zawiasy zaś zasyczały jak węże. Drzwi stanęły otworem, przewracając przerażoną Doris na podłogę. Po chwili jednak przeważył gniew.

— Straże! Do mnie! — krzyknęła.

Podziękowała bogom za przenikliwość, jaką wykazał Conan, pokonując jej ludzi bez zabijania czy okaleczania. Dzięki Conanowi ród Lokhri ciągle był zdolny do obrony.

Jej myślom odpowiedział kolejny krzyk i śmiech. Głęboki, szydery rehot sprawiał wrażenie, jak gdyby dochodził z gardzieli wielkiego rekina. Doris wydawało się, że widzi uśmiechniętą upiornie paszczę. Pani rodu Lokhri spróbowała wstać, jednak zawiodły ją nogi. Zwijając się na posadźce, usiłowała osłonić się rękami.

Rozległ się trzeci wrzask. Dobiegał z komnaty, w której pełniąca nocną służbę pokojowa zwijała się w uścisku jakiejś niewidzialnej, olbrzymiej istoty. Traciła strzęp po strzęcie swoje odzienie i zaczynała prężyć się z przemożnego pożądania.

Gdy ubranie zostało z niej całkowicie zdarte, dyszała już głęboko, odrzuciwszy w tył głowę z zamkniętymi oczami. Zdawała się obejmować powietrze. W przyglądającej się temu Doris bezgraniczna żądza wezbrała tak nagle, że błyskawicznie przewyciężyła strach. Skoro ta niewidoczna obecność mogła...

Pokojowa wydała z piersi ekstatyczny jęk i znieruchomiła na podłodze. Doris znalazła siłę, by wstać. Gdy przytrzymała się framugi, stwierdziła, że metal zamka jest gorący. Prócz piżmowej woni namiętności, pani rodu Lokhri poczuła swąd dymu. W chwilę później jej spojrzenie padło na twarz pokojowej. Skóra, która jeszcze przed chwilą była świeża i gładka, stała się pomarszczona. Na

oczach Doris bruzdy na twarzy służącej stawały się coraz głębsze. Młodość i świeżość ustępowały miejsca chropowatej starości. Wiek, który naznaczył oblicze kobiety, rozpostarł się szybko po reszcie jej ciała. Doris chciała się odwrócić, jednak nie mogła oderwać oczu od koszmarnego widowiska. Wpatrywała się w służącą, dopóki młoda, nadobna dziewczyna nie zamieniła się w wynędzniałą staruchę.

Potem Doris ogarnęły mdłości, ponieważ okazało się, że koszmar się jeszcze nie skończył. Nadające się już tylko do złożenia do grobu ciało służącej ulegało dalszej przemianie. Jej zwłok zaczęły gnić wydzielając odrażającą, krwistą posokę.

Trupio cuchnący powiew uderzył w twarz Doris. Kobieta padła na kolana, a żołądek wypowiedział jej posłuszeństwa. O mało nie straciła przytomności.

Kłęcząc przy drzwiach, wymiotowała bez końca. Skowytała przy tym jak złapana we wnyki hiena. Nie zauważyła pary wielkich, szeroko otwartych żółtych oczu, które pojawiły się w powietrzu. Wokół nich tańczyły kłęby czarnej mgły. Doris nie zauważyła, że obłok ruszył w jej stronę, do chwili gdy wysunięte do przodu pasma zaczęły pieścić jej nagą skórę...

Poczuła ich zimny jak śmierć dotyk. Tak okropnego wrażenia nie doznawała jeszcze nigdy w życiu. Nie trwało to jednak długo, ponieważ umysł odmówił jej posłuszeństwa. Gdy pogrzyżyła się w azylu nieświadomości, po komnatach poniósł się echem straszliwy śmiech.

Conan siedział na ławie, stanowiącej jedną trzecią umeblowania celi. Pozostałe dwie trzecie stanowiły prycza z siennikiem oraz kubel, pełniący rolę wychodka.

Cymmerianin bawił już w gorszych więzieniach. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się tak dobrych warunków. Wiedział z doświadczenia, że ludziom, którzy rychło mieli spotkać się z katem, rzadko okazywano tak hojną gościnność.

Pożywienie także okazało się niezłe. Do picia Cymmerianinowi dawano tylko wodę, lecz była czysta i prawie świeża, nie zaś na poły skrzące od śliskiego, zielonkawego kozucha. Do jedzenia dostawał owsiankę z fasolą i kawałkami mięsa wielkości kciuka. Mięso było na tyle dobre, że nie wzgardziłby nim żaden pies.

Conan zjadł południowy przydział więziennej strawy, później zaś przyniesiono obiecany kosz z żywnością z pałacu Liwii. Dziewczyna musiała przewrócić spiżarnię do góry nogami, ponieważ strażnik ledwie mógł udźwignąć przesyłkę. Składało się na nią wino, ser, kielbasy, chleb, podplomyki, rodzynki, jabłka, a nawet dzban z piwem jęczmiennym. Gdyby Conanowi przyszło spędzić w lochu jeszcze pięć dni, mógłby obejść się bez więziennego jadła.

Ucieszył się przede wszystkim z chleba i sera, po czym odciął sobie kawałek kielbasy.

Czyniąc to, zauważył dwie rzeczy. Pierwszą z nich był szczur wyglądający ze szpary pod ścianą, drugą zaś cienkie nacięcie w drugim końcu pęta.

Conan nie darzył szczurów zbyt dużą sympatią, lecz okaz, który miał przed sobą, był zaiste żalony: szary, zmierzwiiony i skrajnie wychudzony. Stworzenie to uciekłoby pewnie przed myszą, nie mówiąc już o kocie.

— Dobrze — powiedział Cymmerianin. — Niech nikt nie mówi, że odmówiłem żebrakowi, gdy miałem pod dostatkiem jedzenia.

Odciął plasterek kiełbasy i rzucił go szczurowi.

Zwierzak zareagował natychmiast. Dopadł wędliny, zanim upadła na posadzkę, i zjadł ją w trzech kęsach. Powąchał podłogę, jak gdyby liczył na dokładkę. Conan sięgnął po swoją porcję.

W tym momencie szczur zapiszczał, jak gdyby pieczono go żywcem. Przetoczył się na bok, a następnie na grzbiet. Zaczął zwijać się i rzucać w podrygach, tocząc z pyszczką zielonkawą pianę. W jego oczkach zabłysła świadomość, która nie powinna być dana żadnej śmiertelnej istocie. Po chwili szczur zamknął ślepia i zwiotczał. Był martwy.

— A niech ich zaraza!

Kosz przeszedł przez tak wiele rąk, że bogowie tylko wiedzieli, kto zatruł kiełbasę. Conan wątpił, czy dowie się tego, jeżeli truciciel był w pobliżu...

Większość przedstawicieli messancjańskiej arystokracji zdziwiłaby się, iż Harfos nie uciekł z pałacu Lokhri, gdy tylko spostrzegł, że stał się on miejscem działania czarów. Nawet ci, którzy wiedzieli, że w młodzieńcu kryje się coś więcej, niż można było stwierdzić na pierwszy rzut oka, zdumieliby się wiedząc, czego dokonał tej nocy.

Harfos miał szczęście, że znajdował się w swojej komnacie i jeszcze nie spał. Był z dala od skrzydła pałacu, na którym skupił się atak Skirona. Nim mnoc czarów rozniosła się na całą rezydencję, Harfos przygotował się na ich spotkanie.

Jego lecznicze umiejętności nie obejmowały rzucania zaklęć, i Stary Kyros, który wprowadzał go w tajniki sztuki medycznej, oznajmił na wstępie, że niczego podobnego go nie nauczy.

— Nie bez zgody matki, a zapewne nawet z nią — powiedział.

— Nie obawiaj się, mistrzu. Chyba dostałaby ataku apopleksji — odparł wtedy Harfos.

— Pod pewnymi względami twoja matka może być mądrzejsza, niż sądzisz.

Mądra czy nie, Doris znalazła się w opałach i nadszedł czas, by wykorzystać do obrony matki wiedzę, której studiowania sama mu zabroniła.

Harfos sporządził zatyczki z ziół, by uniemożliwić wniknięcie przez nozdrza magicznych miazmatów. Z tych samych ziół przygotował napar i nasączył nim szarfę, którą przewiązał sobie usta. Nałożył

nabijany żelaznymi ćwiekami pas z sakiewką o metalowym zamku, do której wsunął dwie zakorkowane fiołki. Zawartość pierwszej z nich miała rozpraszać senność magicznego pochodzenia, drugiej zaś dać Harfosowi na godzinę siłę, przewyższającą krzepę Conana.

Po namyśle młody arystokrata wsunął za pas krótki miecz. Nie spodziewał się, że tej nocy będzie miał do czynienia ze śmiertelnymi nieprzyjaciółmi, lecz gdyby przypadkiem zastał takowych, czekałaby ich przykra niespodzianka.

Przysposobiwszy się w ten sposób, Harfos ruszył do komnaty matki. Po drodze nie zastał nikogo, kto nie byłoby pozbawiony zmysłów lub rozumu, umierający lub już martwy. Młodzieniec miał nadzieję, że gdy zaklęcia zostaną zdjęte, będzie można przywrócić rozum oszalałym nieszczęśnikom.

Wspinając się po schodach, Harfos czuł strach, szarpiący mu trzewia. Gdy dotarł do połamanych drzwi matczynej komnaty, przerażenie zamieniło się w zimną i twardą jak lód bryłę, zdającą się rozrastać we wszystkich kierunkach. Z buntującymi się jelitami i żołądkiem, wszedł do środka. Rzucił jedno spojrzenie na odrażające truchło pokojowej oraz czarne ramiona, obejmujące jego matkę, po czym uciekł z krzykiem.

Oszalały z przerażenia wypadł z domu i biegł ulicami szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Nie zdołałby przyśpieszyć, nawet gdyby zażył zawartość drugiej fiołki. Napotkani przechodnie usuwali mu się z drogi, przekonani, że mają do czynienia z szaleńcem.

Świadomość tego, co się z nim dzieje, odzyskał dopiero dobijając się do bramy pałacu Damaos. Chwilę później znalazł się twarzą w twarz z Taloufem.

— Co, w imię Erlika...

— To nie bogowie! — stęknął Harfos, czepiając się kraty z taką desperacją, jak gdyby rozluźnienie uścisku groziło mu runięciem do gorejącego wnętrza wulkanu. — Czary w naszym domu!!!

Talouf nie tracił głowy. Brama otwarła się natychmiast i młodzieńca otoczyli strażnicy. Jeden z nich dał mu wody, inni wsparli go ramionami. Po paru chwilach poprowadzili go do komnaty, w której czekała Liwia.

Dziewczyna siedziała w fotelu z rzeźbionej kości słoniowej na jedwabnych poduszkach. Twarz Liwii miała identyczną barwę jak jej biała nocna koszula. Patrzyła na intruza chłodnym jak stal wzrokiem. Jej spojrzenie nie stało się cieplejsze, gdy Harfos skończył swoją opowieść.

— Zatem uciekłeś? — zapytała tonem bardziej lodowatym niż niejeden sędzia, wydający wyrok wbicia na pal.

— Pani... Liwio... — głos Harfosa chwiał się tak samo jak nogi pod nim. — Ja... Na pałac zostało rzucone zaklęcie, które wprawiłoby w przerażenie najmężniejszego człowieka.

Zaczął opisywać stan swojej matki i służącej, lecz Liwia uciszyła go, uniósłszy dłoń. Zrobiło się jej niedobrze. Gdy odzyskała panowanie nad sobą, w jej błękitnych oczach pojawiło się nieco więcej ciepła.

— Jak myślisz, co stało się z twoją matką?

— Nie wiem — odpowiedział Harfos. — Wygląda na to, że twoi wrogowie zostali moimi.

— Domyślam się kto to — odparła Liwia.

— Akimos?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od jego wejścia i skinęła głową.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby wiedział coś na ten temat.

— W takim razie jedźmy do niego...

— Nie sądzę, byśmy uczciwymi metodami dowiedzieli się od niego czegokolwiek. Możemy zmusić go do mówienia innymi środkami, lecz w tym celu musimy uwolnić kapitana Conana.

Harfos miał wrażenie, że twarz stojącego obok Liwii Rezy skrzywiła się lekko na dźwięk tego imienia.

— Gdzie go trzymają?

Przyszła kolej na opowieść Liwii. W jej trakcie nogi Harfosa ugięły się tak, że Reza musiał podsunąć mu stołek. Gdy Liwia skończyła, młodzieniec utkwiał spojrzenie w podłódze, by nie widziała jego oczu.

Wolałby, by połamano mu kości, niż wrócić do domu, którym zawładnęły magiczne okropności, lecz równocześnie dałby się obdrzeć ze skóry, byle tylko Liwia nie pomyślała, że jest tchórzem.

— W takim razie... gdyby kilku twoich ludzi udało się ze mną do pałacu Lokhri...

— A co z czarami? — mruknął Reza.

— Można dostać się do mojej piwnicy, omijając resztę domu. Zabiorę tylko najpotrzebniejsze mi rzeczy, większość z nich uniesie jeden człowiek.

Na twarzy Liwii pojawił się promienny wyraz. Gdyby Harfos nie siedział, runąłby teraz bezwładnie na podłogę. Obdarcie ze skóry byłoby zaiste małą ceną za zachowanie takiego wyrazu na obliczu ukochanej!

## ROZDZIAŁ 13

Wartownik w Ostoi Charofa pełnił straż samotnie. Środki uniemożliwiające ucieczkę więźniów były



na tyle liczne i przemyślnie, iż sądzono, że jeden wartownik w zupełności wystarczy. Miał on obowiązek nie spać, być trzeźwy oraz zapisywać imiona wchodzących i wychodzących na woskowej tabliczce, która wisiała przy drzwiach.

Strażnik przeciągnął się tak, że nogi sięgnęły do połowy podziemnego korytarza, a ramiona w pół drogi do sklepienia. Zesztywniał, usłyszawszy dobiegające z góry ciche kroki.

Wstał i wyciągnął miecz.

— Kto tam?

— Swój — rozległ się głos, bardziej dziewczęcy niż kobiecy.

W chwilę później mówiąca znalazła się w polu widzenia wartownika. Mogła mieć najwyżej siedemnaście lat, lecz miała dojrzałe kształty. Jej tunika była wytarta, pocerowana i poplamiona. Strażnik założyłby się o miesięczny żołd, że dziewczyna nie miała nic pod spodem. Na jej odkrytej głowie piętrzyła się masa ciemobrązowych włosów.

— Swój, powiadasz?

Wartownik nie schował miecza, lecz opuścił ostrze.

— Mamy przecież czas, żeby się zaprzyjaźnić, prawda?

— Nie widziałem cię na górze.

— Kiedy ostatni raz pełniłeś służbę przy Wrotach Himgosa?

Wartownik roześmiał się i potrząsnął głową.

— Aż tak dawno? — dziewczyna uśmiechnęła się. — Nic dziwnego, że się nie spotkaliśmy. Przyjęto mnie do pracy w kuchni pięć dni temu.

Strażnik pokiwał głową. To tłumaczyło, dlaczego nie znana mu dziewczyna była ubrana jak zbiegły więzień oraz jej obecność tutaj. Kucharki i podkuchenne z wartowni otrzymywały bardzo niską płacę i musiały sobie dorabiać...

— Cóż, skoro nie masz nic lepszego do roboty, może rzeczywiście spróbujemy się zaprzyjaźnić?

Strażnik miał nadzieję, że jego płaszcz wystarczy dziewczynie za pościel.

— Oczywiście.

Prześlizgnęła się obok, ocierając się o niego biodrem i przesunąwszy dłoń po jego ramieniu. Usiadła, sięgnęła za dekolot tuniki i wyciągnęła stamtąd niewielką butelkę z ognistym winem.

Dziewczyna wyciągnęła naczynie w stronę wartownika. Zaraz potem tunika opadła najpierw z

jednego jej ramienia, a następnie z drugiego. Powoli zsunęła się do piersi, a potem jeszcze niżej...

Strażnik miał rację. Dziewczyna nie miała nic pod spodem. Zrobił krok do przodu i... w jego głowie zajaśniała błyskawica i zabrzmiał grom. Zrobił drugi krok, tracąc władzę w nogach, po czym runął bezwładnie twarzą na posadzkę.

Dziewczyna poprawiła ubranie, odkorkowała butelkę i polała Gwardzistę winem. Sierżant Talouf zeskoczył ze schodów i ukląkł przy strażniku. Szybko wyłuskał mu zza pasa klucze, po czym odszukał swoją pałkę, która ciśnięta z dużą siłą trafiła wartownika w potylicę.

— Zmarnujesz porządne wino, wiesz?! — wybuchnął Talouf.

— Im gorzej będzie nim cuchnął, tym mniej podejrzliwi będą jego przełożeni — odparła Gisela i rzuciła uśmiech Liwii, która weszła na korytarz. Towarzyszyło jej dwóch ludzi Conana i dwóch służących rodu Damaos. Wszyscy ubrani byli w tuniki i sandały Gwardii. Na końcu kroczył Harfos ubrany w ten sam strój, lecz z kapitańskim godłem na pasie i odznaką medyka na barku. Przez ramię miał przerzuconą wypchaną skórzaną torbę.

— Sądzę, że nie musiałaś aż tak bardzo obnażać się przed tym człowiekiem — skarciła Liwia Giselę.

— Chylę czoło przed wielkim doświadczeniem mojej pani, w tych sprawach — powiedziała dziewczyna.

— Vandar, sprawiaj tej bezczelnej dziewce lanie przynajmniej raz na tydzień, dopóki nie nauczy się szacunku — rzekła Liwia.

— Pewnie urządziłaby mnie tak samo, jak Talouf strażnika — mruknął Vandar.

— Lepiej. Ty oberwałbyś ostrzem, nie drewnem — odparła Gisela.

— Dość przekomarzania! — uciął dyskusję Talouf.

Wybrał jeden z kluczy, wsunął go w zamek i obrócił. Zazgrzytał piskliwie metal, potem kamień zaszurał o kamień, zaszczekały łańcuchy i gdzieś z dołu rozległ się stłumiony syk.

Gdy ponownie zapanowała cisza, droga do Ostoi Charofa stała otworem. Most zwodzony łączący obie części rozdzielonego przepasciakorytarza był opuszczony. Spojrzawszy w dół, Talouf ujrział niknące w ciemnościach skały. Gdy wchodził na most, wydało się mu, że coś porusza się w mroku na dole. Upewnił się co do tego, gdy ponownie usłyszał syczenie.

Wstrzymał oddech, dopóki ponownie nie poczuł pod stopami litej skały. Pozostali również pokonali most najszybciej jak mogli, prócz Harfosa, który zatrzymał się i utkwiał wzrok w ciemnościach.

— Niech to diabli, Har... panie! Czego szukasz, skarbu?

— Usiłuję odkryć, jakiego rodzaju stworzenie się tam kryje. Jeżeli się tego dowiem, być może zdołam je uciszyć.

Talouf nakazał sobie spokój. Jeżeli Harfos zamierzał wypróbować na węzach swoje nasenne wywary, powinien koniecznie sam je wypić.

Żołądek Conana znalazł się w takim stanie, iż burczało w nim bez przerwy. Było to jednak za mało, by pozbawić go sił, więc zerwał się z pryczy natychmiast, gdy usłyszał dobiegające z korytarza głosy.

Po chwili doszedł do niego nie dający się z niczym pomylić dźwięk dłubania wytrychem w zamku.

— Talouf?!

— Kapitanie?

— Tu jestem.

— Przykuto cię?

— Jestem wolny jak ptak.

— Bogom dzięki.

Drugi głos sprawił, że Conanowi zabrakło tchu. Liwia tutaj? Ją również uwięziono, czy przyszła wydobyć go z więzienia? Znając Liwię, Conan był skłonny podejrzewać to drugie.

Drapanie i szcęknięcie wytrychów potrwało jeszcze parę chwil, po czym zastąpiły je przekleństwa.

— Ostatni, bękarci zamek... — Tyle z przemowy Taloufa nadawało się do przytoczenia.

— Jak duży jest rygiel?

— Grubości palca.

— Nie mamy czasu. Odsuńcie się.

Conan zaczerpnął głęboko tchu, znalazł oparcie dla stóp na nierównej posadzce, przyłożył bark do drzwi i naparł na nie mocno. Niemal od razu poczuł, że zamek zaczyna ustępować, z korytarza zaś dobiegły okrzyki zachęty.

Wyprostował się, złapał dech, oparł się o drzwi i pchnął ponownie. Metal zajęczał, zapiszczał i w końcu poddał się z przenikliwym krzykiem.

Wychodząc z celi, Conan ujrzał, że Liwia odrzuca kaptur płaszcza i robi krok do przodu. Na twarzy przyglądającego się temu Harfosa pojawił się grymas niechęci.

Skłoniwszy się głęboko, Conan ujął dłonie Liwii i ucałował je z szacunkiem.

— Pani, cieszę się, że znów mogę ci służyć.

Na obliczu Harfosa odmalowała się ulga. Liwia wyglądała tak, jak gdyby miała ochotę płakać lub krzyczeć. W tym momencie Vandar oznajmił:

— Twój miecz, kapitanie.

— Wymyśliliście jakąś bajeczkę, która pozwoli się nam stąd wydostać? — zapytał Conan, przypasując broń.

Harfos pokazał mu przepustkę, opatrzoną mnóstwem lakowych pieczęci.

— Wątpię, czy zostanie mi wielu przyjaciół, gdy dowiedzą się, co zrobiłem z ich podpisami. Zdaje się w tym względzie na łaskę bogów.

Zawrócili do wyjścia. Conan szedł na końcu. Wtem usłyszał przekleństwo Taloufa.

— Ktoś podniósł ten diabelski most!

Tak było istotnie. Conan zajrzał w pogrążoną w ciemnościach jamę. Odpowiedziało mu przeciągłe syczenie. Przyjrzawszy się przeciwnej stronie rozpadliny, stwierdził, że nie ma szans jej przeskoczyć.

Tymczasem ten, kto podniósł most, czaił się po drugiej stronie, zapewne wezwawszy już posiłki.

Conan wyjrzał za skraj rozpadliny. Z trudem mógł dojrzeć zwijające się na dnie sploty grubości ludzkiego tułowia. Bliżej widać było osadzone w ścianie spiżowe uchwyty.

Cymmerianin usiadł, zzuł buty i ściągnął tunikę przez głowę. Poprawił pas z mieczem.

Liwia otworzyła usta, lecz ubiegł ją Harfos:

— Poczekaj, kapitanie, mam tu coś.

Ściągnął torbę z ramienia i wygrzebał z niej flaszkę khitajskiej roboty.

— Co to takiego, miłosny eliksir? — zapytała Gisela.

— Wywar nasenny — odpowiedział Harfos rumieniąc się. — Jest go dosyć, by pozbawić przytomności sześciu ludzi. Może wystarczy to na jednego węża.

— Wężę są ospałe — odparł Conan. — Szybciej poradzę sobie mieczem.

— Niech Harfos spróbuje — poprosiła Liwia. — W najgorszym wypadku ułatwi ci zadanie, kapitanie.

Conan miał już powtórnie odmówić, lecz uznał, że nie ma czasu na spory.

— Daj mi tę flaszkę — polecił. — Jeżeli wąż zbliży się wystarczająco, postaram się go tym napoić.

— Ja sam... — zaczął mówić Harfos.

— Nie! — przerwała mu Liwia.

— Skończyłbyś na dnie jako przekąska dla gada — dodał Conan. — Chyba że zamierzasz ułatwić mi zabicie węża, zajmując go pożeraniem ciebie.

Harfos pobladł, po czym zarumienił się, gdy Liwia położyła mu dłoń na ramieniu. Conan upewniwszy się, że chłopak posłuchał głosu rozsądku, zsunął się do przepaści i zaczął schodzić po klamrach.

Ciemność w dole ożyła z sykiem. Cymmerianin dojrzał wznoszący się ku niemu łeb i rozszerzone nozdrza. Para czerwonych ślepi wielkości dużych monet zmierzyła go wrogim spojrzeniem spod czarnych narośli przypominających rogi.

Conan odkorkował buteleczkę, odczekał, aż wąż dźwignie się wyżej, po czym wrzucił ją prosto w rozdziawioną paszczę. Syk stał się głośniejszy, a łuski zaszeleściły hałaśliwie na kamieniach.

Cymmerianin miał nadzieję, że płyn Harfosa zadziała szybko. Przemknęło mu przez głowę, że Liwia i Harfos stanowili nie najgorszą parę. Powinni przynajmniej spróbować się połączyć, jeżeli tylko Doris da się uciszyć metodą łagodniejszą niż uduszenie, a Harfosowi nie będzie przeszkadzało, że jego wybranka ma dwakroć więcej rozumu od niego.

Conan miał wrażenie, że czekanie na zadziałanie wywaru potrwa do końca świata. Dobył miecza, ponieważ łeb węża znalazł się w odległości wyciągniętej ręki od jego nóg. Gdyby mikstura Harfosa okazała się bezskuteczna...

Kły gada uderzyły w skałę, aż posypały się iskry. Wąż wygiął się. W gardzieli wezbrała mu piana, a język miotał się opętańczo. W chwilę później wielka paszcza zamknęła się z odgłosem, jaki wydaje zatraskiwana brama. Gad osunął się w cieniu na dnie rozpadliny i znieruchomiał.

Nie pozwalając, by pośpiech przeważał nad ostrożnością, Conan odliczył do dziesięciu, po czym wyłuskał ze ściany kawałek zaprawy i cisnął nim w łeb węża. Nic się nie stało.

— Dobra robota, Harfosie. Schodzę na dół, by się upewnić, że nic nam nie grozi. Talouf, o ile się nie mylę, masz linę pod tuniką?

— Zachowuj się ostrożnie... — zaczął Harfos, lecz Liwia szepnęła mu coś do ucha. Conan nie dosłyszał słów, ale skutecznie uciszyły one młodzieńca.

Barbarzyńca zszedł po wbitych w ścianę klamrach. Stał w sięgającej kostek czarnej brei o ohydny zapachu. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że jego wysiłki nie były daremne. Lekko wznoszący się tunel nikał w ciemnościach. Cymmerianin przestąpił leżącego nieruchomo gada.

— Talouf, lina!

Uniósł ramiona, by wrócić na górę, lecz przedtem rzucił jeszcze jedno spojrzenie w głąb tunelu.

To go uratowało. Syczenie, brzmiące jakby wybuchły naraz wszystkie vanaheimskie gejzery, odbiło się echem od kamieni. Conan odskoczył w tył, rąbiąc mieczem w potworny, pokryty łuskami łeb, który wychynął z głębi tunelu.

— Są ich dwa! — pisnął Harfos.

Cymmerianin nie tracił czasu na liczenie węży. Przeskoczył śpiącego gada i ciął oburącz w grzbiet drugiej bestii. Miecz rozplątał łuski wielkości dłoni. Rana nie była jednak śmiertelna i rozjuszyła gada jeszcze bardziej niż pierwsze cięcie przez pysk.

Człowiek i wąż podjęli śmiertelny pojedynek. Dno rozpadliny było zbyt wąskie, by gad mógł opleść Conana, dlatego raz po raz uderzał łbem, starając się zatopić w nim kły. Czynił to z szybkością, która natychmiast przyniosłaby zgubę mniej zręcznemu przeciwnikowi.

W odpowiedzi na każdy atak miecz Conana haratał łuski i mięśnie. Czasami impet uderzenia sprawiał, że łeb węża trafiał z siłą taranu w ścianę za plecami Cymerianina krusząc zaprawę, a nawet wylupując całe gały. Nie wiadomo było, czy gad najpierw zdechnie od ustawicznych ciosów, czy też zwali kamienne mury na siebie i przeciwnika.

Odbijając się z grzechotem od ścian, do rozpadliny wpadł spory kamień. Odskoczył od ciała węża, niemalże trafił Conana w prawe ramię i rozbryzgnął szlam. Nim Cymmerianin zdążył zakląć, z góry runął kolejny gał.

Drugi pocisk trafił gada w rogaty łeb. Rozprostowując sploty, wąż rzucił się w górę, sycząc jeszcze bardziej zapamiętałe niż wcześniej. Czyniąc to, odsłonił gardziel.

Cymmerianin ciął z całej siły. Miecz pograżył się w ciele gada, przecinając tętnicę. Buchnęła fontanna krwi. Wąż przez chwilę piął się coraz wyżej, po czym runął bezwładnie. Conan ledwie zdążył odskoczyć, gdy zwierz spadł na śpiącą bestię.

— Kto rzucił te kamienie?! — krzyknął Conan.

— Ja! — rozległ się słaby głos Giseli. — Myślałam...

— Skoro tak postępujesz, gdy myślisz, niech Crom chroni mnie, gdy zrobisz coś bez zastanowienia!  
— wypalił gniewnie Cymmerianin. — Talouf, sprowadź ich na dół! Dostyc już tu siedzimy!

Kłębowski węży było niemiłym sąsiedztwem, lecz wszystkim udało się zejść na dół bez kłopotów. Z wyjątkiem Giseli. Dziewczyna potknęła się, zaczepiając tuniką o róg nad nozdrzem. Tunika rozpruła się i Gisela wylądowała w błocie naga jak niemowlę. Vandar natychmiast ściągnął swoją tunikę, by ją okryć.

— Tfu! — powiedziała Liwia marszcząc nos. — Co te bestie... Conanie, co robisz?

Cymmerianin tymczasem wycinał kawały mięsa ze śpiącego gada. Na koniec wbił mu sztylet przez oko głęboko w mózg. Jedyne słabe drżenie cielska oznajmiło o przejściu ze snu do śmierci.

— Jeśli oba będą poharatane — wyjaśnił Conan — będzie to wyglądało, jak gdyby pozabijały się nawzajem. Poza tym ten, który spał, nie obudzi się i nie będzie nas ścigał.

Liwia zadygotała i wyciągnęła jedną dłoń w stronę Conana, a drugą do Harfosa. Przez chwilę obydwaj musieli podtrzymywać ją, by nie runęła w cuchnącą breję. W końcu dziewczyna zaczerpnęła głęboko tchu.

— Ruszajmy.

— Jak sobie życzysz, pani — powiedział Talouf. — Najlepiej będzie, jeżeli ja poprowadzę. Sądzę, że poznałem te tunele lepiej od was wszystkich.

— Talouf, kłamałeś, że nie byłeś nigdy w Messancji? — Conan popatrzył badawczo na swego sierżanta.

— Kapitanie, pytałeś mnie tylko, czy służyłem w Gwardii. Odpowiedziałem ci zgodnie z prawdą, że nie.

— Ponieważ bez wątplenia większość czasu spędzałeś w miejscach, do których niej dochodzi dzienne światło — powiedziała ze słabym uśmiechem Liwia.

— Nie tylko złodzieje najlepiej radzą sobie w ciemnościach — odpowiedział Talouf i zwrócił się twarzą w głąb tunelu.

Nie minęło wiele czasu, nim Conan i jego towarzysze zobaczyli, jakie było pożywienie węży. Ze szlamu sterczały kości, przeważnie połamane, lecz bez trudu dające rozpoznać się jako ludzkie. Na szczęście wkrótce znaleziono wyjście na powierzchnię. To, iż znów mogli oddychać świeżym powietrzem i czuć solidny bruk pod stopami, sprawiło wszystkim niewysłowioną przyjemność.

Gdy wychodzili z podziemi, zapadał zmierzch. Nim dotarli z powrotem do pałacu Damaos, nastąpiła noc. Po drodze udało się im porozumieć co do jednego — konieczności unieszkodliwienia wroga, który zakradł się między nich. Jeżeli jego imię nie brzmiało Reza, Iranistańczyk musiał pomóc im go odszukać lub podzielić jego los.

## ROZDZIAŁ 14

Hałas w pokoju Rezy sprawił, że majordomus obudził się natychmiast. Ci, którzy nie spali czujnie na iranistańskim pograniczu, niedługo zagrzewali miejsce w oddziałach Khadjara. O ile nie pozbył się ich dowódca, Hyrkańczycy szybko pozbawiali ich głów, a czasem innych części ciała.

Błyskawicznie oprzytomniawszy, Reza jeszcze szybciej stoczył się między ścianę a łóżko, po drodze wyciągając spod poduszki krótki miecz. Jednak nim zdążył paść na posadzkę, ostrze innego miecza trafiło płazem w jego nadgarstek. Rękojeść wypadła mu ze zdrętwiałych palców. Reza ujrzał nad

sobą gigantyczną postać, poruszającą się z szybkością atakującej zmi. Obuta stopa przydeptała jego broń. W chwilę później coś twardego trafiło go w skroń. Iranistańczyk padł twarzą w dół, niejasno czując chłód kamienia pod policzkiem. Nieco lepiej zdał sobie sprawę, że twarde jak żelazo dłonie wiążą mu ręce na plecach. Chciał kląć, lecz nie miał na to sił.

Widział jednak dostatecznie wyraźnie. Spod łóżka mógł dostrzec drzwi i stojących przy nich ludzi. Reza miał wrażenie, że śni. Jak to możliwe, że Liwia przyglądała się temu tak spokojnie? Jak to możliwe, że Harfos z rodu Lokhri stał tak blisko głowy rodu Damaos, że jego oddech poruszał włosy dziewczyny?

Reza pomyślał, że zapewne uderzenie w głowę pomieszało mu rozum. Poczuł, że mocarna dłoń dźwiga go do pozycji siedzącej. Zorientował się, że w twarz zaglądają mu lodowate niebieskie oczy, osadzone w ogorzałej twarzy o tak surowym wyrazie, jakby wyrzeźbiono ją w skale z zimnych, cymmeriańskich gór.

— Odzyskał zmysły — powiedział Conan.

— Co... — zaczął mówić Reza.

— Im mniej będziesz gadać, tym szybciej skończymy — odrzekł Cymmerianin. Jego głos miał mniej surowy wyraz niż twarz. — Harfos, jesteś gotowy?

— Tak, chociaż szkoda, że nie mam pod ręką oleju z oliwek.

— Oleju? — zapytali równocześnie Conan i Liwia.

— Owszem. Porcja ziół może sprawić, że wkrótce będzie rzygał dalej niż widzi. Gdybym mógł dać mu trochę oleju z oliwek po zakończeniu przesłuchania, może do tego nie dojdzie.

Liwia pokiwała głową.

— Gisela, biegnij do kuchni.

— Tak, pani.

Reza zobaczył, że dziewczyna wychodzi z pokoju. Harfos zdjął torbę i zaczął szykować butelki i fiołki.

— Posłuchaj, Reza — powiedziała Liwia. — Ponieważ wrogowie zbyt często znali nasze sekrety, wygląda na to, że pośród nas zakradł się szpieg. Chociaż służysz mi od bardzo dawna, masz dostatecznie wiele powodów, by nim być. Harfos zrobił miksturę, która pomoże ci powiedzieć prawdę. Jeżeli odmówisz jej zażycia, dojdę do wniosku, że jesteś winny.

Reza zaczął śmiać się i stwierdził, że nie jest w stanie przestać. Zobaczył, że Conan, Liwia i Harfos rzucają na siebie niepewne spojrzenia i pomyślał, że doszli do wniosku, iż oszalał. Odzyskawszy dech, powiedział spokojnie:



— Pani, wybacz mi, że pozwoliłem ci tak długo trwać w niepewności. Moje... Wierzę, że miałaś powody, by mnie podejrzewać, zaręczam jednak, że nie jestem szpiegiem ani zdrajcą i nie złamałem przysięg złożonych twojemu ojcu. Dajcie mi miksturę, a gdy skończycie, pokażę wam, gdzie pogrzebałem prawdziwego szpiega!

— Skoro w ogóle nie okazuje strachu... — Liwia powiodła wzrokiem po swoich towarzyszach.

— Może zamydlać nam oczy. — Conan potrząsnął głową. — W każdym razie to dobrze, że nie zamierza stawiać oporu.

— Conanie, racz przestać mówić o mnie tak, jakbym był zwierzęciem nie rozumiejącym ludzkiej mowy. Ty, Harfosie, możesz napić mnie czymkolwiek zechcesz, jeśli jednak wymioty sprawią, że będę zbyt słaby, by walczyć z prawdziwymi wrogami rodu Damaos, lepiej uciekaj, nim odzyskam siły. Inaczej zrzucę cię kopniakami ze schodów i utopię jak szczeniaka w ogrodowej sadzawce.

Harfos uśmiechnął się nerwowo, po czym wrócił do odmierzania składników mikstury. Dało to Rezie czas na przyjrzenie się, jak Liwia wodzi wzrokiem po Cymmerianinie i potomku rodu Lokhri. Nie można było zaprzeczyć, że Conan trafił jej do serca, lecz nie zamącił jej w głowie na tyle, by ją zwieść. Dopóki Liwia nie wyrzekła się całej mądrości, której nabyła w czasie, gdy służył jej Reza, Cymmerianin nie miał szans zaszkodzić rodowi Damaos.

Zatem Rezie, synowi Shirama, pozostawało jedynie przekonać Conana, że jest równie niewinny jak on.

Doris z rodu Lokhri obudziła się, odczuwając ból, który nie miał nic wspólnego z pożądaniem. Przypominało to bardziej cierpienie, którego doznała w dzieciństwie podczas ucieczki przez świeżo przystrzyżony żywopłot. Po całym ciele przechodziły ją ciarki, jak gdyby od kolan po ramiona ktoś wbijał jej szpilki pod skórę.

Kołysanie się podłoża i klekot kół pozwoliły Doris zorientować się, że znajduje się w jadącym powozie. Okna pojazdu były szczelnie zasłonięte płótnem żaglowym.

Zabezpieczona przed wzrokiem gapiów, kobieta ściągnęła szatę. Okazało się, że ciarki i ukłucia nie były dziełem jej wyobraźni. Wszędzie tam, gdzie czuła ból, jej ciało pokrywały czerwone plamy, przypominające ślady po ukąszeniach komarów.

W chwilę później poczuła, że powóz zatrzymał się. W zapadłej ciszy usłyszała śpiew ptaków, sapanie zdroszonych koni i ludzkie głosy. Po chwili fragment płótna został odsłonięty. W szczelinie pojawiła się łysa głowa o kwadratowej twarzy ze spiczastą siwą brodą.

Doris nie zdążyła się ubrać, więc spiesznie złożyła jedną rękę na łonie, a drugą zakryła piersi.

— Akimosie, czemu zawdzięczam twój widok?

— Mniemam, pani, że to ty pokusiłaś się o skorzystanie z mojej gościnności. Marny byłby ze mnie

gospodarz, gdybym nie zadbał o twoją wygodę.

— Jedyne potrzebne mi wygody to wyjaśnienia. Jeżeli nie możesz mi ich udzielić, racz pożyczyć mi konia na powrót do Messancji.

— Niestety, pani, naglące sprawy uniemożliwiają mi spełnienie obu twoich życzeń, lecz jeżeli poprosisz o cokolwiek poza tym, natychmiast to otrzymasz.

Doris pomyślała, że powinna odmówić przyjęcia jakiegokolwiek łaski ze strony Akimosa. Porwał ją z powodów, które wyjawi zapewne dopiero wtedy, gdy będzie mu na tym zależało. Z pewnością ta trzpiotka Liwia uznałaby nieugiętość wobec porywacza za doskonały sposób okazania odwagi, jednak Doris po namyśle powiedziała:

— Potrzebuję jedzenia, wody, nocnika, jakiegoś przyzwoitego ubrania oraz maści na... ukąszenia owadów.

— Oczywiście.

Twarz Akimosa zniknęła. Naciągając szatę, Doris usłyszała, jak kupiec przywołuje swoich ludzi. Przez szczelinę w płótnie widać było trójkąt purpurowego nieba nad pogrążającymi się w mroku wzgórzami. Bliżej znajdowało się pokurczone drzewo oliwne, przy którym siedział szczupły młody mężczyzna w znoszonym podróżnym stroju.

Doris poczuła w pierwszej chwili dreszcz zgrozy, ponieważ mężczyzna był bardzo podobny do Harfosa. Czyżby jej syn brał udział w tym spisku, starając się od niej uwolnić?

Po chwili zorientowała się, że mężczyzna wcale nie jest młody. Mógłby być ojcem Harfosa. W jego ciemnych oczach widniała otchłanna wiedza — wiedza z pewnością nie przeznaczona dla ludzi. Mężczyzna podniósł głowę i utkwiał wzrok w Doris. Zadrżała, mimo że wieczór był ciepły. Spojrzenie nieznajomego zdawało się przeszywać jej szatę i ciało, sięgając trzewi i duszy.

Otuliła się ciaśniej powłóczystym strojem i odwróciła plecami do nieznajomego. Przestała zastanawiać się, kiedy odzyska wolność. Pytanie brzmiało, czy odzyska ją w ogóle.

— Jak daleko jesteśmy od pałacu?

— Za blisko na twój cymmeriański bas, kapitanie — odpowiedział Talouf przykładając palec do ust.

Reza uśmiechnął się, jednak jego twarz była pobladła i spocona.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Conan.

— To nie z powodu mikstury, lecz tego oleju z oliwek, Co nanie.

— Jeżeli trzymaliście w kuchni zjełczały olej, to twoja wina, Reza... — zdążył powiedzieć Harfos,

nim Cymmerianin zatkał mu usta.

Dalej posuwali się w milczeniu. Conanowi, Rezie, Taloufowi i Harfosowi towarzyszyło po czterech ludzi, wybranych ze służby i kompanii najemników. Sierżant i czterech innych ludzi odzianych było w stroje Tajnej Straży.

Nie była to organizacja na tyle tajna, by Harfos nie wiedział, jak ubierali się jej członkowie. Składała się z ludzi wyszkolonych w zakradaniu się do domów w celu zdobycia dowodów niemożliwych do uzyskania inną drogą. Według litery argosańskich praw, byli to przestępcy, lecz od wieków nie przeszkadzało to ani im, ani ich mocodawcom. Conan roześmiał się, gdy się o tym dowiedział.

— Argos zaczyna wreszcie przypominać inne kraje, do których trafiłem. Jest tu dziesięć praw zamiast jednego, lecz ci, którzy rządzą, nie przestrzegają co najmniej dziewięciu pozostałych.

— Zaczekaj z wyśmiewaniem praw, aż sam zaczniesz rządzić — powiedział wtedy Harfos.

— Tylko bogowie mogliby czekać tak długo — odparł Cymmerianin.

Cokolwiek prawo mówiło o Tajnej Gwardii, jej stroje okazały się przydatne. Sto kroków dalej prowadzona przez Taloufa grupa dotarła do wąskiego, pnącego się pod górę tunelu. Shemita osunął się na kolana i ruszył w głąb. Po chwili rozległo się wężowe syczenie, oznaczające, że wszystko w porządku.

Reza i Conan precyzyjnie przeszli przez tunel, by dołączyć do Taloufa. Podziemny korytarz okazał się niski, lecz szeroki, dzięki czemu nie brakowało im miejsca, by razem chwycić brązową kratę w podłożu tunelu. Ich połączonym siłom nie mógł oprzeć się kuty na zimno spiż.

Potem Conan z Rezą naciągnęli na twarze wyciągnięte z sakiew maski. Czterech ludzi za nimi zrobiło to samo.

— Gotowi, chłopcy? — spytał Reza. Mężczyźni pokiwali głowami.

— Doskonale — stwierdził Conan. — Pamiętajcie, żadnego rozlewu krwi, o ile da się tego uniknąć.

— Nie zmartwię się, jeżeli ludzie Akimosa zarzycją mu jego piękne marmurowe posadzki — powiedział Reza. — Zakarbuje sobie jednak, że muszą przeżyć, by można było podać im miksturę.

Harfos był obrażony, że nie pozwalano mu wziąć udziału w walce. Jego niechętny wzrok daremnie odbijał się od pleców rosnących mężczyzn znikających w otworze tunelu. Mimo że posadzka piwnicy znajdowała się o wysokość dorosłego człowieka niżej, Reza i Conan wylądowali bezgłośnie jak koty. Pozostali zamaskowani wojownicy podążyli za nimi.

Przez pewien czas krążyli po piwnicach pałacu Akimosa, nie napotykając żadnego stworzenia większego od szczura. W końcu powrócił wysłany do kwater służby zwiadowca z wiadomością, że znajdują się w nich tylko stare kobiety i młodzież. Dorośli mężczyźni gdzieś zniknęli.

Conan nie zamierzał dręczyć niezdolnych do walki służących. Podejrzał, że Akimos postanowił strzec swoich tajemnic, zabierając ze sobą wszystkich, którzy mogli je poznać. Jeżeli tak, włamywacze znaleźli się w obliczu kiegojskiego wyboru: przesłuchać kobiety i dzieci lub przeszukać pałac od fundamentów po dach w nadziei, że trafią na cokolwiek, co wyjawia zamiary kupca.

Krążyli po pałacu przez kwadrans, zanim wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście.

— Ktoś śpiewa — powiedział zwiadowca.

Conan skinął głową. Usłyszał nie tylko śpiew, lecz również akompaniament na bębenku. Wraz z towarzyszącymi mu ludźmi wspiał się na piętro nad kwaterami służby i ruszył korytarzem, prowadzącym do osobistych komnat Akimosa. Jeden ze strażników pozostał z tyłu, by przekazywać znaki grupie Taloufa.

Za uchylonych drzwi na końcu korytarza dobywał się głośniejszy teraz śpiew, nie na tyle jednak głośny, by zagłuszyć szczęknięcie pucharów, bulgot wina czy dźwięki wydawane przez zmożonych uczestników biesiadników.

Ktoś zaczął ponownie uderzać w bęben lub w coś, co wydawało podobny odgłos. Conan skinął głową. W takim zgiełku pałac mogłaby splądrować niepostrzeżenie cała kozacka banda.

Conan wyciągnął miecz, kopniakiem otworzył drzwi na całą szerokość i wpadł do środka.

Po chwili jego jedyną obawą było to, że służby Akimosa pozabijają się nawzajem podczas ucieczki. Jeżeli nawet któryś z nich był w stanie utrzymać broń, barbarzyńca nikogo takiego nie dostrzegł.

Conan wydał hyrkański okrzyk wojenny, będący sygnałem, by Talouf i inni dołączyli do niego. W chwilę później przyszło mu stawić czoło pijakowi, który zupełnie zapomniawszy o mieczu przy boku, wywijał stołkiem z większą furią niż zręcznością.

Wyłącznie dzięki szczęściu sługa zdołał trafić taboret w miecz Conana, który uwiązał w drewnie. Cymmerianin Obrócił się, uwolnił ostrze i kopnął z całych sił w stołek, który uderzył mężczyznę w brzuch. Sługa runął na stół zastawiony dzbanami i półmiskami pełnymi smakołyków, ten zaś przewrócił się pośród łoskotu talerzy i bulgotu rozlewających się trunków.

Kilku służących obojga płci tak dalece zatraciło się w ucztowaniu, iż runęli na kolana i jak psy zaczęli chleptać wino. Conana korciło, by rozpedzić ich kopniakami.

Nad panujący w komnacie zgiełk przebił się hyrkański okrzyk bojowy.

— Chwała Mitrze! — odpowiedział Conan, po czym przeszedł do przekleństw.

W chwilę później do komnaty wpadli Talouf i jego ludzie.

Napastnicy musieli sprawić teraz wrażenie groźnych złoczyńców, unikając rozlewu krwi. Największym zmartwieniem Conana była obawa przed poślizgnięciem się na jadle, rozlanym winie lub potknięciem o służących zbyt otępiałych, by wyczołgać na czas spod butów.

Ostatecznie cały ten balet przyniósł pożądane rezultaty. Cymmerianin usłyszał od obezwładnionych służących o Jaskiniach Zimgas, przygotowywaniu zapasów dla koni na długą wyprawę oraz zakrytym powozie wyposażonym tak, jakby miała nim podróżować dama. Talouf zasypywał też pijanych jeńców pytaniami o to, co słyszeli ostatnio o rodzie Lokhri.

Gdyby to, czego dowiedział się Conan, było liną, wystarczyłoby jej na dziesięciokrotne powieszenie Akimosa.

Na koniec Talouf przypomniał służbie, że jeśli powiadomią Gwardię o napadzie, to jednocześnie nie zdołają ukryć swego braku czujności oraz faktu uctowania pod nieobecność pana, co w myśl argosańskich praw było karane jako kradzież. Na odchodnym napastnicy zabrali ze sobą dwie skrzynie.

— W jednej są zwoje z gabinetu Akimosa — powiedział Talouf do Conana.

— A w drugiej? — zapytał Cymmerianin, szturchając ją stopą. Jej ciężar był na tyle wymowny, że gdy Talouf otworzył ją, Conan nie zdziwił się na widok srebrnych monet, przemieszanych ze sztukami złota i naszyjnikami z drogich kamieni.

— Odnieście to — powiedział Conan.

— Na rzyć Erlika, czyżbyś został porządnym człowiekiem, kapitanie? — zdumiał się Talouf.

— Nie wiem, jaki jest Conan, ale powiem ci jedno, sierżancie. Jeżeli zamierzasz zostać złodziejem, nie mów tego w mojej obecności — rzekł Reza.

Doris położyła się na brzuchu, podniosła skraj namiotu i wyjrzała na zewnątrz. Bez wątplenia lepszy widok miałyby z wejścia, lecz wtedy dostrzegliby ją strażnicy i zorientowali się, że wbrew temu, co udawała, strach nie odebrał jej zdolności logicznego myślenia.

Do tej pory zwodzenie wartowników przychodziło jej bez trudu. Nie miała złudzeń, że z Akimosem lub Skironem pójdzie jej równie łatwo, lecz wszystko było lepsze od bezczynności i ciągłego zamartwiania się.

W górze na stoku dojrzała czerwone płomienie ognisk. Dostrzegła, że rozpalono je przed wejściem do jaskini. Przed wylotem pieczary widać było obramowaną płomieniami sylwetkę tańczącego, szczupłego mężczyzny. Domyśliła się, że to Skiron. Wyglądało na to, że jest nagi.

Wezbrał w niej strach. Musiała przygryźć dłoń, by powstrzymać jęk przerażenia. Oszukiwała siebie myśląc, że zwodzenie wartowników zmieni jej położenie. Nie miała szans zwieść ich na tyle, by zdołać uciec, nim Skiron ponownie rzuci na nią czar.

Nawet gdyby zdołała zbiec, czarnoksiężnik wysłałby za nią swoje stwory.

Po pewnym czasie przerażenie ustąpiło na tyle, że znów była w stanie spokojnie oddychać. Dojrzała

na tle płomieni sylwetki innych ludzi, wnoszących do jaskini koce, kłody, dzbany i inne przedmioty, których nie mogła rozpoznać.

Minęło kilka dni — gdyby stosować ludzką rachubę czasu — nim oddzielona emanacja dołączyła do Większego Wartownika. Na to, by emanacja z Jaskiń Zimgas złąła się z Mniejszym Wartownikiem, potrzeba było kilku następnych godzin. Obydwie eteryczne istoty przekazały Wartownikom zapas sił, dzięki czemu ci zaczęli drążyć korytarze w skałach, by wydostać się na powierzchnię.

Większy i Mniejszy Wartownik odnowili łączącą ich przed wiekami więź umysłów — jak nazwaliby to ludzie. Wartownicy nie używali nazw, ponieważ nie potrzebowali tego rodzaju pomocy dla pamięci.

Byli niemal nieśmiertelni. Stulecia, które minęły od czasów, gdy znaleźli się w skałach pod górami, wydawały się im nie dłuższe niż dni dla ludzi. Nie zapomnieli nic z tego, co wtedy wiedzieli. Część tej wiedzy mówiła, jak mają odzyskać utraconą siłę.

Możliwe to było dzięki przyswajaniu pokarmu, lecz ciała żywych istot nie były w stanie nasycić całego ich głodu.

Do nabrania nowych sił niezbędne były czary. Z tego właśnie względu przekazana Wartownikom przez emanacje wiadomość, że w Jaskiniach Zimgas są rzucane zaklęcia, była dla nich niezmiernie istotna. Co więcej, były to czary, mogące zaspokoić głód pary magicznych stworzeń.

Gdyby natura Wartowników przypominała ludzką, odczuwaliby radość.

## ROZDZIAŁ 15

Doris spała.

Śniła o kochanku przystojniejszym, silniejszym i bardziej cywilizowanym niż Conan. Wyśniony mężczyzna był obdarzony siłą Cymmerianina, lecz szeptał jej do ucha w namiętym uścisku czarujące miłosne przysięgi.

Mocniej zacisnęła wokół niego ręce i nogi, wdychając woń jego potu, jak gdyby było to najznakomitsze kadzidło. Odrzuciła w tył głowę i krzyknęła, słysząc wtórujący jej krzyk kochanka, czując jego oddech...

Jego oddech? Przed chwilą był słodki jak zapach ogrodu... Jak to się stało, że nagle jego woń stała się cuchnąca?

Jak...

Obudziła się. Spleciony z nią mężczyzna nie był ani przystojny, ani silny. Czy Akimos był cywilizowany...

Nie miało to znaczenia, skoro nie miał zamiaru jej opuścić. Wbrew jej woli pożądanie wezbrało w niej jak przyływ, porwało ją ze sobą, sprawiło, że jej kończyny zadrżały, twarz wykrzywiła się, a z ust zaczęły dobywać się namiętne westchnienia.

Akimos osiągnął ze stęknieniem szczyt miłosnego uniesienia i stoczył się z Doris. Bezwładna, ociekająca potem kobieta leżała na plecach z półotwartymi ustami, odziana jedynie w splecione włosy. Jej myśli były w takim samym nieładzie jak ona sama.

— Czyż nie było wspaniale, Doris?

Zdała sobie sprawę, że jedną z zalet Conana było to, że nie domagał się pochwał za swe miłosne wyczyny. Fakt, że kobieta po wielu uniesieniach zapadała jak ogłuszona w sen, nie pozostawiał prawdziwemu mężczyźnie żadnych wątpliwości. Dlatego też Doris dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak gardzi tymi, którzy domagali się tego rodzaju pochlebstw.

— Z pewnością, jak na kogoś w twoim wieku...

Akimos uderzył ją otwartą dłonią w twarz, nim zdążyła dostrzec ruch jego ręki. Poczuli, jak łzawią jej oczy, lecz zmusiła się, by nie mrugać. Nie chciała okazać temu synowi zamiataacza ulic, że można zmusić ją do płaczu.

— Mężczyzna w twoim wieku ma szczęście, jeżeli w ogóle jest w stanie zadowolić kobietę. Nie mam powodów narzekać.

Po tych słowach nastąpiły dwa dalsze ciosy. Doris przewróciła się na brzuch. W tej chwili zdała sobie sprawę, do czego może dojść, jeżeli Akimosa ogarnie potrzeba sprawiania bólu. Przetoczyła się z powrotem na plecy. Pomogły jej w tym dwie ręce, boleśnie szarpiące ją za włosy.

Akimos zwałił się na nią ponownie, wyciskając powietrze z jej piersi. Nigdy nie potrzebowała cierpienia, by jej pożądanie osiągnęło pełnię, choćby krążące o niej plotki twierdziły inaczej. Teraz jednak było właśnie tak. Wiedziała, że jeżeli Akimos zacznie kasać jej ciało jak wilk jagnię, wprawi ją tym w jeszcze większą ekstazę. Jak tchnienie lodowatego wiatru, zgroza ogarnęła jej umysł, lecz nic nie było w stanie ostudzić jej ciała. Było obdarzone własną wolą i wyłącznie jednym celem: unosić się na falach namiętności jak miotany przez burzę okręt.

Z jej gardła dobył się jęk, który po chwili przerodził się w namiętny skowyt.

Słyszając krzyk Doris, Skiron uśmiechnął się. Gdy jednak obrzucił wzrokiem mężczyzn przy obozowym ognisku, przeszła mu wesołość.

Zakłęcie, które spowodowało, że Doris stała się niewolnicą Akimosa, było potężne i złożone. Gdyby wytrzymało jeszcze kilka dni, Doris stałaby się uzależniona od kupca równie silnie jak Vendhiańczycy od wywaru z maku.

Wrzaski Doris przypominały pozostałym ludziom w obozie, że nie mogą dzielić przyjemności ich pana. Skiron zastanawiał się, czy tylko dobiegające z namiotu odgłosy sprawiały, że na ich twarzach malowała się gorycz lub obleśna pożądlivość.

Nie miało to znaczenia. Danie upustu ich cielesnym zachciankom stało się ważne dla utrzymania spokoju w obozie i zapewnienia powodzenia wyprawie. Skiron postanowił znaleźć sposób jej zaspokojenia tak, by ludzie wiedzieli, komu to zawdzięczają.

Do tej pory czarnoksiężnikowi wystarczała niepewna przyjaźń i otwarta kiesa Akimosa, lecz nadchodził czas, gdy do realizacji planów Skirona potrzeba będzie wielu rąk i jeszcze większej liczby przyjaciół. Gdyby ci przyjaciele pochodzili spośród sług Akimosa, położyłoby to kres mrzonkom kupca, iż może obejść się bez Skirona.

Czarnoksiężnik wyszedł poza krąg światła rzucanego przez ognisko. Chwilę później opuścił w ogóle teren obozu. Z oddali dobiegł go ryk jelenia.

Gdzieś w dole zbocza pasło się stado jeleni. Skiron znał zaklęcie, pozwalające zamienić łanie i samice innych gatunków zwierząt w imitacje kobiet, nie do odróżnienia przynajmniej w nocy, podczas miłosnego zaślepienia. Był to jednak potężny czar, który sprawiłby także, że Skiron straciłby dużo sił i niemożliwych do szybkiego zastąpienia magicznych preparatów. Nie, musiał poszukać jakiegoś łatwiejszego sposobu...

Znalazł go niżej na stoku wzgórza, w wiosce, którą świta Akimosa minęła po drodze do jaskini. Mieszkały w niej dziewczyny i młode żony. Kilka z nich, związanych tym samym co Doris zaklęciem, zapewniłoby, że na twarzach ludzi Akimosa szybko zagościłby uśmiech.

Skiron wrócił w krąg światła z ogniska.

— Partab!

— Tak?

Wielki Vendhiańczyk dźwignął się z ziemi niedbałym ruchem, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza lekceważyć poleceń czarnoksiężnika, ale wypełni je w takim tempie, na jakie będzie miał ochotę. Światło połyskiwało na jego łysym ciemieniu i ostrzu zatkniętego za pas zakrzywionego sztyletu.

— Wynikł pewien kłopot, dotyczący zdrowia naszych ludzi.

Partab podążył za Skironem z ociąganiem, lecz w lot pojął zamysły czarnoksiężnika.

— Ach, panie, jesteś mądrzejszy, niż śmiałem marzyć — powiedział z zapałem. — Istotnie, biadałem, że brak mi kobiety właśnie teraz, gdy znów czuję się jak jurny młodzik.

— Może się to zmienić, jeśli pójdiesz ze mną z dziesiątką ludzi.

— Zaraz ich wybiorę.



— Dobrze. Upomnij ich, że musimy zachowywać się cicho jak łasice grasujące w kurniku, gdy wszystkie psy gospodarza czuwają. Akimos nie podziękuje nam za ściągnięcie mu na głowę wszystkich chłopów z okolicy, poszukujących zaginionych żon i córek.

— Nic nie znajdą — odparł z przekonaniem Partab.

— Jeżeli dołożymy trochę starań, tak właśnie będzie — potwierdził Skiron.

W rzeczywistości wystarczyło użyć w tym celu kilku prostych zaklęć, powodujących utratę pamięci.

Conan siedział na łóżku, oliwiąc kolczugę, którą zamierzał włożyć następnego dnia pod strój do konnej jazdy. Strój, począwszy od przepaski na biodra po miecz, leżał razem z resztą ekwipunku na stojącej przy łóżku skrzyni.

Liwia zaproponowała, że przyśle sługę, by przygotował jego broń i ubranie, lecz Conan odmówił.

— Będziemy podróżowali szybko, z niewielkim obciążeniem, pani — wyjaśnił jej Reza. — Jedyne tobie towarzyszyć będzie służba. Poza tym niektórzy ludzie Conana zaczęliby zaniedbywać swoje obowiązki, gdyby widzieli, że ich kapitan nie daje przykładu.

Liwia niechętnie skinęła głową. Tak jak Conan, usłyszała w głosie Rezy sugestię, że wyprawa poruszałaby się szybciej, jeśli ona nie będzie im towarzyszyć.

Harfos uparł się, że ruszy na poszukiwania matki. Nikt nie chciał ani potrafił mu odmówić. Ponieważ przyjęto go do wyprawy przeciwko Akimosowi, Liwia stwierdziła, że zrobi to samo. Tym razem zarówno Conan, jak i Reza protestowali równie energicznie, co bezskutecznie. Dziewczyna całkowicie zlekceważyła ich opór.

Conan miał wrażenie, że chłopak i dziewczyna zaangażowali się w rywalizację, które z nich okaże większą odwagę. Cymmerianin naoglądał się już dość tego rodzaju zawodów. Biorący w nich udział ludzie kończyli przeważnie jako pożywienie dla sępów.

Cóż, sam był od nich zaledwie cztery lata starszy, aczkolwiek dojrzały umysł Liwii sprawiał, że łatwo było o tym zapomnieć. Skoro ani ona, ani Harfos nie chcieli słuchać głosów rozsądku, to niech jadą i walczą! Nie zamierzał więcej się nad tym zastanawiać.

Usłyszał, że ktoś dotyka nie zaryglowanych drzwi. Zwęższy oczy w szparki, zamarł, oddychając płytko. Był nieruchomy jak gład i pozornie równie obojętny, gdy drzwi uchyliły się na tyle, by Gisela mogła wsunąć się do środka.

Dziewczyna rzuciła okiem na Conana i zapewne doszła do wniosku, że śpi. Na palcach podeszła do łóżka i zatrzymawszy się obok, zsunęła sandały. Sięgnęła do zapieć sukni...

Conan rzucił butem w drzwi, zamykając je. Chwilę później Cymmerianin dopadł ich jednym skokiem i zasunął rygiel. Kolejnym skokiem wrócił do łóżka, porywając Giselę w masywne ramiona.

Dziewczyna nie protestowała. Przeciągnęła się i zakręciła biodrami, wyswobadzając się z sukni.

Cymmerianin roześmiał się, dźwignął Giselę jeszcze wyżej i rzucił na łóżko. Odbiła się od siennika trzykrotnie, nim zdołała usiąść. Śmiała się głośno zsuwając ramiączka halki, zaczynającej się tuż nad piersiami i kończącej się w połowie ud. Cienki jedwab był wyszywany kwiatami, lecz bynajmniej nie pomagało to ukryć czegokolwiek.

— Ponieważ wrzuciłem cię do łóżka, a nie wyrzuciłem z niego, mam nadzieję, że wiesz, co tu robisz — rzekł Conan.

Gisela wyprostowała się.

— Conanie, nie jestem zieloną trzpiotką.

Istotnie, w wieku siedemnastu lat prawie wszystkie Argosanki były już kobietami.

— I bardzo dobrze. Nie gustuję w podlotkach. Widywałem cię jednak z Vandarem... — po jego słowach po twarzy dziewczyny przemknął cień. Conan zmarszczył brwi. — Pokłóciłaś się z nim?

— Kapitanie, to chyba nie twoja sprawa?

— Moja, na Croma! — burknął Cymmerianin. — Jeżeli pokłóciliście się, powinienem to wiedzieć, bo rzecz dotyczy jednego z moich najlepszych ludzi. Jeżeli nie, to co tu robisz?

— Siedzę na twoim łóżku...

— Prawie naga, gotowa rzucić się na mnie jak tygrys na kozłą. Masz prawo decydować o sobie, więc jeśli masz jakiś dobry powód, by tu być, nie będę miał nic przeciwko, ale albo powiesz mi, co to za powód, albo wyrzucę cię stąd ze spranym tyłkiem i zostawię Vandara w Messancji.

Gisela zbladła i odwróciła wzrok.

— Jeżeli Reza dowie się, że ci powiedziałam... — szepnęła.

— Przysięgnę, na co zechcesz, że Reza się nie dowie. Powiedz mi, o co chodzi, i to natychmiast!

— To Reza mnie tu przysłał. Nie chce... nie chce, żebyś myślał o Liwii... jako kobiecie.

— Niech diabły porwą Rezę i Liwię!

Sploszona Gisela skuliła się i schowała twarz w poduszkę. Podniosła głowę dopiero, gdy zorientowała się, że koszulka zsunęła się z pośladków, i wtedy parsknęła śmiechem.

Powód jej przybycia był tak oczywisty, że Conan mógł sam się go domyślić, nie strasząc biednej dziewczyny. Reza myślał tylko o jednym, strzeżeniu reputacji Liwii. Najlepszym sposobem jej ochrony było oczywiście uprzedzanie ewentualnych niebezpieczeństw...

— Liwia nie ma czego bać się z mojej strony. Wiem, że ogląda się za Harfosem.

— Nie jest jej wart!

— Nie pozwól, by usłyszała to od ciebie, jeżeli chcesz mieć całą skórę na grzbiecie. Nie rozumiałem dobrze kobiet, lecz nauczyłem się jednego: jeżeli kobieta uważa, że ktoś jest jej godzien, nawet bogowie i diabły nie zdołają jej wybić tego z głowy.

— To prawda! — stwierdziła stanowczo Gisela.

Błyskawicznym ruchem ściągnęła koszulkę przez głowę i wyciągnęła ramiona do Conana. Mimo iż była czarnowłosa, miała jasną, piegowatą skórę. Naoliwiła ją tak, że aż lśniła w świetle lampy. Gisela zsunęła się z łóżka i podeszła do Cymmerianina. Jej piersi kołysały się. Zatrzymała się tuż przed Conanem, który przyciągnął ją do siebie.

Nie potrzebował wiele czasu, by zrzucić ubranie, zanieść Giselę z powrotem do łóżka i dowiedzieć się, że jej kobiece ciało zna wszystkie miłosne tajniki.

Wartownicy zbliżali się do siebie, wyszukując szczeliny w skale i ryjąc korytarze. Po drodze wchłaniali ostatnie, powracające emanacje, przyswajając sobie ich siłę i wspomnienia. Z minuty na minutę powiększali swoje rozmiary.

Gdy ich macki przeniknęły przez ostatnią szczelinę, obaj Wartownicy byli równej wielkości. Gdyby ktokolwiek ich ujrzał, mógłby orzec, że są ogromne jak tuzin słoni. Były wprawdzie inaczej zbudowane i nie poruszały się z taką gracją, lecz żadne stado słoni nie wyszłoby żywcem z ich uścisku.

Dotykając się, wymienili wszystkie informacje, które zgromadziły od czasu przebudzenia, po czym zaczęły odpoczywać. Nie było to łatwe, ponieważ w skałach krążyły pobudzające je zaklęcia, lecz instynkt podpowiadał im, że takie postępowanie jest najrozsądniejsze.

Obydwaj Wartownicy rozrosli się tak, że stali się zdolni do stworzenia następnej pary, która przy odpowiednim, pożywieniu szybko dorównałaby im rozmiarami. Przede wszystkim musieli jednak odpocząć. Ponieważ nic ich nie nagliło, dopiero po pierwszym podziale zamierzali wyprawić się w góry na poszukiwanie pożywienia.

Bosa Liwia oddaliła się ukradkiem od drzwi komnaty Conana. Nie obawiała się, że ktoś ją usłyszy. Ci, którzy się znajdowali w środku, zachowywali się zbyt głośno, by usłyszeć cokolwiek z zewnątrz.

Obawiała się napotkania Rezy. To, co musiałaby mu w tej sytuacji powiedzieć, naruszyłoby niepewny rozejm pomiędzy nią a Iranistańczykiem. Za dnia, gdy wspomnienie dochodzących z pokoju odgłosów zblednie w jej umyśle, być może będzie zdolna powściągnąć swój język, lecz na razie...

Na razie trwała noc. Ostatnia, którą spędzi pod własnym dachem, we własnych komnatach, w otoczeniu mogących nie dochować tajemnicy służących. Od następnej nocy, przez wiele kolejnych, będzie sypiać w zajazdach, namiotach i w szczerym polu. Dokąd będzie chodzić, z kim oraz to, co będą robić, gdy dotrą do celu, będzie wyłącznie tajemnicą.

## ROZDZIAŁ 16

Conan usłyszał dobiegający z głębi lasu kobiecy krzyk. Uniósł dłoń, by zatrzymać podążający za nim orszak.

— Vandar, chodź ze mną. Reza, niech ludzie otoczą to miejsce.

— Znam się na tych rzeczach, Conanie.

— Conan również i to on tu rozkazuje — przypomniała Iranistańczykowi Liwia,

Gdyby rzeczywiście on tu dowodził, kazałby dziewczynie zamilknąć, pomyślał ponuro Conan. Jej przytyki wobec Rezy nadwierały pokój panujący pomiędzy wojownikami. Zniknęły co prawda wzajemne wątpliwości co do lojalności, ale pozostała zawiść Rezy o wpływ, jaki kapitan najemników miał na głowę rodu Damaos.

Conan zsiadł z konia.

— Chodź za mną — polecił Vandarowi.

Gęsta kopia sosnowych konarów zakrywała prawie całe niebo. Wśród pni grubości człowieka panował gęsty półmrok. Rzadkie poszycie i opadający stok pozwalały na szybki marsz.

Wynurzyli się spomiędzy drzew na skraju górskiego strumienia. Po przeciwnej stronie piętrzyło się surowe skalne urwisko. Na jego szczycie stała krzycząca kobieta z odrzuconą w tył głową i uniesionymi ramionami.

Conan wypatrywał właśnie drogi wiodącej w górę urwiska, gdy na szczycie pojawiła się druga kobieta, gestami przywołująca pierwszą. Za każdym razem, gdy zbliżała się o kilka kroków od krzyczącej kobiety, ta cofała się w popłochu.

— Jeszcze dziesięć kroków i spadnie — mruknął Conan.

— Może właśnie tego chce — powiedział Vandar. — Czy ratowanie pomyłonej wieśniaczki to nasze zadanie?

Odpowiedzią było ganiące spojrzenie Cymmerianina. Vandar spuścił wzrok.

Conan zdjął, po czym uniósł nad głowę pas z mieczem i sztyletem, a następnie wszedł do wody. Trzy kroki dalej rzeka sięgnęła mu do piersi. Vandar zaczerpnął głęboko tchu i poszedł w ślady swojego dowódcy, krzywiąc się z zimna. Gdy wygramolił się za nim na drugi brzeg, zsiniał tak, że jego skóra miała barwę oczu Cymmerianina.

Conan powiódł wzrokiem po skalnej ścianie, szukając wciąż drogi na górę. W końcu ją znalazł. Wejście na szczyt stromizny wyglądało tak, jak gdyby ktoś przed wiekami wyrąbał skalne stopnie w ścianie urwiska.

Barbarzyńca wdrapał się na najniższy z rozsypujących się stopni i otrząsnął jak pies. Vandar ruszył za nim, obrzuciwszy drogę powątpiewającym spojrzeniem.

— Ta ścieżka nadaje się bardziej dla kozic niż ludzi. Gdzie podziały się twoje rogi, kapitanie?

— A twoje, skoro już o tym mówimy? — Conan szturchnął zziębniętego podwładnego. — Niebawem ci urosną, wtedy będziesz mógł kłócić się ze swoim dowódcą... Za mną!

Rozpoczął wspinaczkę, chwytając się pnączy i pokreconych młodych drzewek, które jakimś cudem zakorzeniły się w skalnych szczelinach.

Nim dotarli do połowy wysokości urwiska, kobieta przestała krzyczeć. Jej towarzyszka przemawiała do niej cichym głosem. Conan nie mógł rozróżnić słów, lecz wyraźnie słyszał w nich błagalną nutę.

Vandar zrównał się z dowódcą i wziął głęboki oddech.

— Kapitanie, co my tu właściwie robimy?

— To, że w tych stronach, daleko od wioski, znalazła się wariatka, pachnie mi czarami.

— Nie każde szaleństwo bierze się z magii, kapitanie.

— Bywa tak wystarczająco często. Jeżeli nawet w tym przypadku jest inaczej, dlaczego nie mielibyśmy jej uratować? Jeżeli się nam powiedzie, zaskarbimy sobie wdzięczność jej krewnych i ziomków. Jeśli wiedzą coś przydatnego dla nas, powiedzą nam o tym otwarcie.

— Wybacz, kapitanie. Powinienem był sam o tym pomyśleć.

— Pomyślałbyś, gdybyś tak długo jak ja utrzymywał się przy życiu dzięki swojemu rozumowi i mieczowi.

Ponownie podjęli wspinaczkę. Gdy po raz drugi zatrzymali się dla złapania tchu, Conan oparł się plecami o skałę i popatrzył przez rzekę. Znaleźli się powyżej koron drzew i roztoczył się przed nimi widok na górską dolinę. Nie dotarli tak daleko na północ, by śnieżne czapy pokrywały o tej porze roku szczyty, lecz mimo to góry sprawiały majestatyczne wrażenie.

W tej okolicy mogła ukryć się cała armia. Poszukiwania kupca i czarnoksiężnika byłyby z góry skazane na niepowodzenie, gdyby nie wskazówki zdobyte w rezydencji Akimosa. Gdyby zaś

mieszkańcy wioski, z której pochodziła kobieta na urwisku, nie mogli mu pomóc, Conan liczył, że zdoła przynajmniej uprosić ich, by nie rozpowiadali o jego obecności w tych górach.

Conan i Vandar pokonali ostatnie kilkadziesiąt kroków, starając się zachowywać cicho jak myszy w obecności grasującego kocura.

Po raz ostatni zatrzymali się tuż pod szczytem urwiska. Conan zobaczył, że wariatka stoi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami najwyżej pięć kroków od jego skraju. Co gorsza, o dwa kroki za nią skalną ścianę znaczył żleb. Gdyby weń wpadła, zsunęłaby się po nim jak wino w lejku i wypadła poza skraj urwiska.

Conan przyciągnął Vandara do siebie i wyszeptał:

— Gdy wskoczymy na szczyt, zabiegnij jej drogę do urwiska, a ja nie dopuszczę jej do żlebu. Pamiętaj, że musimy powstrzymać ją gołymi rękami.

— Doskonale! Kiedy wydrapie mi oczy, puścimy wolno czarnoksiężnika, jeżeli wprawi mi je z powrotem.

Cymmerianin wziął głęboki wdech, poklepał towarzysza po ramieniu i jednym susem pokonał resztę drogi. Vandar ruszył krok za nim, lecz potknął się o kamień. Dzięki łasce bogów przewrócił się już na płaskim gruncie.

Nawet leżąc na brzuchu, Vandar skutecznie tarasował kobiecie dostęp do urwiska. Ta zawyła jak wilk i skoczyła w stronę żlebu. Ponieważ Conan obejrzał się, by sprawdzić, czy Vandar nie runął w dół, spóźnił się, by ją schwytać.

Zdążył jednak wskoczyć za kobietą w żleb, chwytając jej nadgarstki. Rozpostarł nogi, starając się zaklinować je w zboczach rozpadliny i powstrzymać zsuwanie ich obojga, jednakże żleb był zbyt stromy. Jeszcze dziesięć kroków, a skończy się to długim lotem i śmiercią w nurcie rzeki. Być może ratowanie wariatki istotnie nie było warte zachodu...

Coś miękkiego dotknęło barku Conana. Po chwili zacisnęły się na nim żylaste palce. Usłyszał nad sobą wołanie Vandara: — Pośpiesz się, kobieto!

Za moment na jego pasie zacisnęła się pętla. Poczul, jak supły zaciskają się. Najpierw powstrzymały Conana i wieśniaczkę przed zsuwaniem się w objęcia śmierci, a po chwili Cymmerianin mógł puścić jeden nadgarstek kobiety. Pomagając sobie wolną dłonią, zdołał w końcu wygramolić się na wierzchołek urwiska.

Wstał. Niedoszła samobójczyni była nieprzytomna. Przyjrząwszy się jej, Conan odetchnął z ulgą. Jej ciało pokrywały świeże sińce, szramy jak po uderzeniach bicia, ale nie było żadnej poważnej rany.

— Kapitanie, nic ci się nie stało?

Vandar i druga wieśniaczka stali obok siebie. Kobieta zwijała linę.

— Nauczyłeś się myśleć szybciej, niż się spodziewałem — pochwalił go Conan. — Gdybyś skoczył za mną w żleb, wszyscy troje skończylibyśmy martwi w rzece.

— To jej siostra... — zaczął zadowolony najemnik.

— Siostra? — spytał Conan.

Vandar wyciągnął nagle dłoń w stronę głazów. Cymmerianin dostrzegł, że coś się za nimi porusza. Obydwaj natychmiast padli na ziemię. Kobieta wyprostowała się, stuliła dłonie przy ustach i zawołała:

— Hej! Mieszkacie w Jelenim Skoku? Ci ludzie to przyjaciele! Uratowali Komarę!

— Tak twierdzisz, Szyłka? — odpowiedział jej chrapliwy głos. — Przeklęte czary...

— Czary?! — wykrzyknął Vandar.

— Jakiego rodzaju?! — zawtórował mu Conan powstając.

— Sami powinniście wiedzieć, wy... — odezwał się inny głos.

— Zaczekaj! — rozkazał człowiek, który odezwał się jako pierwszy. — Kim jesteś?

— Kapitan Conan, w służbie Gwardii.

— Nigdy nie widziałem cię w forcie w dolinie.

— Nigdy tam nie byłem. Przybyłem prosto z Messancji, tropiąc pewnego czarownika, pewnie tego, którego tak się boicie. Opowiedzcie mi o tych czarach.

— Tak, opowiedz mu — dodała Szyłka. — Zrób to, Oris, a pozostali niech pomogą mi zająć się siostrą. Nie po to wyrwaliśmy ją śmierci, żeby wykrwawiła się na tych skałach.

Te słowa skłoniły czterech wieśniaków do wyjścia zza głazów. Conan zauważył, że byli uzbrojeni w kusze, włócznie lub krótkie miecze. Podszedł do skraju urwiska i dał znak Rezie, by wysłał ludzi na drugą stronę rzeki. Był skłonny zaufać chłopom, ale czułby się pewniej, gdyby wieśniacy wiedzieli, że przybysze mają nad nimi przewagę liczebną. Nagle znad skraju urwiska wyłoniła się znajoma, jasnowłosa głowa. Cofnął się o krok, przywołując atrybuty kilku bogów, nie wymieniane zazwyczaj przez dobrze wychowanych Argosańczyków. Śmiech Liwii zabrzmiał jak szmer strumienia na kamieniach.

— Wybacz mi, że cię zaskoczyłam, kapitanie, ale przyszło mi do głowy, że możesz mnie potrzebować, by przekonać wieśniaków, że nie mamy wrogich zamiarów. Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, że mieszkańcy tych wzgórz czasami potrafią być równie oporni na argumenty jak tutejsze skały. — Nim Conan zdążył obmyślić odpowiedź, Liwia odwróciła się do wieśniaków. — Czy ta biedaczka ma rodzinę?

— Ma męża — odparł mężczyzna, którego nazywano Oris. — Tylko nie wiem, czy ją zechce po tym, co się stało...

— Śmiałyby nazwać ją nieczystą, ponieważ padła ofiarą ohydnej magii? — wypaliła Liwia.

Conan dosłyszał w jej głosie lodowatą nutę, podobnie jak wieśniacy, którzy cofnęli się o krok.

— Hmm... — odparł Oris. — Nie dam głowy, co zrobi jej mąż, ale wstawię się za nią...

— Bardzo dobrze. Masz zrobić co w twojej mocy, by ją przyjął. Jeżeli ci się nie uda, ta biedaczka może zamieszkać u mnie.

— A coś ty za jedna, messancjańska paniusiu? — zapytał mężczyzna, którego wcześniej uciszył Oris.

Conan zrobił szybko trzy kroki i podniósł pyskacza za pas i kołnierz tuniki.

— To... dama, która potrafi spełnić swą obietnicę. Ja z kolei obiecuję, że rozerwę cię na strzępy, jeżeli jeszcze raz odezwiesz się tym tonem.

— Jestem Liwia z rodu Damaos.

Dopiero w tej chwili dziewczyna zdała sobie sprawę, że nasiąknięty wodą strój wyraziście oblepia jej ciało. Zniknął chłopięcy wygląd, który starała się utrzymać podczas drogi.

— To prawda, a jej ród jest bardzo zamożny — powiedział Conan. Odstawił wieśniaka na ziemię i starannie wytarł dłonie o spodnie. — Jeżeli jednak dowiedzą się o tym nasi wrogowie...

— Dopilnuję, by tak się nie stało — powiedział Oris. — Pani, kapitanie, podróżujecie samotnie?

Conan dał znak Liwii, by pozwoliła mu mówić. Nieco ku jego zdziwieniu, wyraziła zgodę skinieniem głowy.

— Dlaczego pytasz?

— Jeżeli jest was więcej, błagam, zatrzymajcie się w Jelenim Skoku i brońcie nas przed porywaczami kobiet.

Oris najwyraźniej żywił wątpliwości co do uczciwości Conana, mimo że starał się ich nie ukazywać.

— Ile wiosek ucierpiało do tej pory? — spytał Cymmerianin.

— Cztery, po jednej każdej nocy.

— W takim razie zaprowadźcie nas w miejsce, z którego będziemy mogli szybko dotrzeć do każdej z nich. Jeżeli porywacze kobiet pojawią się ponownie, zdołamy zatrzymać ich w drodze powrotnej. Jeżeli nas zaatakują, utrzymamy im nosa.



— Mądre słowa, kapitanie.

— Skąd można równie szybko dotrzeć do wszystkich wiosek? — pytał dalej barbarzyńca. — Słyszeliśmy, że w tych stronach znajdują się Jaskinie Zimgas... — Oris pobladł. Sprawiał wrażenie gotowego rzucić się na kolana. — Czyżbyście bali się tych jaskiń?

— Tam... Kapitanie, nie wiesz, o co prosisz!

— W takim razie powiedz mi! Czy wszyscy mieszkańcy wzgórz lubują się w zagadkach?

— W Jaskiniach Zimgas mieszkają... Wartownicy!

— Wartownicy? Mów dalej, człowieku!

— To... — Oris przełknął — magiczne istoty, stworzone wieki temu, by strzec granic Argos. Gdy zakazano magii, pogrążyły się we śnie, lecz powiada się, że są nieśmiertelne, a magia może je przebudzić.

— Tym gorzej dla czarownika — odparł Conan. — Tylko od uczciwej stali zginęło więcej czarnoksiężników niż wskutek budzenia pupilów innych magów.

— Jeżeli chcecie spotkać się z Wartownikami, jedźcie do zamku Tebroth. — Oris zadrzał. — Jest niedaleko wszystkich czterech wiosek. Musicie jednak wiedzieć, że powiadają, iż zamek postawiono w ciągu jednej nocy i to Wartownicy złożyli go z kamiennych bloków.

Chociaż Conan nie zadrzał, stara niechęć do magii sprawiła, że zamilkł na chwilę. W końcu pokiwał głową.

— Oris, moja propozycja jest taka: na dole czeka na nas cała kompania. Dostaniecie jedzenie, wino, a nasz medyk zajmie się Komara. Zaprowadzicie nas do zamku Tebroth, po czym zabierzecie Komarę do domu i powiadomicie naczelników wszystkich wiosek o naszej obecności. Niech dadzą nam znać, jeżeli porywacze kobiet pojawią się ponownie.

— Muszę iść z wami — powiedziała Szyłka. — Moja siostra potrzebuje kobiecej opieki.

Liwia spojrzała nagle na Conana, a wyraz jej twarzy był równie wymowny jak u wiejskiej dziewczyny.

Cymmerianin pomyślał, że dobrze byłoby, gdyby nie miał do czynienia z płcią przeciwną do czasu porachowania się z Akimosem, po czym odwrócił się do Orisa.

— No więc?

— Jak sobie życzysz, kapitanie.

— Dobrze — podszedł do skraju urwiska i przekazał kolejny sygnał czekającym w dole ludziom Rezy.

Zamek Tebroth został zbudowany na górującej nad wąską doliną skalnej grzędzie. Prowadziła do niego jedynie kręta ścieżka, na której pół tuzina łuczników mogłoby powstrzymać armię.

Oris opowiadał o tym, jak Wartownicy wciągali po ścieżce kamienne bloki na szczyt skalnej półki. Znalazłszy się w pobliżu zamku, Conan gotów był uwierzyć w prawdziwość tych legend. Wiele głazów miało rozmiary małych domów. Nie wyobrażał sobie, by ludzie mogli je wciągnąć po zboczu, lecz by nie odbierać odwagi swoim wojownikom, powiedział coś wręcz przeciwnego:

— Uwierzę w istnienie Wartowników, dopiero kiedy ich zobaczę. Przyznaję, że te kamienne bloki są wielkie, lecz mając dosyć niewolników, można wszystko przenieść, gdzie się chce.

— Byłeś kiedykolwiek nadzorcą niewolników, Conanie? zapytała Liwia.

Szła tak blisko Cymmerianina, że stale ocierała się o niego biodrem. Pozornie wyłącznie dlatego, że ścieżka była zbyt wąska...

— Nie, ale byłem niewolnikiem — odparł zwięźle Conan. Jego słowa sprawiły, że Liwia umilkła do chwili, gdy dotarli do zamkowej bramy. Wrota dawno zniknęły, lecz wokół poniewierało się dość głazów do postawienia solidnej barykady. Ktokolwiek zdołałby schronić się w zamku, miał zapewnioną ochronę przed atakiem śmiertelników. Co do innych wrogów, Conan wołał najpierw znaleźć czarnoksiężnika...

Zamkowy dziedziniec był nie większy niż ogródek warzywny. Najemnicy zebrali się na nim, przysłuchując się wiatrowi, zawodzącemu niesamowicie wśród zrujnowanych wież.

— Wiesz, gdzie co jest w tym dziele szalonego kamieniarza? — zapytał Conan Orisa.

— Jak mało kto — odparł wieśniak i zniżył głos. — Na waszym miejscu...

— Nie jesteś na naszym miejscu. Mów do rzeczy. Potrzebuję rady, nie argosańskich uprzejmości.

— Radziłbym rozstawić strażę przy wejściu do piwnic oraz na murach — rzekł Oris. — Opowieści głoszą, że pod zamkiem znajdują się tunele prowadzące wprost do Jaskiń Zimgas. Wartownicy wracali tam spać po wykonaniu swoich zadań.

— Mogą więc zaśpiewać nam kołysankę?

Oris wzruszył ramionami.

— Nie żartowałbym z Wartowników na twoim... Przepraszam. Pamiętajcie, że Wartownicy to potwory. Trzeba tunelu wystarczającego dla konia z wozem, by się w nim zmieścili. Kompania to za mało, żeby się z nimi uporać.

— Dobrze. Każę zawalić kamieniami wejście do piwnic i wystawię tu posterunki.

Rozłokowanie straży i usypywanie głązów przeciągnęło się poza zachód słońca. Nim barykada urosła do zadowalających Conana i Rezę rozmiarów, po blasku dnia pozostała jedynie rdzawa poświata na zachodnim horyzoncie. Wiatr zelżał, tylko szemrał cicho w ruinach, z czego Cymmerianin był zadowolony.

Opowieści Orisa o Wartownikach sprawiły, że istnienie magicznych stworów wydawało się odrobinę zbyt prawdopodobne. Nie można było również zapominać o porywaczach kobiet, zwłaszcza że było więcej niż pewne, iż ci ostatni posługiwali się czarami. To, co działo się u podnóża gór, wykraczało daleko poza zwykłe kupieckie knowania.

Myśl o porywaczach kobiet przypomniała Conanowi o Komarze. Rozstawiono dla niej pryczę w najmniej zimnej komnacie wiekowego zamczyska. Cymmerianin zszedł po krętych schodach z wierzchołka wieży i zastukał w zbutwiałe drzwi ręką sztyletu.

— Kto tam? — dobiegł go głos Liwii.

— Conan.

Gdy wszedł do środka, zobaczył, że Liwia klęczy przy pryczy, omywając rany Komary. Obok nad paleniskiem wisiał parujący kociołek. Zmęczony i nachmurzony Reza siedział na parapecie.

— Gdzie Szyłka?

— Odesłałam ją, by się trochę przespała. Przez dwa dni ściagała siostrę po górach bez jedzenia i odpoczynku.

— Jak czuje się Komara?

— Myślę, że zaklęcie traci moc. Czasami krzyczy tak, jakby czuła ból lub śniły się jej koszmary. Chyba jednak wie, że jest między przyjaciółmi.

— Ale nie wie, że znajduje się w zamku, który w ciągu najbliższych dni może zostać zaatakowany — powiedział Reza. — Doradzam usilnie mojej pani, by o świcie odesłała ją z pozostałymi chłopami do wioski.

— Cóż, Rezo, skoro nie chce cię posłuchać, na twoim miejscu nie traciłbym tchu, który może być potrzebny w walce — rzekł Conan. — Lepiej przypomnij sobie, co mówiła Szyłka. Komara nie ma po co wracać do wioski.

— Conan ma rację — potwierdziła Liwia. — Do tego Harfos zostawił mi trochę ziół i lekarstw, które już pomogły tej biedaczce. We wsi na pewno nie mają takich.

— Gdzie jest Harfos, skoro już o nim mowa?

— Poszedł poszukać sobie pryczy — powiedziała Liwia. Conan miał wrażenie, że na chwilę głos uwiązał jej w gardle, a jej twarz oblał słaby rumieniec. — Powiedział, że chce pełnić wartę od północy do świtu, dlatego powinien zawczasu się wyspać.

— Nie miałem pojęcia, że Harfos zna się na żołnierskim rzemiośle — odparł Conan, siląc się na zachowanie uprzejmości.

— Powiedział, że to jedyna okazja, by się go nauczyć — wtrącił się Reza. — Pragnie wejść z nami do jaskiń, gdy ruszymy uwolnić jego matkę.

Conan wydał w odpowiedzi nieartykułowany pomruk i pokiwał głową. Czyżby Liwia niepokoila się dlatego, że Harfos i Szyłka zniknęli razem? Była zazdrosna, czy też z sobie tylko znanych powodów odgrywała rolę swatki? Nic nie rozumiał.

Wiedząc co nieco o kobiecej naturze, a zwłaszcza znając Liwie wątpli, czy kiedykolwiek zrozumie. Wątpli także, by Harfos stanowił dobry materiał na wojownika. Podejrzewał, że chłopak okaże się bardziej zawadą niż będzie pomocny, lecz nie miał pojęcia, jak powstrzymać go przed narażaniem się na niebezpieczeństwo. Nie zamierzał jednak tracić snu, by znaleźć odpowiedź na to pytanie.

— Gdyby ktokolwiek mnie potrzebował, będę spać na wierzchołku wschodniej wieży — oznajmił.

Pierwszym wrażeniem, które przebiło się przez zasłonę snu Conana, było ciepło. Leniwie zastanowił się, czy to koce wreszcie spełniły swoje zadanie, czy też na skalną półkę, na której, stał zamek, dotarł jakiś ciepły powiew.

W chwilę później Conan rozbudził się na tyle, że zdał sobie sprawę, iż ciepło grzeje go tylko z jednej strony...

Zerwał z siebie koce i usiadł, sięgając po miecz. Ze zdumieniem stwierdził, że patrzy wprost w parę wielkich, śmiejących się niebieskich oczu.

— Nie mogłam zasnąć w tym zaduchu na dole — powiedziała Liwia. — Postanowiłam przespać się tam, gdzie nic mi nie grozi i jest dość świeżego powietrza.

Conan zauważył, że jej ramiona wystające nad otulający piersi koc są nagie. Księżyc dawał dostatecznie dużo światła, by można było dostrzec pokrywające je blade piegi.

— Przed świtem powietrze może okazać się zbyt rześkie jak na twój gust — powiedział barbarzyńca i przeciągnął się. Jeżeli dziewczynie zachciało się pogawędek, przez najbliższy czas nie groziło mu zaśnięcie, więc nie miał po co siedzieć napięty jak sprężyna. — Przyniosłaś może wina? — wyciągnął się na posłaniu.

— Nie, ale zabrałam słoik z maścią Harfosa. Widziałam, że cały jesteś podrapany i potłuczony.

— Gdzie tam. Wiedziałybyś, co to są prawdziwe sińce i zadrapania, gdyby zdarzyło się ci kiedyś spaść z urwiska bez ubrania. Albo gdybyś spróbowała zapasów.

— To znaczy?... — zawiesiła głos.

— Gdy byłem niewolnikiem, wystawiano mnie do walk na gołe ręce z innymi rabami. Przegrywającego czekała chłosta.

— Zechciałbyś dać mi lekcję zapasów? — głos Liwii ponownie na moment uwiązał w gardle.

— Po co?

— Umiem posługiwać się sztyletem, lecz jeśli zostaniemy zaatakowani, a walka będzie się przedłużać...

— Rozumiem. Tak jak Harfos masz ochotę w ciągu jednej nocy stać się wojownikiem.

— Nie obrażaj nas! Chcemy nauczyć się jak najwięcej, by móc pokonać Akimosa. Uważam, że nadaję się do nauki zapasów — następny gest Liwia musiała wcześniej przećwiczyć: jednym ruchem zrzuciła z siebie koc. Dokładnie tak jak podejrzewał Conan, nie miała nic pod spodem. — I cóż, Cymmerianinie?

— Do poważnej walki zazwyczaj zakłada się przepaskę na biodra, Liwio.

— Kobiety są zbudowane inaczej niż mężczyźni, o czym na pewno wiesz. Poza tym nie widzę, byś ty ją miał.

— Nie, ale widzę, że kociołek z żarem przewrócił się i za chwilę zapalą się koce...

Liwia odwróciła się błyskawicznie. Wzrok barbarzyńcy przykuła płynność ruchu oraz gracia, z jaką uniosły się jej piersi. Zawrzało mu już w żyłach. Ostatkiem sił powstrzymywał się przed chwyceniem jej w ramiona.

Z paleniska spadło tylko kilka węgielków. Do ich zagaszenia wystarczyło spiżowe naczynie z maścią Harfosa. Poradziwszy sobie z zagrożeniem, Liwia zwróciła się do Conana.

— Skoro nie będą nam potrzebne przepaski, czy brakuje nam jeszcze czegoś?

— Najlepiej uprawiać zapasy na czymś miękkim.

— Na przykład na kocach?

— Na przykład.

Wygładziła je starannie. Conan dotknął jej dłoni. Jego ręce nabrały własnego życia. Przyciągnął Liwię do siebie.

Opierała się tylko przez chwilę, po czym osunęła się na niego tak, że przewrócił się na plecy. Minęło sporo czasu, nim któreś z nich się podniosło, a i to tylko na krótką chwilę.

Dopiero zachodzący księżyc zostawił ich zaspokojonych i zamkniętych w swoich ramionach.

## ROZDZIAŁ 17

— Conanie! Conanie, obudź się!

Cymmerianin nie spał, lecz z zapamiętaniem podziwiał Liwie przez na wpół zamknięte powieki. Zaiste, była godna podziwu. Nie fatygowała się ubraniem przed podejściem do skraju wieży. Na szczęście mur na tyle wysoki, że z dołu widać było tylko jej głowę i szyję.

— Nie śpię. Co się dzieje?

— Widzę dwudziestu jeźdźców na ścieżce do zamku.

Conan zerwał się z podłogi i również nie troszcząc się o ubranie, podbiegł do skraju wieży. Ocieniwszy oczy przed blaskiem wschodzącego słońca, utkwiał badawcze spojrzenie w zbliżających się ludziach, po czym roześmiał się.

— To przeważnie kobiety i dzieci. Widzę paru chłopów z pałkami i łukami, ale nikogo więcej. Sądzę, że przybyli się tu schronić mieszkańcy którejś z wiosek.

— Wybacz, że ich nie rozpoznałam.

— Nic nie szkodzi. Nie jesteś żołnierzem, ale nie brakuje ci innych talentów.

Liwia zarumieniła się. Blask poranka pogłębił szkarłat jej skóry. Po chwili roześmiała się dźwięcznie i nachyliła po koc.

Conan zbiegł na dół, gdy tylko wciągnął bryczesy i przypasał broń. O tej porze wartę pełnili Harfos i Reza. Wezwani najemnicy byli gotowi wspomóc łuczników, gdyby okazało się, że przybysze mają wrogie zamiary. Reza jak zawsze wyglądał niczym posąg wyciosany z granitu, lecz Harfos sprawiał wrażenie kogoś, kto przez całą noc przewracał się bezsennie z boku na bok.

Oris zaproponował, że przywita wieśniaków. Wkrótce powrócił z wieściami:

— Pochodzą z Trójwilków. Starszyzna wioski przysłała ich, bo liczy, że nie dopadną ich tu porywacze kobiet.

— Zabrali ze sobą jedzenie, wodę i koce?

— Niczego takiego nie widzę.

Conan wysłał głośno starszyznę wioski do wszystkich diabłów, po czym oznajmił:

— Nie odeślę ich, ponieważ widać, że maszerowali całą noc. Chcę jednak, Oris, by kilku twoich

ludzi rozniosło po wioskach wiadomość, że nikt nie zostanie wpuszczony do zamku bez jedzenia i posłania. Mamy dosyć wody, ale brak nam zapasów, by udzielić schronienia połowie prowincji.

— Czy nie należałoby zażyczyć sobie również, by przysłali trochę zbrojnych? — włączył się Harfos.  
— Będziemy musieli rozdzielić siły, kiedy zabierzemy się do odbicia mojej matki złap...

— Harfos, nie odzywaj się, dopóki nie zostaniemy sami! — prychnął Reza.

Młodzieniec spuścił wzrok. Sprawiał wrażenie dzieciaka, któremu pogrożono laniem. Conan postanowił zażegnać kłótnię.

— Istotnie, niedługo stąd wyruszymy, ale dziesięciu ludzi wystarczy do utrzymania tej twierdzy przed atakiem całej armii.

— Tylko wówczas, gdy obrona będzie szczelna — powiedział Harfos. — Dzisiaj w nocy, kiedy szukałem spokojnego miejsca do snu, znalazłem kilka słabych miejsc. Poza tym wieśniacy nie muszą mieszkać w samym zamku. Mogą rozbić obóz w dolinie, dzięki czemu zdołają ostrzec nas przed atakiem. Gdyby wówczas się zaczęli, mogliby potem uderzyć na nieprzyjaciół z tyłu, podczas gdy my będziemy zmagać się z nimi od frontu.

Conan rzucił Harfosowi spojrzenie, w którym malował się dla odmiany szacunek. Po chwili to samo zrobił Reza.

— Myślisz po żołniersku — powiedział majordomus i położył młodzieńcowi dłonie na ramionach.  
— Matka pewnie będzie ci wdzięczna, że nauczyłeś się czegoś wbrew jej woli. Oby tak dalej!

— Rezo, skoro tak sądzisz, zazdroszczę ci wzruszającej wiary w ludzką sprawiedliwość — odparł Harfos. — Kapitanie, czy mam pokazać ci te słabe miejsca?

Większość miejsc na murach, do których Harfos zaprowadził Conana, wcale nie było słabych. Do niektórych z nich nie zdołałyby dostać się z dołu nawet tresowane małpy. Jedynie do dwóch mógł dotrzeć wyjątkowo zręczny wspinacz.

Harfos sprawiał wrażenie przygnębionego po sprostowaniach Conana.

— Służyłem przez rok w turańskiej armii, nim zdobyłem jako taką wiedzę o budowie twierdz — pocieszył go Cymmerianin.

— W Turanie nie ma wielu zamków, prawda?

— Tylko w górach, gdzie można dzięki nim panować nad drogami. Turan ma za dużo otwartych granic i zbyt wielu wrogów za nimi, by trwonić złoto na budowę nieruchomych umocnień.

— Rozumiem. — Harfos odwrócił się i powiódł wzrokiem po dolinie. Wyglądał, jakby szukał z wysiłkiem odpowiednich słów. — Kapitanie, mogę mieć do ciebie prośbę? — spytał w końcu.

— Chcesz z nami jechać? — Harfos skinął głową. — Twoje lecznicze umiejętności mogą się nam przydać, czy jednak wytrzymasz marsz i walkę?

— Pokonałem z wami całą drogę z Messancji, prawda?

— Tak, ale nie musieliśmy się bić. Harfosie, mogę przydzielić ci czterech ludzi, żeby...

— Niańczyli szczeniaka?

— Nie to zamierzałem powiedzieć.

— Myślę, że nie. Dziękuję, że chciałeś zachować uprzejmość. — Harfos położył dłoń na rękojeści miecza. — Kapitanie, może poćwiczymy? Wybierz broń, jaką zechcesz. Jeżeli udowodnię ci, że nie jestem bezradny, zabierzesz mnie z wami?

— Tak.

— Dajesz słowo?

— Na Croma, pokaż mi, że znasz się na szermierce, a możesz jechać wszędzie, dokąd zabierze nas ta wyprawa!

Conan wyciągnął sztylet, owinał lewe ramię płaszczem i cofnął się. Większy zasięg jego ramion sprawiał, że walka na sztylety byłaby żałośnie jednostronna. Jednak posługujący się krótkim mieczem Harfos miał w tej sytuacji mniej więcej równe szanse.

Kilka chwil wystarczyło, by stwierdzić, że potomek rodu Lokhri wcale nieźle opanował szermiercze rzemiosło. Był czujny, miał wystarczającą szybkość i trafnie oceniał, jak można pokonać gardę przeciwnika. Przede wszystkim jednak poruszał się po nierównym gruncie ze zręcznością dowodzącą, że jego poprzednia niezgrabność była udawana.

Barbarzyńca miał przewagę, lecz musiał włożyć sporo wysiłku, by ją utrzymać. Pierwsze starcie zakończyło się silnym pchnięciem Harfosa. Młodzieniec musnął ostrzem żebra Conana, lecz gdy usiłował cofnąć miecz, okazało się, że Cymmerianin zablokował go sztyletem. Barbarzyńca z Północy zamachnął się szybko stopą i podciął Harfosowi nogi.

Chłopak runął ciężko na ziemię, lecz nie wypuścił broni z ręki i wymierzył ją w brzuch Cymmerianina, nim ten zdążył ją odtrącić.

— Sądzę, że potrzeba mi więcej praktyki, by móc łączyć szermierkę i zapasy — rzekł Harfos.

— Owszem, ale dobry wojownik nigdy nie zapomina o broni, którą obdarzyli go bogowie, tylko dlatego, że kowale dali mu do ręki inny oręż. Jeszcze jedno starcie?

— Z chęcią.

Harfos wstał, otrzepał się i zajął pozycję. Stoczyli jeszcze cztery ćwiczebne walki. Conan wygrał



wszystkie, lecz nie bez trudu. Szybko zrezygnował z wszelkich prób, by pozwolić Harfosowi zwyciężyć. Młodzieniec natychmiast by je odkrył i rozgniewał się.

Argosańczyk spróbował zakończyć ostatnie starcie w zwarciu. Usiłował zaskoczyć barbarzyńcę i w prawdziwej walce być może zdołałby mu nawet przed śmiercią rozplatać brzuch. Conan ponownie przewrócił młodzieńca i odskoczył. Potomek rodu Lokhri odzyskał dech, po czym przyjął zaoferowane mu przez Conana pomocne ramię.

— I jak, kapitanie?

— Nieźle się spisałeś. Tuzin moich ludzi bije się wprawdzie lepiej od ciebie, lecz żaden z nich nie odróżni środka, na przeczyszczenie od pomyj. Przydasz się.

— Jak sobie życzysz, kapitanie. Jednak jeśli... padnę, zadbaj, by Szyłka dostała to, co jej obiecałem, dobrze?

Conan nie powiedział, że jeżeliby Harfos zginął, najprawdopodobniej taki sam los czekałby pozostałych członków wyprawy. Obiecał tylko, że zrobi, co będzie w jego mocy.

Cymmerianin nie tracił czasu na poszukiwanie podziemnej drogi do Jaskiń Zimgas. Nawet gdyby istniała w rzeczywistości, szukanie jej mogłoby zabrać miesiąc. Poza tym pod ziemią nieprzyjacielowi sprzyjałoby to samo co Cymmerianinowi w zamku: garść ludzi mogła powstrzymać wielokrotnie liczniejszego wroga.

Zaskoczenie było łatwiej osiągnąć dzięki szybkości niż skrytości, dlatego też bardziej potrzebowali tej pierwszej. Nawet gdyby Skiron nie zdołał powstrzymać ich zakłęciami, Akimos na pewno nie zawahałby się przed strąceniem Doris z najbliższego urwiska, by pozbyć się niewygodnego świadka. Dlatego też Conan poprowadził czterdziestu wybranych ludzi, w tym również wieśniaków, do lasu po przeciwnej stronie doliny. Wyruszyli o zmierzchu, zamierzając dotrzeć jak najdalej przed świtem, by zaszyć się w ciągu dnia w lesie. Gdyby się im udało, na dotarcie do Jaskiń Zimgas potrzebowaliby najwyżej pół następnej nocy.

Przez pierwszą noc i większość dnia Liwia miała zbyt dużo roboty, by zamartwiać się o Conana i Harfosa. Trzeba było zapewnić schronienie kobietom i dzieciom, dbać, by nie dochodziło do awantur w kolejkach do studni, skłócone rody utrzymywać z dala od siebie, pilnować, by dzieci nie bawiły się w niebezpiecznych miejscach. Doświadczenie zdobyte przy zarządzaniu pałacem rodu Damaos sprawiało, że Liwia wiedziała z grubsza, co robić. Reza wiedział resztę.

Zmęczenie ogarnęło Liwie dopiero następnego wieczora po wyruszeniu Cymmerianina i najemników. Dziewczyna wspięła się na szczyt wieży, na której ofiarowała Conanowi swoje dziewictwo, i usiadła na podłodze w miejscu, gdzie dwie noce wcześniej leżało posłanie.

Wciąż siedziała, gdy słońce opuściło się za góry, a po schodach wspiął się Reza.

— Pani, dobrze się czujesz?

— Jestem tylko wyczerpana.

— Powinnaś się przespać w swej komnacie.

— Zapewne, ale tutaj jest najspokojniej. Chyba poproszę, żeby przyniesiono tu pryczę i trochę wody. Reza skłonił się i zmarszczył brwi.

— Pani, mimo to nie będzie ci tutaj wygodnie.

— Ludzie, którzy szukają Doris, zaznają tej nocy jeszcze mniejszych wygod. Dla niektórych będzie to ostatnia noc w życiu, dlatego więc miałabym pławić się w luksusach?

— Nie sędzę, by posłanie w cieplejszym pomieszczeniu można było nazwać luksusem — odparł Iranistańczyk. — Widzę jednak, że w twoim kobiecym ciele kryje się dusza wodza. Nie powinienem dziwić się temu, co zaszło między tobą i kapitanem Conanem...

Liwia zeszywniała, jak spoliczkowana. Stłumiła odruchowy wybuch gniewu, bowiem spostrzegła, że Reza nie okazuje dezaprobaty. Co więcej, jeżeli tylko Iranistańczyk domyślił się jej tajemnicy, to była ona bezpieczna.

Reza uśmiechnął się ponownie, jak gdyby czytał w jej myślach.

— Nie powiedziałem nikomu i nie zamierzam tego zrobić.

Nie wątpię, że Conan zachowa równą dyskrecję.

— Podobnie jak ja. Jestem pewna, że miał do czynienia z wieloma kobietami, lecz nigdy nie zhańbił imienia żadnej z nich.

— Owszem. — Reza nagle spoważniał. — Pani, czy padły między wami jakiegokolwiek obietnice?

— Mażeńskie? — wydawało się jej to niewiarygodne, lecz majordomus skinął głową. Ponownie ogarnął Liwie gniew. — Reza, nie nazwałś mnie rozpustnicą, dlatego więc sądzisz, że jestem tak głupia?

— A byłaś, pani?

— Nie. To, co zaszło między mną i Conanem, pewnie się już nie powtórzy. Na pewno zaś nie zakończy się małżeństwem.

Ujrzała, że Reza oddycha z ulgą.

— Chwała bogom! Musiałem się upewnić, pani. Czasami ludzie wykorzystują bitewny zamęt, by pozbyć się rywali. Gdybyś złożyła Conanowi jakiegokolwiek obietnice, mógłby czuć pokusę...

— Nie waż się obrażać go w ten sposób! — paznokcie Liwii zawisły o włos od twarzy

Iranistańczyka. — Jego honor jest równie pewny jak męstwo! — Oblicze Rezy pozostało nieprzeniknione, lecz czuła, że coś śmiertelnie groźnego zaległo między nimi. — Reza, masz powiedzieć mi, co zrobiłeś, albo zwolnię cię ze służby i każę natychmiast opuścić zamek!

— Rozkazałem dwóm ludziom, by strzegli Harfosa jak źrenicy oka. Mają zabić Conana, gdyby stwierdzili, że naraża życie chłopaka na niebezpieczeństwo.

Liwia pomyślała, że płacz, krzyk czy wydrapywanie Rezie oczu nic nie pomoże, a będzie tylko stratą czasu. Zaciśnęła dłoń na rękojeści sztyletu.

— Masz wysłać tym ludziom wiadomość, że jeżeli tkną Conana palcem, osobiście obedrę ich ze skóry. Nie pozwolę ci odejść, jeżeli posłaniec nie otrzyma rozkazów w mojej obecności i natychmiast nie opuści zamku.

— Pani, nikt nie zdąży przedostać się do Conana, nim dotrą do jaskiń — odpowiedział Iranistańczyk przez zaciśnięte zęby.

— Zapewne masz sporo racji — spokój i determinacja Rezy przebiły się przez zaślepiający Liwie gniew. — Trudno. Rozkazuję ci w takim razie załatwić tę sprawę najszybciej, jak będzie to możliwe. Sądzę, że do tego czasu Conan zdoła uchronić się przed ciosem w plecy.

— Przynajmniej ze strony moich ludzi — rzekł Reza. — Co do nieprzyjaciół, którym stawi czoło, módlmy się, by bogowie mieli go w swojej opiece. Cóż, pani, może jednak zejdziesz na dół? Jeżeli tego nie zrobisz, rano będziesz się czuła jak cień człowieka.

— Zejdę, Reza, jeżeli poprowadzisz mnie tak jak niegdyś.

— Z przyjemnością, pani.

Skiron nie odwrócił się do wpatzonego weń Akimosa. Niespokojnym ruchem otarł z twarzy pot, pochodzący nie tylko od panującego w jaskini żaru. Ostatnio trzykrotnie w czasie rzucania zaklęć utrzymujących Doris w stanie zniewolenia czarnoksiężnik wyczuł coś, co gdyby było dźwiękiem, można by nazwać echem. Ponieważ odbierał to zmysłem, jakiego nie posiadali zwykli śmiertelnicy, zachował rzecz w sekrecie.

— Skironie, chcę cię o coś zapytać — odezwał się kupiec. — Czy musimy zatrzymać wszystkich ludzi dlatego, że grozi nam niebezpieczeństwo?

Czarnoksiężnik przełknął. Postanowił zagrać na zwłokę i odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

— Dokąd mieliby pójść?

— Mogliby zdobyć obóz Conana.

— Nie jestem żołnierzem, ale...

— Przynajmniej raz powiedziałaś prawdę, czarnoksiężniku.

— Czyż zamku nie można łatwo obronić przed siłami, jakimi rozporządzamy?

— Naturalnymi, owszem — rzekł Akimos. — Zbudowano go przy pomocy Wartowników, tak przynajmniej głoszą legendy. Pomyślałem jednak, że możesz wspomóc nas swoimi umiejętnościami.

Skiron ponownie przełknął. Miał nadzieję, że Akimos nie zauważył, jak zadrżał na dźwięk słowa „Wartownicy”. Nie był pewny, ale to chyba one za każdym razem coraz silniej odpowiadały na jego zaklęcia. W ciągu wieków w tych górach dokonano wielu magicznych aktów, po których mogło pozostać coś jeszcze prócz Wartowników.

Myślał o tym, wygłaszając jednocześnie pozbawioną większego sensu przemowę, która jednak uspokoiła Akimosa. W końcu kupiec wstał.

— Doskonale. Skoro jesteś przekonany, że zdołasz rzucić stąd czar przeciw zamkowi...

— Żaden czarnoksiężnik nie potrafi rzucać zaklęć, gdy wokół uszu świszczą mu strzały. Poza tym, jeżeli nie zostaną tu, by odnowić zaklęcie utrzymujące Doris w karchach, po powrocie możesz stwierdzić, że nie jest ci już posłuszna.

Sądząc po wyrazie twarzy Akimosa, był to celny cios. To, iż głowa rodu Lokhri całując stopy kupca, błagała go, by hańbił ją dalej, stało się dla niego źródłem wielkiej dumy, której nie zamierzał się wyrzec.

Skiron, zapewniwszy sobie pozostanie w jaskini, zamierzał teraz sprawdzić, co przebudziło się w trzewiach gór i w jaki sposób z łaską dobrych czy złych bogów można to wykorzystać.

Doris leżała na pryczy przesiąkniętej potem po ostatniej wizycie Akimosa oraz łzami przelanymi po jego odejściu. Nienawidziła się za swój płacz, lecz w spaczonym czarami Skirona zakątku umysłu szeptało coś, że nie ma powodów do wstydu.

Skiron sprawił, że potrzebowała Akimosa, tak jak niewolnik j opium potrzebuje codziennie nowej jego porcji. Spętana tą potrzebą, chętnie wyszłaby za niego za męża i przystała na małżeństwo Liwii z Harfosem oraz na objęcie przez kupca rządów nad obydwoma rodami.

Czy jednak dożyłaby triumfu Akimosa? Jedno było pewne: jeżeli czary Skirona kiedykolwiek straciłyby moc, ona odzyskałaby wolną wolę i władzę w rękach. Wówczas nawet bogowie nie powstrzymaliby jej przed wbiciem sztyletu w serce Akimosa.

Na tę myśl ogarnęła ją udręka, zmieszana z pożądaniem. Była chyba potworem, by planować taki los dla człowieka, który zapewniał jej najwyższą rozkosz...

Odwróciła się na brzuch i skryła twarz w wilgotnym kocu, by stłumić szlochanie. Gdy odzyskała panowanie nad sobą, usłyszała tupot stóp wielu ludzi i głos Vendhiańczyka Partaba.

Akimos ruszał, by porachować się z Conanem, który zhańbił ciało Doris swoim barbarzyńskim dotykiem! Conanem, który o mało co nie sprawił, że byłaby niegodna miłości Akimosa!

— Aaajaaaaaj!!!

Było to na poły wołanie, na poły jęk. Sprawilo, że natychmiast zjawilo się dwóch słuźących, a za nimi Skiron.

Ze skalnej grędy odpowiedniejszej bardziej dla jastrzębi niż ludzi, Conan bacznie przyglądał się schodzącej po stoku kolumnie uzbrojonych ludzi. Znajdowali się zbyt daleko, by nawet jego bystry wzrok umożliwił rozpoznanie twarzy, lecz mógł ich bez trudu policzyć.

Gdy doliczył do czterdziestu, pojął, że wytropili przeciwnika tam, gdzie się go spodziewali. Gdyby ktokolwiek prócz Akimosa przyprowadził w góry równie liczny oddział, wieśniacy na pewno by o tym wiedzieli.

Conan miał przed sobą prawie całą straż kupca. Co więcej, mógłby się założyć, że ci, których widział, wyruszyli w celu zdobycia zamku Tebroth, w Jaskiniach Zingasa zaś pozostali tylko nieliczni.

Cymmerianin zszedł na dół. Dołączywszy do swoich ludzi stwierdził, że Talouf i Harfos rozstawiają warty.

— Dajcie sobie z tym spokój — powiedział Conan.

— Ależ kapitanie, zawsze powtarzałeś...

— Podczas wojny nic nie jest na „zawsze” — odrzekł Conan. — Tym razem akurat nie potrzebujemy wart.

Powiedział im, co zobaczył.

— Możemy być pewni, że Akimos ogołocił jaskinie z ludzi? — zapytał Talouf.

— Nie sędę, by mógł zabrać więcej niż pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu — odpowiedział za niego Harfos. — Chyba że zwerbował najemników po drodze, ale pewnie nie odważył się na to, bo zależy mu na unikaniu niepotrzebnego rozgłosu.

— Nigdy nie bądź pewny, że wróg myśli tak jak ty — powiedział Conan, po czym na widok nieszczęśliwej miny Harfosa dodał: — Sędę jednak, że właśnie tak postąpił Akimos. Natychmiast schodzimy na dół.

Idąc obok Shemity i młodzieńca, Conan przedstawił im swój plan. Zamierzał przejść w położony wyżej koniec wąwozu, skąd łucznicy panowaliby nad podejściem do jaskini. Ich zadaniem było powstrzymanie Akimosa przed zawróceniem.

— Damy również znać naszym przyjaciółom wieśniakom — dodał Conan. — Jeżeli przygotują jedną czy dwie zasadzki na drodze odwrotu Akimosa, założę się, że dziś wieczorem porachujemy się z nim ostatecznie.

Cymmerianin zamierzał osobiście poprowadzić pozostałych najemników wprost do pieczary. Zabrano nosze i lekarstwa dla Doris, gdyż odbicie jej było jedynym celem wyprawy do jaskini.

Należało się spodziewać, że zaskoczeni przez liczniejszych przeciwników obrońcy nie powstrzymają Conana, chyba że wśród nich znajdował się Skiron. Cymmerianin nie widział jednak innego wyjścia, jak podjąć to ryzyko. Na miejscu Akimosa, ruszając na zamek Tebroth z jedną dziesiątą sił potrzebnych do jego zdobycia, zabrałby ze sobą kogoś, kto był w stanie wspomóc go czarami.

Jak jednak dopiero co powiedział Harfosowi, nie warto było zakładać, że przeciwnik rozumuje tak jak on.

## ROZDZIAŁ 18

Ludzie Conana ruszyli do ataku później, niż to planował. Akimos zostawił do pilnowania jaskini tylko garść ludzi, ci jednak zachowywali czujność. Na dodatek na płaskim odcinku zbocza przy ujściu wąwozu ledwie mogłyby skryć się koty, nie mówiąc o uzbrojonych ludziach. Conanowi nie pozostało więc nic innego, niż przywarować w krzakach i czekać na zgaśnięcie ostatnich promieni słońca. Usłyszawszy taki rozkaz, Talouf sarknął:

— Lepiej poradzilibyśmy sobie za dnia. Mógłbym teraz zejść na dół i odciągnąć strażników.

— Zdrada! — mruknął jeden z ludzi Rezy.

Conan musiał wykazać pośpiech, by zapobiec wypatroszeniu Argosańczyka przez Taloufa.

— Myślałem, że najlepiej czujesz się w ciemności! — mruknął po chwili.

— Pewnie, ale co z resztą chłopaków? — odparł Shemita. Nie ma powodu, żeby nadstawiali karków.

— Ani moja matka — wtrącił się Harfos. — Nawet jeżeli Taloufowi uda się odciągnąć wartowników, ich zniknięcie może ostrzec Skirona i wszystkich, którzy pozostali w obozie.

Conan uśmiechnął się. Nie pomylił się w ocenie, że Talouf stał się lepszym dowódcą niż złodziejem, a Harfos szybko uczył się wojennego rzemiosła.

— Dosyć — powiedział. — Naszą sprzeczkę mogą usłyszeć . wartownicy. Nie zamierzam przez całą noc biegać po tych wzgórzach za Doris, podczas gdy strzały i zaklęcia będą mi przelatowały koło uszu.

Większy Wartownik wypoczął, dzięki czemu odzyskał pełnię sił. Do zakończenia podziału potrzebował pożywienia. Nie wystarczały mu już rzucane przez Skirona zaklęcia. W chwili obecnej wykorzystywał je tylko do orientacji.

Teraz Większy Wartownik przybrał kształt, pozwalający mu przemieszczać się szczelinami, którymi nie przecisnąłby się nawet pies, i rozpoczął wędrówkę ku powierzchni.

Conan szeptem wskazał cele łucznikom.

— Jeżeli któryś z was chybi lub trafi swojego, wepchnę mu kołczan w zadek — zakończył.

Łucznicy pokiwali głowami na znak, że zrozumieli. Czekają ich niełatwe zadanie, lecz każdy z nich był mistrzem w swym fachu.

Conan usiadł i ściągnął buty. W ciemności po nierównym gruncie poruszał się szybciej, mogąc wyczuwać drogę podszwami stóp. Poluzował miecz w pochwie, wziął podaną przez Taloufa okutą żelazem pałkę i zaczął schodzić w głąb wąwozu.

Gdy dotarł do pierwszego z wystających z ziemi wielkich głazów, grunt pod jego stopami zatrzęsł się. Było to jedynie słabe drżenie, lecz czuć było kryjącą się za nim potężną moc.

Conan zastanowił się, czy iść dalej. Wstrząs mógł się nie powtórzyć, gdyby jednak było inaczej, po kolejnym wszystkie głazy mogły runąć w dół. Napastnicy potrzebowali zaskoczenia, lawina zaś mogła im je odebrać. Wobec tego nie pozostawało nic innego, jak dotrzeć do obozu wroga, nim dojdzie do katastrofy.

Cymmerianin zrezygnował z ciszy i ostrożności. Zaczął skakać z głazu na głaz jak górski lew goniący ofiarę.

Było tak do czasu, gdy pokonał połowę drogi w dół wąwozu. Widział krzątających się po obozie wartowników z pochodniami, którzy najwyraźniej zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale nie potrafili odgadnąć jego natury. W tym momencie grunt zatrzęsł się ponownie. Wszystkie głazy równocześnie dźwignęły się w górę.

Każdy inny na miejscu Cymmerianina zginąłby zmiażdżony na krwawą miazgę przez przewracające się skalne złomy. Nawet szybkości i sprawności Conana ledwie wystarczyło, by na czas uskoczyć w bok.

Czuł, jak lita skała dygocze mu pod stopami, lecz nie zamierzał dopuścić, by opóźniło to jego atak. Podpierając się w trudniejszych miejscach pałką, ześlizgnął się po zboczu wąwozu do miejsca, w którym przechodziło ono w równy teren, po czym zerwał się do biegu. Spadające głazy wzbijały mnóstwo kurzu i czyniły piekielny hałas, tak iż nawet kompania Gwardii mogłaby niepostrzeżenie przejść obok obozu Akimosa.

Conan dotarł do uskoku wysokości dorosłego mężczyzny i skoczył, nie zwalniając. Wylądowawszy, przetoczył się, by wyhamować impet upadku. Czuł, jak kamienie rozcinają mu skórę, lecz natychmiast poderwał się na równe nogi z pałką w dłoniach. Zawirowała wokół niego jak skrzydła wiatraka. Okute żelazem końce użytej z morderczą precyzją broni łamały obojczyki i ramiona, gruchotały czaszki i miażdżyły twarze.

Cymmerianin powalił trzech ludzi i zmusił dwóch następnych do ucieczki, nim usłyszał, że ktoś schodzi do wąwozu. Nie oglądał się, by sprawdzić kto to taki, bowiem z jaskini wyoiło się jeszcze pół tuzina zbrojnych. Mimo stosunku sił sześć do jednego barbarzyńca nie zamierzał się cofać. Należało oczekiwać, że po dwóch wstrząsach mogą nastąpić kolejne. Trzeci zapewne wystarczyłby, by zwalić jaskinię na głowę Doris, chyba że ktoś zdąży ją stamtąd wyrwać.

Na razie Conan był jedynym człowiekiem w pobliżu, który chciał jej pomóc. Byłby zadowolony, mając przy sobie tuzin najemników, lecz nie zamierzał czekać, aż zejda po zboczu.

Przerzucił pałkę w lewą dłoń, by móc nią parować ciosy, po czym wyciągnął miecz.

— Chodźcie, mazgaje! — zagrzmał równie donośnie jak osuwające się przed chwilą głązy. — Chodźcie, posmakujcie mojej stali albo wyłapię was po jednym i powiem waszemu panu, że zmarnował swoje srebro na tchórzy!

Rozwścieczeni wartownicy rzucili się na niego z furją. Żelazo zadźwięczało jak w Wielkiej Kuźni w Aghrapur.

Szarpnięta przez Rezę za ramiona Liwia obudziła się nagle z przyjemnego snu o Conanie. Odrzuciła głowę w tył i spróbowała wyrwać się Iranistańczykowi. Żelazny uścisk na jej barkach zelżał. Opadła z powrotem na pryczę.

Po chwili chlusnęła na nią zimna woda. Liwia wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka. Reza odstawił wiadro, po czym cisnął jej ręcznik i tunikę.

— Nie zapomnij zabrać sztyletu, pani! — napomniął ją surowym tonem. — Zostaliśmy zaatakowani.

Doszedłszy do siebie, Liwia usłyszała dobiegające zza ściany krzyki i poczuła woń płonącej sosnowej smoły. Na zewnątrz widać było biegających ludzi. Dziewczyna chwyciła sztylet i zbiegła po schodach ubierając się po drodze.

Jej pojawienie się na dziedzińcu w stroju, którego jeszcze nie zdążyła zapiąć, niemal odwróciło losy walki na niekorzyść obrońców zamku Tebroth. Zwróciło się ku niej tak wiele par oczu, że mało kto pilnował bramy i prowadzącej do niej ścieżki. Właśnie w tym momencie ludzie Akimosa podjęli próbę wdarcia się szturmem na teren zamku.

Conan policzył ich mniej dokładnie, niż mu się zazwyczaj udawało. Akimos miał nie czterdziestu, lecz prawie siedemdziesięciu ludzi. Postanowił rzucić wszystkich do rozpaczliwego ataku pod górę. Łucznicy robili wszystko, co mogli, lecz to nie wystarczało. Przyświecało im jedynie kilka rzuconych



na drogę sosnowych polan. Nawet starannie wymierzone strzały trafiały równie często w zbroje co w ciała.

Ludzie Akimosa dotarli do bramy, ponosząc równe straty w wyniku upadku ze ścieżki co od strzał łuczników. Trzykrotnie liczniejsi od obrońców, dotarli do barykady i stłoczyli się przed nią jak fala, pałając ochotą przedarcia się na drugą stronę. W tym momencie Liwia ruszyła ku nim, wykrzykując słowa, których sama po sobie by się nie spodziewała. Ze sztyletem w jednej dłoni i obnażonymi piersiami wyglądała jak bogini wojny. Najbliżsi atakujący znieruchomieli z półotwartymi ustami.

Biust Liwii okazał się równie groźny dla nich co dla obrońców. Strażnicy rodu Damaos w pełni wykorzystali chwilę zaskoczenia przeciwników.

Napastnicy stracili dziesięciu ludzi w pierwszym starciu, potem doszli do siebie i wznowili atak, lecz kolejnych sześciu z nich zginęło za cenę życia trzech obrońców. Liwia wskoczyła na barykadę. Przed nią znalazł się niepewnie balansujący na stercie głązów oprych Akimosa. Dziewczyna zgrabną stopą podcięła przeciwnikowi nogi. Ten runął z łoskotem, rozbijając sobie nos na kamieniach. Wijąc się z bólu, stoczył się pod nogi dwóm wspinającym się za nim towarzyszom. Jeden z nich przewrócił się, drugi przeskoczył przez niego, starając się dobrać do Liwii.

Na swoje nieszczęście, pamiętał, że Akimos rozkazał wziąć tę kobietę żywcem. Zapominając o broni w rękę, spróbował uchwycić ją w pasie. Gdy to uczynił, jego gardło znalazło się na wysokości trzymającej nóż dłoni Liwii, której nie krępowały podobne zakazy.

Przypomniał sobie o tym, gdy cięcie sztyletu rozplatało mu gardło od ucha do ucha. Trysnęła fontanna krwi i napastnik osunął się na kamienie barykady, zdając się w ostatniej chwili życia całować stopy swej zabójczyni. W chwilę później Liwia poszybowała w tył. To rozwścieczony Reza ściągnął ją z szanca i na poły cisnął o ziemię.

Młoda kobieta osunęła się na kolana. Gdy próbowała wstać, dotarło do niej, że znalazła się w środku bitewnego zamętu i ma na sobie pot i krew człowieka, którego dopiero co zabiła własnymi rękami. Osunęła się z powrotem na kolana. Żołądek odmówił jej posłuszeństwa. Zwymiotowała, po czym dźwignęła się na równe nogi. Przypomniała sobie, że ma rozpiętą tunikę i niepewnymi ruchami zaczęła ją zapinać.

Nim Liwia doszła do siebie, Reza i sierżant Kigestes przeważyli szalę zwycięstwa. Na szczycie barykady Iranistańczyk został w ciemnościach wzięty za Conana. Odebrało to chęć walki tym z ludźmi Akimosa, którzy przeżyli potyczkę w pałacu Damaos. Nawet gdy napastnicy rozpoznali, z kim mają do czynienia, nie mieli powodu, by przestać się bać.

Sześciu dalszych napastników zginęło z ręki Iranistańczyka, nim pozostali zdołali powściągnąć swój strach. Tylu samo padło z rąk pozostałych obrońców. Kobiety i dzieci włączyły się do walki, zrzucając z zapałem kamienie z zamkowych murów. W linii atakujących pojawiła się luka. Reza nakazał swoim ludziom przedrzeć się przez nią. — Weźmiemy ich w dwa ognie! — krzyczał. Równocześnie Kigestes zagrzewał do walki łuczników. Zrzucono już dość sosnowych polan, by pozwalało to strzelcom odróżniać przyjaciół od wrogów. Akimos zabrał ze sobą niewielu łuczników, którzy na początku walki stali beczynnymi. Gdy Kigestes osobiście zabił ich dowódcę, uciekli w

popłochu.

Kontratak od strony barykady i sypiący się z góry grad strzał i kamienie sprawiły, że pozostali ludzie Akimosa, jeżeli chcieli przeżyć, musieli pójść w ślady łuczników. Był to jednak odwrót, nie paniczna ucieczka.

Nim Liwia zdążyła się przyzwoicie odziać, obrońcy oczyścili drogę do zamku. Dziewczyna usiadła na zwalonym kamiennym bloku, kryjąc twarz w dłoniach. Podszedł do niej Reza.

— Pani, tym razem udało się nam ich odeprzeć.

— Zaatakują ponownie?

— Odpowiem, kiedy policzę...

Przerwał mu radosny okrzyk. Ktoś zawtórował wołającemu i po chwili wszyscy obrońcy głośno dali upust swojemu entuzjazmowi:

— Niech żyje Liwia! Niech żyje ród Damaos!

W oczach dziewczyny stanęły łzy. Musiała przytrzymać się ręki Rezy, by wstać. Przez moment pożałowała, że nie jest to ramię Conana, po czym odwróciła się do tych, którym przewodziła.

Wiwaty stały się tak głośne, że odbijały się echem nie tylko od zamkowych murów, lecz również górskich zboczy. Liwia zdołała uśmiechnąć się i pomachać ręką. Płakała zbyt serdecznie, by móc cokolwiek powiedzieć.

Wtem ziemia zadygotała jak zrzucona z łoża kołdra. Drżenie narosło i ustąpiło w jednej chwili, lecz to wystarczyło, by uciszyć triumfalne krzyki.

Liwia potrząsnęła głową i przegarnęła z twarzy splątane włosy. Odzyskała zdolność mowy.

— Dziękuję wam wszystkim! Niech bogowie was błogosławią i chronią. Te koźle syny mogą tu jeszcze wrócić, więc bądźcie czujni!

Wiwaty były tym razem rzadsze, lecz tylko dlatego, że wielu obrońców przystąpiło już do zbierania rannych.

Przy trzecim wstrząsie Harfos nawet nie zmylił kroku. Ten ostatni był na tyle słaby, że głązy na zboczu nie ruszyły się z miejsca. Teraz najważniejsze było dotrzeć na czas do Conana.

Kiedy osiadł pył, w świetle ogniska Harfos ujrzał, że Cymmerianin walczy samotnie z sześcioma ludźmi Akimosa. Młodzieniec liczył, że wszyscy najemnicy rzucą się do ataku, jednak tylko Talouf zerwał się z miejsca. Nikt nie odważył się ruszyć za nim, nawet łucznicy wstrzymali się ze strzelaniem.

Conan nauczył Harfosa wystarczająco dużo, by ten wiedział, co ma zrobić. Resztę podpowiedział młodemu mężczyźnie honor.

— Za mną! — krzyknął wyciągając miecz i zaczął zbiegać po zboczu wąwozu.

Liczył, że towarzyszący mu ludzie nie opuszczą głowy rodu Lokhri, chociaż sprawiali wrażenie gotowych porzucić Cymmerianina. Biegając w dół, nie oglądał się za siebie. Gdyby nie poszli jego śladem, na nic by się mu to nie zdało, a tym łatwiej mógłby się potknąć i rozbić głowę o porozrzucane kamienie.

Jakimś cudem siła woli i obawa przed zrobieniem z siebie głupca sprawiły, że utrzymał się na nogach. Mimo to westchnął z ulgą, gdy znalazł się na równym gruncie. Westchnął ponownie, gdy usłyszał chrzęst piachu i grzechot kamieni, roztrącanych przez, podążających za nim ludzi. Być może nie będzie musiał sprawdzić tej nocy swoich umiejętności szermierskich... Ulga sprawiła, że zaniedbał ostrożności. Przyglądając się, jak ostatni z przeciwników Conana sromotnie pierzcha, potknął się o szczelinę w skale. Ból przeszył nogę aż do kolana, gdy ostra krawędź skaleczyła mu stopę i kostkę.

Mimo bólu Harfos rozdziawił usta na widok jednego z byłych przeciwników Cymmerianina. Strażnik chwilę wcześniej sprawiający wrażenie martwego, dźwignął się z ziemi ze sztyletem w dłoni. Harfos podniósł miecz. Nie spodziewał się, że przyjdzie mu toczyć walkę bez możliwości ruszenia się z miejsca.

Posypały się iskry. Pot polał się Harfosowi z czoła, gdy parował ciosy przeciwnika. Dzięki pomyślnemu zrządzeniu bogów, skrwawionemu mężczyźnie brakowało już sił, a jego broń była krótsza do ostrza młodzieńca.

Walczący o życie potomek rodu Lokhri desperacko szarpnął nogą. Stopa wyskoczyła wreszcie ze szczeliny. Sługa Akimosa rzucił się do rozpaczliwego ataku. Miecz Harfosa utkwiał mu między żebrami, a ostrze Conana rozszczepiło jego czaszkę. Młodzieniec miał ochotę śmiać się ze szczęścia, lecz osiągnął tylko tyle, że uśmiechnął się blado i nie zemdlął.

— Conanie, gdyby twój cios był odrobinę silniejszy, rozwaliłbyś mi... Za tobą!

Ktoś zawtórował Harfosowi. Dwa ostrzeżenia sprawiły, że Cymmerianin obrócił się z nadludzką szybkością. Nie mając czasu na zadanie ciosu przeciwnikowi, który chciał mu wbić miecz w plecy, kopnął go między nogi. Napastnik runął nie ziemię, nie mogąc odzyskać tchu.

Harfos poznał, że jest to jeden z ludzi Conana, niejaki Douras.

— Co, na Mitrę...?! — zaczął młodzieniec.

— Niech sam powie, skoro jeszcze może — warknął Conan, wbijając kciuk w podbródek Dourasa. Mężczyzna zwinął się z bólu, lecz milczał.

— Kapitanie, myślałem... myślałem, że zamierzasz zabić panicza Harfosa — powiedział ledwie dosłyszalnie Mekhas, sługa rodu Damos. — Ostrzegano nas, że tak może się stać. Wybacz, że nie

zdążyłem powstrzymać Dourasa...

— Cóż, jestem ci wdzięczny i za to — burknął Conan. — Będę ci jeszcze bardziej wdzięczny, jeżeli powiesz mi, kto was nasłał. Może nawet na tyle, że potraktuję cię inaczej, niż zamierzam potraktować Dourasa.

Mekhas wbił wzrok w ziemię.

— Jeżeli Conan was oszczędzi, to ja poproszę Liwie, by pozwoliła mi dokończyć za niego robotę — rzekł surowo Harfos. — Mówcie natychmiast, kto wam powiedział, że Conan może chcieć mnie zabić?

— Reza.

Harfos i Cymmerianin zaklęli równocześnie.

— Wykastruję tego świńskiego syna rozpalonym do czerwoności nożem — warknął Conan. — O raz za wiele wetknął swój garbaty nochał w nie swoje sprawy! A może... — urwał. Harfos zamrugał, widząc na twarzy Cymmerianina wyraz, jakiego nigdy by się nie spodziewał. Barbarzyńca wyglądał na stropionego. Po chwili wzruszył ramionami i roześmiał się. — Może chciał tylko chronić swoją panią przed jej nieroztropnością, nie zaś przed moją ambicją. Jeżeli tak, to niech ona sama go wykastruje.

— Nieroztropnością Liwii? — zapytał zdumiony Harfos.

Conan zatknął kciuki za pas.

— Nazwijmy tak jej decyzję, by... spędzić ze mną noc.

Harfos zareagował, jak gdyby kopnięto go w brzuch, a na dodatek spoliczkowano. Chrapliwie wciągnął powietrze, po czym przypomniał sobie o paru rzeczach, między innymi to, że pierwszą noc w zamku Tebroth spędził w namiętnych objęciach Szyłki. Zdał sobie sprawę, że urządziła to Liwia, by zając go w czasie, gdy ona sama zabawiała się z Cymmerianinem. Uświadomiwszy sobie te fakty, młodzieniec uśmiechnął się, a po chwili roześmiał. Conan zmarszczył brwi.

— Co w tym widzisz śmiesznego, na Croma?

— Bawi mnie, że kobieta, którą upatrzyłem sobie na żonę, zastawiła tak misterną pułapkę na ciebie, kapitanie. Wiem, że Liwia zawsze dąży do celu z uporem, ale nie sądziłem, że aż z takim. Cóż, będę musiał zamienić z nią kilka słów.

Cymmerianin o mało się nie roześmiał.

— Nie jesteś na mnie zły?

Harfos westchnął.

— Gdybyś próbował zataić tę sprawę, mógłbym podejrzewać to samo co Reza. Ponieważ powiedziałaś mi prawdę, nie zamierzam się z tobą kłócić. Z moją matką będzie zupełnie inaczej. Urządzi z pewnością piekielną awanturę, ale nie zamierzam przejmować się dłużej jej fochami. Przywykłem do puszczenia jej gadaniny mimo uszu. Co innego z Rezą. Nie sądzę, by mógł pozostać na służbie...

— Porachujemy się z Rezą, jeżeli przeżyje tę noc — stwierdził Conan. — Na razie marnujemy czas na gadaniu, zamiast ratować twoją...

Dobiegł ich krzyk, zdający dobywać się z dna piekielnej otchłani. Harfos odwrócił się na pięcie i popatrzył ku najbliższej z Jaskiń Zimgas. W migoczących płomieniach widać było kobiecą sylwetkę. Sam zarys postaci wystarczył, by Harfos rozpoznał Doris.

— Wygląda na to, że moja matka uratowała się sama — powiedział.

Schował miecz i ruszył pędem w górę zbocza ku miejscu, gdzie Doris padła na kolana i ukryła głowę w ramionach. Jej barki dygotały gwałtownie.

Harfos spostrzegł, że padający z jaskini blask przygasł, jak gdyby coś wielkiego znalazło się między jego źródłem i wylotem jaskini.

Za sprawą narkotyku, zakłęb, wyczerpania i bólu Doris zapamiętała niewiele z nocy, podczas której została uratowana. Nie dotarło do niej, że życie zawdzięczała Skironowi, chociaż tak właśnie było. Czarnoksiężnik pierwszy wyczuł zbliżanie się Większego Wartownika i zaczął zawczasu szykować się do ucieczki. Niewolnik Skirona już wcześniej spakował magiczne przybory. Mag podążył za nim nie tracąc czasu.

Gdy chrobot Wartownika stał się głośniejszy, obydwaj zaczęli biec. Po drodze mieli pryczę, na której leżała Doris. Niewolnik zerwał zasłonę, a Skiron dźwignął otępiałą kobietę na nogi. Wodziła po jego twarzy pustym, błędnym spojrzeniem, nie siląc się nawet na okrycie swojej nagości. Po chwili odepchnęła go do siebie.

— Muszę tu zostać i czekać na Akimosa. — Zdobyła się nawet na uśmiech.

— Akimos czeka na ciebie na zewnątrz. Razem z nim wrócisz do Messancji, pani, ale musisz się pośpieszyć. Chodź ze mną, proszę! Chodź do Akimosa!

W tej chwili Skiron usłyszał pierwszy ryk Wartownika — niski, dudniący pomruk. Wlał w usta Doris miksturę podtrzymującą działanie czaru namiętności.

Doris oblizwała wargi i uśmiechnęła się ponownie.

— Idę!

Wyrwała się czarnoksiężnikowi i pobiegła w stronę wylotu jaskini, pozostawiając obu mężczyzn w

tyle.

Conan zobaczył, że pół tuzina ludzi wypadło z jaskini w chwili, gdy Harfos dotarł do matki. Krzyknął ostrzegawczo, lecz przeciwników bardziej interesowała ucieczka niż walka. Minęli żwawo Harfosa, dostrzegli Conana i jego ludzi i rozpierzchnęli się na boki jak umykające przed wilkiem króliki.

— Za nimi! — zagrzemiał Cymmerianin. — Jeżeli uciekną, obedrę ze skóry tych, którzy do tego dopuszczają!

Był niemal pewny, że pośród uciekających jest Skiron. Jeżeli czarnoksiężnik rozporządzał jeszcze zaklęciami... W chwilę później myśli o czarach pierzchły z umysłu Conana, bowiem z jaskini wydostał się Mniejszy Wartownik.

Niektórzy z tych, którzy go dostrzegli, padli na kolana, by modlić się lub wymiotować. Paru ludzi stanęło bezradnie — trwoga sparaliżowała ich umysły na równi z ciałami. Niewielu potrafiłoby opisać to, co zobaczyli, z wyjątkiem tego, że była to przejrzysta szara masa nakrapiana jaśniejszymi łatami barwy karmazynu lub pociemniałego złota.

Gdyby Harfos należał do tych, których opuścił rozum, zginąłby na miejscu wraz z matką. Wartownik wyciągnął ku niemu mackę, zakończoną pełną kłów szczęką. Młodzieniec rąbnął w nią mieczem. Odcięty kawałek wyleciał w powietrze, spadł i zaczął pełznąć ku reszcie cielska.

Wyglądało na to, że Wartownik poczuł ból. Cofnął zranioną mackę i wysunął cztery krótsze okraszone przyssawkami, lecz zaprzestał posuwania się naprzód. Pozwoliło to Harfosowi odciągnąć matkę w bezpieczne miejsce.

Chwila, potrzebna Wartownikowi na zebranie sił, umożliwiła Conanowi na skrzyknięcie swoich ludzi. Nim magiczny stwór dotarł na płaski skrawek terenu, najemnicy oprzytomnieli i czekali już nań z bronią w gotowości.

Wartownik wyrzucił przed siebie przednią część ciała, dalej niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Szara śluzowata masa runęła na dwóch mężczyzn, szybko tłumiąc ich krzyki. Przerażeni najemnicy ujrzeli, jak wchłaniające ich towarzyszy cielsko zabarwia się szkarłatem świeżej krwi. Po chwili Wartownikowi wyrosły nogi, ogon i łeb z większą liczbą zębów niż u ławicy rekinów.

Nim potwór ruszył dalej, Conan zabiegł mu drogę. Wymierzył cięcie, mogące rozplątać pień dorodnej sosny. Miecz Cymmerianina błysnął w świetle płomieni. Odcięta połowa łba zaczęła pełznąć przed siebie i wpadła w węgle jednego z ognisk obozowiska Akimosa.

Uszy wszystkich przeszły natychmiast wysoki pisk. Conan ujrział, jak spod miotającego się fragmentu Wartownika buchają kłęby dymu. Chwyciwszy w dłoń płonąca żagiew, przyskoczył do potwora i ciął go mieczem przez grzbiet. Przypominało to rozbijanie skorupy morskiego żółwia, lecz było to zadanie odpowiednie dla siły Cymmerianina. Twarda skóra rozstała się i Conan wepchnął w ranę płonąca polano.

Wzbił się dym. Ponownie rozległ się pisk bestii, osiągając taką wysokość, że obecnym ścierpły zęby.

Wartownik nadał się, aż skóra zaczęła na nim trzeszczeć, po czym pękł jak nabrzmiały wrzód. Na obóz posypały się dymiące kawałki ciała i rozlała ohydnie cuchnąca posoka, lecz najemnicy nie zwracali na to uwagi. Ujrawszy, że Wartownik nie jest niezwyciężony, rozbiegli się po żagwie.

— Dobra robota, kapitanie! — krzyknął Harfos, przyłożywszy dłonie do ust. — Podejrzywałem, że można pokonać te bestie bez pomocy magii!

Conan skinął głową. Musiał jednak przyznać, że pradawni czarnoksiężnicy, którzy stworzyli Wartowników, mieli nieco więcej rozumu od większości przedstawicieli swego rzemiosła. Z pewnością więcej od Skirona, który obudził to monstrum niebacznie, jak człowiek rozpalający ognisko w suchym jak pieprz lesie.

Większy Wartownik wyczuł zagładę Mniejszego, lecz wiedział, że nie równało się to niebezpieczeństwu dla niego samego. Musiał tylko zdobyć więcej informacji, by móc zdecydować, czy walczyć, czy się wycofać. Najodpowiedniejszym sposobem na ich zyskanie wydało się mu zdążanie dalej naprzód. Dlatego też wynurzył się z jaskini i ruszył w dół zbocza.

Gdy monstrum stanęło przed ludźmi w całej okazałości, niektórzy z nich ponownie stracili całą odwagę. Dwóch służących rzuciło się do ucieczki, lecz osadził ich w miejscu widok Harfosa, który stanął im na drodze z mieczem w dłoni.

— Jeżeli nie boicie się hańby, bójcie się mnie! — warknął. W tej chwili wyglądał równie srogo jak Conan. Niedoszli dezercerzy opamiętali się i zawrócili, by dołączyć do towarzyszy.

Po chwili ze szczytu wzgórza nadleciały strzały. Zawstydzeni dotychczasowym wahaniem łucznicy czynili teraz wszystko, by w słabym świetle trafić w cokolwiek, co wyglądało jak oko lub paszcza.

— Podpalajcie strzały! — ryknął Conan równie głośno jak Wartownik. — Jeżeli tylko zajmie się ogniem, spłonie jak stóg siana!

Nie miał czasu zastanawiać się, czy łucznicy go usłyszeli, bowiem jego krzyk przyciągnął uwagę Wartownika. Potwór ruszył ku niemu, wypuszczając z siebie dwadzieścia przypominających pieńki łap, by zwiększyć tempo posuwania się. Wszystkie kończyły się stopami o pięciu pazurach. Ponieważ Wartownik posuwał się w dół zbocza, za moment trzy łby z wyszczerzonymi, pełnymi kłów paszczami znalazły się tuż przed Cymmerianinem.

Conana uratowała wrodzona szybkość ruchów i jeden ze sług rodu Damaos, który podbiegł i wbił włócznię głęboko w kark bestii. Jeden z łbów znieruchomiał. Mężczyzna obrócił włócznię i wyszarpnął ją. Po chwili Cymmerianin podpalił pochodnię wypływającą z rany krew, a następnie odskoczył przed kłapiącymi szczękami.

Wartownik zaryczał dwoma paszczami, podczas gdy trzeci łeb rozpadł się na strzępy. Kikut szyi podrygiwał konwulsyjnie, lecz dwa pozostałe łby nadal obdarzone były życiem, wolą i ostrymi zębami. Conan ujrzał, jak jeden z nich chwycił rannego sługę Akimosa, rozgryzł go i połknął bez wysiłku.

Jeden z najemników podbiegł do drugiej głowy i zamachnął się zakrzywionym mieczem. Łeb przeleciał kawałek i trafił w człowieka, który zapalał od ogniska naprędce sporządzoną pochodnię. I on, i głowa runęli w płomienie. Mężczyzna zawył z bólu. W chwilę później łeb rozpadł się, uwalniając obłok zielonego dymu. Poparzony i pogryziony najemnik dźwignął się na nogi. Klął zbyt gwałtownie, by należało sądzić, że doznał śmiertelnych obrażeń.

Większy Wartownik sprawiał wrażenie stropionego, a nawet wytrąconego z równowagi odwagą swoich wrogów, lecz Conan wątpił, by jego rany były poważne. Chciał zmienić ten stan, nim bestia wymyśli nową metodę walki, mniej narażającą ją na zranienia niż tworzenie zębatych paszcz.

Do tej pory zdążyli wrócić ludzie, którzy przetrzasali obozowisko Akimosa. Conan ujrzał, że dwóch z nich niesie słomiane materace. Natychmiast przywołał ich, chwycił świeżą żagiew, skrzyknął kilku włóczyków, po czym poprowadził wszystkich za sobą.

Miecz Cymmerianina ściał rogową pokrywą, która rozciągnęła się nad kikutek jednej z szyj. Dwóch ludzi uniosło materac na grotach włóczy, a Conan wepchnął pochodnię głęboko w słomę. Wspólnymi siłami wszyscy trzej wtoczyli płonący materac w ranę Większego Wartownika.

Conan twierdził później, że nawet końcowi świata nie może towarzyszyć hałas taki jak przy śmierci Wartownika. Ktokolwiek stał w pobliżu, nie słyszał nic poza agonialnym rykiem, który zaczął się jako niski pomruk, a skończył jako rozdzierający bębenki pisk. Nie wszyscy wytrzymali smród i dym, które przesyciły powietrze w chwili, gdy Większy Wartownik wybuchł.

Nikt zaś nie miał ochoty, by trafiły go ostre jak nóż kawałki rogowej pokrywy wielkości półmiska. Conan i jego towarzysze jak jeden mąż zbiegli w dół zbocza i pozostali tam, aż Większego Wartownika opuściły resztki życia.

Conan trącał właśnie jakieś szczątki końcem miecza, gdy ujrzał, że Harfos zmierza w jego stronę. Młody mężczyzna miał na sobie wyłącznie buty i przepaskę na biodrach. W dłoni trzymał ociekający krwią miecz.

— Jak się czuje twoja matka? — zapytał Cymmerianin.

— Marnie — odparł Harfos. — Ubrałem ją w swoją tunikę i opatrzyłem najgorsze z jej ran. To wszystko jednak za mało. Ona woła o Akimosa jak człowiek umierający z pragnienia o wodę.

— W takim razie poszukajmy tego, kogo tak pragnie spotkać — odrzekł ponuro Conan, chowając miecz do pochwy. — Oris mówił o paru Wartownikach. Jeżeli w pobliżu jest jeszcze jeden, możemy nakarmić go Akimosem.

— Na bogów, Conanie, nie masz litości? Chcesz struć takie dzielne stworzenie?...

— Oszczędzimy w ten sposób kilku naszych ludzi oraz wieśniaków. — Conan nie był w nastroju do żartów.

— W takim razie ty zajmij się ludźmi, którzy mogą chodzić, a ja tymi, dla których potrzebne będą nosze.



Conan skłonił się młodzieńcowi bez słowa i poszedł wypełnić polecenie. Tej nocy dopełniła się przemiana Harfosa z synalka Doris w mężczyznę i głowę rodu Lokhri, a być może również Damaos.

## ROZDZIAŁ 19

Akimos drgnął, gdy Partab wyłonił się z ciemności.

— To tylko ja, panie.

Ton Partaba powiedział kupcowi, iż ten vendhiański wieprz wie, że głowa rodu Peram się boi. Ile trzeba było czekać, nim dowiedzą się o tym wszyscy ludzie oblegający zamek Tebroth?

— Są jakieś wieści od wartowników?

— Słyszeli coś, ale mogli to być równie dobrze wieśniacy jak dziczące bydło, jelenie albo mnóstwo innych rzeczy.

— Niech zaraza weźmie tych przeklętych matolów!

— Tak się stanie, jeżeli bogowie tego zechcą. Na razie proponuję wzmocnić strażę.

Akimos zmarszczył brwi. Rozpacзлиwa walka pod zamkową bramą kosztowała go ponad jedną trzecią sił. Byłaby to skromna cena za zwycięstwo i podporządkowanie sobie Liwii, lecz ta rozebrana jak do rosołu, rozpieszczona dziewczucha odwróciła losy bitwy! Kupiec zaklął głośno, po czym nakazał sobie spokój.

— Jakie są szanse, że chłopci nas zaatakują?

Nie podobało mu się, że musi prosić o radę oprycha w rodzaju Partaba, jednak Vendhiańczyk przewodził napadom na okoliczne wioski. Znał ich mieszkańców o wiele lepiej niż którykolwiek z towarzyszących kupcowi sług.

— To możliwe, jeżeli dowiedzą się o naszej słabości, a więc jeżeli obrońcom uda się przekazać wieści do wiosek.

— A jeśli już zostały przekazane?

— Nie sądzę, by Reza, Harfos czy Liwia na to wpadli, lecz po Conanie można się spodziewać wszystkiego.

Nim Akimos zdążył odpowiedzieć, od strony zamku rozległ się potężny łoskot. Najpierw zabrzmiał rumor osypujących się głazów, do którego dołączyły krzyki strachu i bólu, a później syk sprawiający

wrażenie, jak gdyby zasyczały naraz wszystkie węże świata.

Średni Wartownik był świadkiem chwili, w której przestał funkcjonować umysł Większego. Zaniepokojony czekał beczynnie w podziemnej norze, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Większy Wartownik nie obudzi się więcej, po czym popełził szybko tunelem prowadzącym ku wyjściu do podniebnego świata.

Wiedział, że tam czeka na niego upragnione pożywienie. Potrzebował go teraz bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ po śmierci Większego Wartownika spadło na niego zadanie wytworzenia organizmów potomnych.

Wszelako pożarcie dwunogich istot miało zaspokoić także głębszą potrzebę. U człowieka pragnienie to nazywałoby się żądzą zemsty.

Pierwszymi ludźmi w zamku Tebroth, którzy zetknęli się ze Średnim Wartownikiem, byli strażnicy przy barykadzie, prowadzącej do podziemi. Było ich trzech.

Chociaż Reza gotów był uwierzyć w istnienie Wartowników, za nic nie dopuściłby do siebie myśli, że cokolwiek może przebić się przez tak masywną stertę kamieni. Trzech strażników przypląciło życiem omyłkę Iranistańczyka. Usłyszeli najpierw stłumiony syk, nieco głośniejszy rumor i wreszcie łoskot, przypominający rozbijanie młotem skalnego bloku.

To Średni Wartownik zamienił się właśnie w żywy młot. Jego łeb pokrył się twardą jak zbroja skorupą i już pod pierwszym ciosie sterta głazów rozleciała się na wszystkie strony. Jeden z nich uderzył strażnika. Zmiażdżony nieszczęśnik zginął, nim zdążył chociażby krzyknąć.

Dwóch pozostałych zdołało chwycić za broń. Umarli jednak nie zadawszy ani jednego ciosu. Łeb Średniego Wartownika podzielił się momentalnie, a obydwie paszcze rozwarły i zatrzasnęły.

Strażnicy zginęli z przeraźliwym krzykiem. Ostrzegło to pozostałych, że mają do czynienia z czymś groźniejszym niż trzęsienie ziemi. Jedno spojrzenie na wyłaniającą się z podziemi piekielną bestię wystarczyło, by przekonać część obrońców, że najlepszym wyjściem z tej sytuacji jest natychmiastowa ucieczka.

Niektórzy rzucili się do szaleńczego biegu w dół zbocza, nie zważając, kto lub co może czaić się w mroku. Pozostali pierzchali na rozsypujące się schody, zamkowe mury, wieże, dokądkolwiek, byle jak najwyżej. Sądzieli, że tam będą bezpieczni.

Okazało się jednak, iż nie mieli racji. Liwia patrzyła ze zgrozą, jak Wartownik zatrzymał się pod ścianą i zmienił w bezkształtną masę. Wyrosła z niej giętka szyja, która sięgnęła szczytu muru. Na szyi pojawił się łeb z wyszczerzonymi zębami, niczym koszmarna parodia rozkwitającego pąka. Bestia poczęła wyżerać z muru wrzeszczących ludzi jak dziecko objadające krzak jeżyn.

Liwia starała się nie dopuszczać do świadomości wrzasków umierających ludzi. Powstrzymując się przed krzykiem, wcisnęła sobie w usta zaciśniętą pięść.

Średni Wartownik, nabrawszy głębokiej, szkarłatnej barwy, nieco mniej łapczywie poszukiwał kolejnych ofiar. Do tego czasu został naszpikowany jak jeź włóczyniami i strzałami zdesperowanych obrońców.

Do Liwii podszedł Reza i położył jej dłoń na ramieniu.

— Pani, słyszałem, że Wartownikom można zaszkodzić ogniem.

— Mamy ogniste strzały?

— Nie, ale jest dość płonących zagwi.

— Dobrze — rzekła z wahaniem. — Ja idę do komnaty, by zająć się kobietami i dziećmi. Nie chcę, by umierali w samotności, jeśli twój plan zawiedzie. — Uświadomiła sobie, że ją również czekałaby tam śmierć i żołądek odmówił jej posłuszeństwa. Oparła się o ścianę, dopóki torsje nie minęły. Doszedłszy do siebie, gotowa była przysiąc, że zawodzi ją również słuch, bowiem od strony zamkowego zbocza dobiegły ją bojowe okrzyki „Naprzód, zawsze do boju!” rodu Lokhri oraz „Za Liwię i ród Damaos!”.

Conan i jego ludzie dotarliby do zamku Tebroth równocześnie z Średnim Wartownikiem, żeby nie niepomyślny splot okoliczności.

Gdy pokonywali biegiem ostatnie ćwierć mili, dzielące ich od rozlokowanych pod zamkiem ludzi Akimosa, natknęli się na grupę wieśniaków, również idących na odsiecz obrońcom. Członkowie obu oddziałów byli przekonani, że mają do czynienia z posiłkami dla kupca. Obydwie grupy zajęły pozycje w zaroślach, a ich dowódcy zaczęli gotować się do ataku lub obrony.

W ten sposób stracono sporo czasu. W końcu Conan rozpoznał wieśniacze stroje, a chłopci rozpoznali Cymmerianina. Obie grupy ruszyły szybko w dalszą drogę, lecz w momencie ataku Średniego Wartownika znajdowały się jeszcze u podnóża wzniesienia.

Mimo jatki, którą Wartownik urządził w zamku, dla towarzyszy Conana pojawienie się potwora było korzystną okolicznością. Ludzie Akimosa byli tak zafascynowani tym, co działo się w twierdzy, że zaniechali strzeżenia swoich tyłów. Dzięki temu Cymmerianin zdołał podprowadzić przeszło sześćdziesięciu ludzi, zanim Akimos zorientował się, że ma gości.

Na wzgórzu rozgorzała pełna nieopisanego zamętu nocna walka. Conan sunął przez ogarnięte chaosem pole bitwy, pozostawiając za sobą broczących krwią przeciwników. Gromkimi bojowymi okrzykami dodawał odwagi swoim ludziom i odbierał ją nieprzyjaciołom. Tej nocy walczył za dziesięciu i nie mieli powodów do wstydu ci z ludzi Akimosa, którzy pierzchali pod górę krzycząc, że dopadły ich demony. Gdy dotarli do bramy, stanęli przed prawdziwym demonem. Średni Wartownik ruszył w ich stronę.

Liwia przyglądała się przez okno, jak z cielska Wartownika wyrastają nogi i pozbawiony oczu rogaty łeb. Bestia przypominała w tej chwili żółwia o ośmiu... dziesięciu... dwunastu nogach. Nie miała ogona, a jej skorupa była gładka jak szkło, z wyjątkiem ran pozostawionych przez gorejące żagwie.

Legendy mówiły prawdę. Ciało Wartownika zapalało się od ognia. Następowало to tym łatwiej, im głębiej udało się wepchnąć żagiew w ranę, lecz nikomu z obrońców nie udało się tego dokonać.

Potwora zarzucono pochodniami, dopóki nie wyczerpał się ich zapas. Do tego czasu cielsko Wartownika dymiło w kilkudziesięciu miejscach. Liwia i inni w wieży na poły ogłuchli od jego ryków.

Zamilkł, gdy jeszcze raz zaczął zmieniać postać. Liwia nie miała pojęcia, czy zamierza ponowić atak, czy chce poszukać gdzie indziej łatwiejszej zdobyczy. Wiedziała jedno: jej modły nie zdadzą się na nic. Przyglądała się z napięciem, jak Średni Wartownik wypuszcza trzy pary dodatkowych nóg i brnie przez bramę. Po stoku posypały się stracone przez potwora głazy, runęła nawet część kamiennego łuku. Jednak bloki wielkości człowieka ześlizgiwały się po cielsku stwora, nie wyrządzając mu żadnej szkody.

Gdy Wartownik znalazł się za bramą, Liwia wróciła do bandażowania ran i pocieszania rannych. Sama starała się nie myśleć o przyszłości.

Gdy Akimos ujrzał, że jego ludzie biegną w stronę zamku, zaczął zagrzewać ich do walki. Atak w momencie, gdy coś odwracało uwagę obrońców, miał szansę powodzenia. Po chwili zaklął, ujrawszy, że jego podwładni zawracają.

Przekleństwo zamarło mu na ustach, gdy zobaczył, co zmusiło ich do odwrotu. Wyszarpnął miecz i rozstawiwszy szeroko nogi, zatarasował im drogę.

— Walczcie, ludzie! Walczcie za honor rodu Peram! Zwycięźcie diabelskiego...

Zagłuszyły go przekleństwa uciekających. Jeden z nich posunął się dalej: ciął Akimosa mieczem. Zadany na oślep cios trafił kupca w szyję.

Akimos poczuł, jak krew spływa mu po ramieniu i piersi. Utrata życiodajnej cieczy rosła z każdą chwilą. Kupca zaczęły opuszczać siły.

Akimos ukląkł, a potem przewrócił się na plecy, lecz mimo upływu krwi żył jeszcze, gdy Średni Wartownik pochwycił go i pożarł.

Podwładni Conana zostali na stanowiskach, mimo że potwór zmierzał ku nim w dół zbocza. Wieśniacy, którzy nie wiedzieli, jak walczyć z magicznym stworzeniem, złamali szyk i uciekli z krzykiem.

Ci z ludzi Akimosa, którzy przeżyli, poszli ich śladem. Kilku miało jeszcze ochotę do walki, lecz

pozostałym zależało wyłącznie na tym, by znaleźć się jak najdalej od podążającego ich śladem potwora.

Dzielni słudzy rodu Peram, którzy pokusili się o zostanie na miejscu i stawienie czoła ludziom Conana, zginęli lub zostali wzięci do niewoli, nim Średni Wartownik skończył pochłaniać ciało Akimosa.

— Conanie, musimy wydostać Liwię z zamku! — wykrzyknął Harfos.

— Jakim cudem mamy ominąć to coś?! — warknął Conan, wskazując mieczem Średniego Wartownika, z którego wyrosły teraz trzy łby z niewielkimi, bezzębnymi gębami i olbrzymimi, gorejącymi posępną czerwienią ślepiami. Nie ruszając się z miejsca, potwór rozglądał się za nowymi ofiarami.

— Nie możemy zostawić Liwii! — krzyknął niemal błagalnie Harfos.

— Ona nie porzuci rannych i swoich ludzi! — wypalił Conan. — Zginie razem z pozostałymi lub zwycięży, taką ma naturę. Nie możemy dołączyć do niej, dopóki nie zabijemy tego...

— Conanie, pójdę sam, skoro...

Cymmerianin chwycił Harfosa za ramię. Młody mężczyzna szarpnął się jak ryba na haczyku, lecz nie zdołał wyzwolić z uścisku.

— Nigdzie nie pójdziesz. Jeżeli ruszysz tą ścieżką, Wartownik pożre cię, a Reza utoczy mi krwi, o ile Liwia nie zrobi tego wcześniej. Zostajesz, czy mam cię związać?

— Conanie, są chwile, kiedy sędzę, że rozumiesz moją wybrankę lepiej ode mnie — westchnął Harfos.

— Ponieważ niewieścia natura jest niezmienna, bywałem już w takich sytuacjach — odparł Cymmerianin i poklepał Harfosa po ramieniu. — Zabierzmy się do robienia pochodni. Jeżeli uda się nam rozpalić pod tą bestią porządne ognisko, skończy jak dwie poprzednie.

Harfos pokiwał głową i zaczął zwoływać ludzi. Gdy młody mężczyzna oddalił się, do Cymmerianina podszedł Talouf.

— Jak długo ta maskara zamierza jeszcze czekać, kapitanie? — zapytał sierżant.

— Bogowie wiedzą, ale nie rozmawiałem z nimi ostatnio — odparł Cymmerianin ze wzruszeniem ramion.

Nie dodał, że słyszał, iż nażarty Wartownik może podzielić się na dwa potomne, oba równie groźne jak ten, z którego się wywodziły.

Wtem Cymmerianin ujrzał, że w stronę potwora idzie odziana na czarno postać. Sierp księżyca rzucał dość światła, by stwierdzić, że jest to niski, drobny mężczyzna.

Skiron? Czyżby czarnoksiężnik przybył, by zapanować nad Wartownikiem i przemienić bezmyślną bestię w niezwyciężoną broń? Conan ocenił szybkość, z jaką potykający się mężczyzna zmierzał w stronę potwora. Stwierdził, że niemal na pewno zdążyłby dogonić czarnoksiężnika i zabić go, pod warunkiem iż zdołałby wyminąć Wartownika.

Cóż, dla każdego wcześniej czy później przychodziła pora, by umrzeć. Dla tych, którzy żyli ze swojej broni i sprytu, przeważnie wcześniej, co nie było dla Conana zaskoczeniem. Zrobił co w jego mocy, a jeżeli Cromowi to nie wystarczało, niech bóg sam się o to martwi!

Cymmerianin ruszył do przodu. Uszedł dziesięć kroków, gdy Talouf zawołał za nim:

— Kapitanie, patrz!

W grzbiecie Wartownika utworzyła się szczelina. Dosięgnęła łba, po czym zaczęła rozszerzać się w tył, ku ogonowi...

Ku dwóm ogonom. Obydwa, pokryte rogowymi kolcami, cięły powietrze z taką siłą, że mogłyby przebić solidną zbroję.

Wartownik dzielił się.

Conan nie zastanawiał się, w jaki sposób wpływa to na jego szanse! Wiedział jedynie, że tym bardziej powinien zarębać Skirona, nim mag zapanuje nad oboma Wartownikami.

Wykrzykując bojowy okrzyk i wywijając mieczem, Cymmerianin zerwał się do biegu. Nie widział, że Talouf ruszył jego śladem. Nie odrywał wzroku od potwora i stojącej obok ciemnej postaci, która wznosiła ramiona w nieomylnym geście towarzyszącym rzucaniu zaklęć.

Skiron nie zauważył Conana, dopóki ten nie wydał okrzyku wojennego. Zauważywszy, nie przejął się jego obecnością. Nawet dziesięciu Conanów nie dałoby rady dwóm Wartownikom, gdyby te znalazły się pod wpływem czarów, nakazujących im żywić się i dzielić, dzielić się i żywić, aż staną się niezliczone jak mrówki i nienasycone jak głodne tygrysy.

Stałyby się plagą Argos, dopóki nie zapanowano by nad nimi kolejnym zaklęciem. Człowiek, który by tego dokonał, zażądałby za to odpowiedniej ceny. Takiej, za którą można by założyć tuzin szkół magii!

Śmierć Akimosa nie oznaczała bynajmniej kresu nadziei Skirona. Czarownik czuł jak wzbiera moc zaklęcia, odbierająca równocześnie siły jego ciała. Brakowało mu substancji, dzięki którym mógłby rzucić czar, nie płacąc za to fizycznym wyczerpaniem. Jego niemy niewolnik przepadł gdzieś razem z wszystkimi przyborami. Gdyby jednak Skironowi udało się zapanować nad Wartownikiem, nie miałyby to znaczenia. Zdobyłby wtedy dość czasu, by odzyskać siły i odtworzyć swoje przyrządy.

W tym celu dawał z siebie wszystko, nie dbając, czy po rzuceniu zaklęcia jego cielesna powłoka zostanie opróżniona z czarnoksięskiej mocy. Nie zwracał uwagi na takie drobiazgi, jak wbiegający

po zbroczu Cymmerianin.

Nim Conan dotarł do dzielącego się potwora, dwóm łbom wyrosły już kły. Gdy obydwa rzuciły się ku barbarzyńcy, ten ciął paszczęki mieczem, po czym odskoczył z taneczną gracją. Zdumiony Skiron dostrzegł kątem oka ruch ramienia barbarzyńcy.

Po chwili zobaczył wystarczająco wyraźnie, że Cymmerianin pędzi w jego stronę. Wartownik sięgnął ku Conanowi trzecim łbem, lecz jedynie przeorał zębiskami po kamieniach. Potwora skryła opończa kurzu.

Skiron poczuł, jak pot spływa mu po skórze, żłobiąc ścieżki w pokrywającym ją pyle. Gdy podporządkowywał Wartownika swej woli, bestia straciła zwykłą szybkość ruchów. Wyglądało na to, że spowodowało to również spowolnienie podziału.

Mimo to mag kontynuował rzucanie czaru. Przerwało mu to dopiero nadejście Conana. Brakowało już pięciu kroków, by Skiron znalazł się w zasięgu jego miecza.

Do obrony przed prostym niebezpieczeństwem czarnoksiężnik postanowił użyć prostego zaklęcia. Palce Skirona zatańczyły w powietrzu. Miecz wyskoczył Conanowi z dłoni i zatoczył wysoki łuk. Jeden z łbów Wartownika poderwał się i złapał oręż z równą łatwością, jak ptak lecącego owada.

Skirona przeniknął niepokój. Ruch Wartownika był piorunująco szybki, a Conan już o krok.

Niepokój zamienił się w strach. Skiron rzucił się do ucieczki, lecz równie dobrze jagnię mogłoby uciekać od wilka.

Conan schwycił czarnoksiężnika gołymi rękami. Gdy dźwigał go nad głowę, Skiron zaskowytał ze strachu, po czym przerażenie odebrało mu głos i dech. Cymmerianin cisnął go w stronę Wartownika.

Zgroza nie zaślepiła maga. Widział dokładnie, jak wszystkie trzy rozdziawione paszcze rzucają się w jego stronę. Widział, jak szczęki zwierają się. Widział jeszcze, jak kły zanurzają się w jego ciele, po czym wybuchł ból i Skiron przestał widzieć cokolwiek.

Conan oparł się plecami o skałę, przyglądając się, jak Wartownik rozdziera czarnoksiężnika na strzępy. Nie miał złudzeń, że za chwilę potwór rzuci się na niego. Skiron stanowił najwyżej przekąskę, a uwolniona od wpływu zaklęcia bestia poruszała się zbyt szybko, by Cymmerianin zdołał jej umknąć.

Ale zdołał przynajmniej uśmiercić Skirona. Miał nadzieję, że dzięki temu nie dojdzie do ostatecznego podziału Wartownika. Tych, którzy wedrą się z pochodniami na wzgórze, będzie czekało łatwiejsze zadanie. Może ktoś opowie o tym Liwii...

Wartownik zadygotał. Ciągająca się od łbów do ogona szczelina stała się szersza. Buchnął z niej dym tak gęsty i cuchnący, że Conan zakrył nozdrza i usta.

Dym przylgnał do ziemi jak bagienny opar. Otoczył Wartownika i popęłznał w stronę Cymmerianina. Gdy śmierdzące smugi otarły się o skórę Conana, barbarzyńcę przeszył dreszcz. Ten dym cuchnął bardziej niż tamten, który rozszedł się po śmierci Większego Wartownika. Cymmerianin usiłował dostrzec, co dzieje się z potworem, lecz osłona była tak gęsta, że równie dobrze mógł próbować przejrzeć ceglany mur.

Rozległ się odgłos, jaki wydaje zgniły owoc rzucony na kamienną posadzkę, i oczy Conana poraziło nagłe, niebieskie światło. Cymmerianin przycisnął twarz do skały w momencie, gdy uderzył go cuchnący podmuch, niosący żwir, pył i ohydne szczątki Wartownika.

W końcu niebieski blask przygasł. Conan otarł powieki ze żwiru, otworzył oczy i rozejrzał się. Tam gdzie był Wartownik, rozpościerała się teraz postrzępiona wyrwa, okolona poczerniałą skałą i paroma zwęglonymi fragmentami jego cielska.

Conan nie wiedział, czy potwór rzeczywiście zatrzał się Akimosem, lecz Skiron zaszkodził mu na pewno. Czarnoksiężnik wraz ze swymi zaklęciami okazał się dla Wartownika kąskiem nie do strawienia.

Skalna półka była wystarczająco szeroka, by Conan mógł na niej nieco odpocząć. Potem odnalazł miecz i bez zbytniego pośpiechu zaczął schodzić do swoich ludzi. Po śmierci Wartownika złamanie karku w dziurze, która po nim została, byłoby wyczynem godnym najtępszego matołka.

Conan dotarł do ścieżki w chwili, gdy Harfos doprowadził ludzi z pochodniami do miejsca, w którym zatrzymał się Talouf. Z początku widok Conana odebrał im mowę, jakby ujrzeli powstałego z grobu nieboszczyka. Milczenie przerwał Harfos.

— Conanie, co się stało, na wszystkie...

— Wartownik ugryzł coś, czego nie mógł przełknąć — powiedział Cymmerianin, zmuszając się do uśmiechu. — Naszego przyjaciela Skirona.

— Aha — rzekł potomek rodu Lokhri. — Pogniewam się, jeżeli zobaczę, że jego czar wciąż więzi moją matkę, ale podejrzewam, że tak było tylko do śmierci Akimosa. Obudziła się, powiedziała, że ten łotr nie żyje, po czym ponownie zasnęła.

— Bogom dzięki za drobne łaski — odparł Conan.

— Będziemy potrzebowali czegoś więcej, gdy mateczka się obudzi i znów spróbuje rządzić — rzekł ponuro Harfos.

— Nieprawda — powiedział Conan, zaciskając młodemu mężczyźnie dłonie na ramionach. — Musisz zrobić tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, poprosić Liwię o rękę. Po drugie, zachowywać się nadal tak jak tej nocy.

— Nawet wobec mojej matki?

— Przede wszystkim wobec niej!



Doris raczyła spać do następnego wieczora, dzięki czemu zdołano dużo zrobić. Jednakże natychmiast po przebudzeniu zażądała, by stawili się Conan, Harfos i Liwia.

Siedząc na polowym łóżku w nocnej koszuli jakiejś wieśniaczki, Doris nadal wyglądała władczo. Conan przyglądał się Harfosowi. Młody mężczyzna unikał patrzenia matce w oczy, gdy ta rozwodziła się nad tym, jakie słyszała plotki dotyczące jej syna i Liwii.

— Najwyraźniej nie wiedzieli, że ich słyszę, bo paplali bezmyślnie jak gęsi. Czy to prawda, że zamierzasz poślubić Liwie bez pytania mnie o zdanie?

Wyglądało na to, że Doris wyniosła ze swoich przeżyć nie tylko nietknięty rozum i cięty język, lecz i wolę podporządkowania sobie Harfosa. Gdyby Liwia miała przy sobie sztylet, Conanowi zapewne przysłoby teraz wyrwać go dziewczynie z dłoni.

— Matko, wyjdę za Liwię z rodu Damaos, jeżeli tylko mnie zechce — powiedział Harfos takim samym władczym głosem, jakiego używał poprzedniej nocy. — Nie zamierzam też dopuścić, by wtrącał się w to ktokolwiek inny.

— Nie masz prawa mówić do mnie tym tonem, synu! Muszę przyznać...

— Matko! — przerwał jej młodzieniec. — Jestem już dorosły. Nie potrzebuję twojej zgody, chociaż wolałbym ją uzyskać. Według prawa potrzebuję jedynie zgody Liwii — przeniósł wzrok na młodszą kobietę. — Pani, czy chcesz poślubić mnie w obliczu Mitry zgodnie z prawami Argos?

Na chwilę zapanowała cisza. Conan nie spuszczał wzroku z Doris, w której raptownie wzbierał histeryczny wybuch. Kątem oka przyglądał się również Liwii. Przysiągł sobie na wszystkich bogów, że jeżeli dziewczyna odrzuci Harfosa, przełoży ją sobie przez kolano i porządnie złojej tyłek.

W końcu Liwia uniosła ramiona i przytuliła się do Harfosa. Jej spojrzenie wystarczało za całodzienną orację. Conan odetchnął z ulgą.

— Świadcami jej zgody muszą być obywatele Argos. — Doris nie uznała jeszcze swej porażki. — Conan nim nie jest, ja odmawiam, zatem...

Liwia użyła kilku krótkich żołnierskich słów i uśmiechnęła się do Harfosa.

— Wiem o tym — powiedziała po chwili do Doris — ale jeśli po przyjęciu oświadczyn nastąpi skonsumowanie związku, nie potrzeba świadków. Małżeństwo jest wówczas obowiązkowe.

— Skon... — zaczęła Doris, po czym pod wpływem gniewu straciła mowę. Zapadła błogosławiona cisza, dzięki czemu wyraźnie słychać było stukanie do drzwi.

— Pani?

— Wejdz, Reza — rzekł Harfos.

Zwalisty Iranistańczyk wkroczył do komnaty unikając spojrzenia Conanowi w oczy.

— Rezo, dobrze się sprawiłeś, ale nie do końca — powiedział Harfos. — Wybaczę ci to, w czym zawiodłeś, jeżeli wyświadczysz mi pewną przysługę.

— Panie, jestem na twoje rozkazy.

— Doskonale. Nie wypuszczaj mojej matki z tej komnaty!

Do poskromienia gniewu Doris z rodu Lokhri potrzeba było nie tylko Rezy, ale również Conana oraz końskiej dawki jednej z nasennych mikstur Harfosa. Gdy Cymmerianin dotarł do komnaty Liwii, stwierdził, że drzwi są zamknięte, a z środka dobywają się dźwięki świadczące, że sprawy są na dobrej drodze.

Conan zostawił pod drzwiami dzban z winem i dwa kielichy, po czym zszedł na dół. Wcześniej zastanawiał się, czy nie wypić go samemu, lecz doszedł do wniosku, że Harfos będzie o wiele bardziej potrzebował ożywczego napoju.

## ROZDZIAŁ 20

Za oknami „Zacisza Pasterza” wiatr i ulewa chłostał ulice Messancji. Ze swego miejsca przy stole Conan miał dobry widok na wejście, dlatego natychmiast zauważył pojawienie się mężczyzny o jastrzębim nosie, odzianego w przemoczony płaszcz. Idąc przez salę nowo przybyły zostawiał na posadzce strugę wody.

— Talouf!

— Conan! Słyszałem, że mnie szukasz, ale nie wiedziałem, gdzie cię znaleźć. Dzięki bogom, my Gwardziści mamy swoje sposoby!

— Przynieś więcej wina dla mnie i tego zacnego Gwardzisty! — rozkazał Conan dziewczce służebnej.  
— Racz też wdrapać się na górę do mojego pokoju i każ mojej kobiecie przynieść tu jedwabną sakiewkę z czerwoną wstążką.

— Czerwoną wstążką?

— Tak.

Conan klepnął japo pośladku, a drugą dłonią wręczył monetę. Dziewczyna odeszła z uśmiechem.

— To twoje nowe przebranie? — zapytał Cymmerianin, wskazując strój Gwardzisty, widoczny pod rozpiętym płaszczem Taloufa.

— Na wieczny, męski wigor Erlika, nie. Naprawdę zostałem Gwardzistą oraz obywatelem Argos.

Nie było w tym nic dziwnego. Nagrody dla tych, którzy walczyli ze Skironem, Akimosem i Wartownikami okazały się tyleż hojne, co dyskretne. Szczodrość wykazały nie tylko rody Damaos i Lokhri, lecz również archonci, aczkolwiek w ich przypadku jej źródłem była scheda po Akimosie.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to odebrać zołdu, który przechowuję dla ciebie od rozwiązania kompanii. Tylko ty zostałeś mi do spłacenia.

— Oczywiście, że nie — zapewnił Talouf. — Mam ochotę odłożyć sobie co nieco. Wpadła mi w oko córka pewnego handlarza win...

— Ona, czy jego beczki?

— Przyznaję, że ma podobną do nich figurę, lecz gotuje tak, że zadowoliłaby boskie podniebienia. Jeżeli kiedyś znów znajdziesz się w tych stronach, zapewne będę już statecznym ojcem dzieciom. Osiągnąłem wiek, w którym mężczyźni zaczyna na tym zależeć.

— Ale ja nie — odparł Conan. — Mam ochotę obejrzeć sobie lepiej Messancję, ale gdy mi się opatrzy, wyjeżdżam.

Talouf zamilkł, dopóki dziewczka, która dolewała im wina, nie znalazła się poza zasięgiem słuchu, po czym wyszeptał:

— W takim razie najlepiej wyruszaj natychmiast. Napytałeś sobie wrogów. Jeżeli utoczysz im krwi w samoobronie...

— Wiem, wiem. Prawo Argos zwali się na mnie jak łajno z zadka byka — olbrzyma i zgniję w Ostoi Charofa. Będę ostrożny, Taloufie, słowo złodzieja.

— Kapitanie, w twojej naturze nie ma ani szczypty ostrożności. Nie pomyślałeś, żeby zaciągnąć się do Gwardii?

— Nic nie wiesz? Byłem kapitanem Gwardii przez cały czas pobytu w Argos.

Talouf łypnął podejrzliwie na Conana i utkwiał spojrzenie w kubku z winem.

— Byłeś Gwardzistą?

— Wygląda na to, że gdybym nim nie był, musiano by wytoczyć mi proces za niektóre z moich uczynków, dlatego też dokonano w aktach wpisu, iż byłem kapitanem, wypełniającym tajną misję. Jednakże za nadużycie władzy i przekroczenie przepisów pozbawiono mnie rangi i zakazano na wsze czasy służby w Gwardii.

Talouf splunął na posadzkę.

— Prawo Argos! — rzucił z goryczą i potrząsnął głową.

— Jesteś pewny, że zamierzasz spędzić resztę życia, podporządkowując mu się i zmuszając do tego innych? — zapytał Conan.

— Lepsze to niż zimna nyża i głodowe racje najemnika czy krótki żywot złodzieja — odrzekł Talouf.  
— Jeżeli jednak chcesz znów skrzyknąć oddział wolnych chwatów, mogę ci podpowiedzieć imiona dwudziestu ludzi, którzy z chęcią za tobą pójdą.

Była to kusząca myśl. W Argos i Aquilonii wciąż nie potrzebowano najemników, lecz w Koth i Shemie przyjmowano wszystkich, którzy potrafili posługiwać się bronią.. Obawiano się, że Morantes II z Ophiru spróbuje podeprzeć podbojami swój chwiejny tron, a obydwa te państwa były najdogodniejszymi, leżącymi po sąsiedzku celami. Propozycja Taloufa była jednak tyleż pociągająca, co nierealna.

— Potrzebowałbym więcej srebra, niż posiadam, a nie wycisnę już ani grosza z Liwii i Harfosa. Nie znaczy to, że okazali się niewdzięczni, lecz oboje nauczyli się, że zaprowadzenie ładu w interesach rodu Lokhri wymaga czegoś więcej niż wysłania tam Rezy z pałką. Potrzebują całego swojego srebra i funduszy, jakie uda się im wydębić od archontów.

Talouf chciał coś powiedzieć, gdy zjawiała się dziewczyna z jedwabną sakiewką. Talouf zważył ją w dłoni i uśmiechnął się, czując jej solidny ciężar, po czym przeniósł wzrok na twarz dziewczyny, która przyniosła gotówkę.

— Szyłka!

— Tak, sierżancie... Taloufie?

— Do usług, we własnej osobie. Jak dostałaś się do Messancji?

— Z moją siostrą, która wstąpiła do Liwii na służbę. Uznałam, że powinnam przed powrotem do domu obejrzeć stolicę i znalazłam człowieka, który był tego samego zdania.

— Cóż, nie zamierzam się z wami sprzeczać — rzekł Talouf, wznosząc kubek. — Pamiętaj jednak, kapitanie, że w Argos jest mnóstwo ludzi, którzy najchętniej ujrzeliby, jak wsiadasz na statek odpływający na koniec świata, by już nigdy nie wrócić.

— Zapamiętam to, Taloufie — powiedział Conan, unosząc swój kubek i równocześnie nalewając wina Szyłce. — Wypijmy za starych towarzyszy i pomówmy o przyjemniejszych sprawach!

Trzy kubki powędrowały w górę.

— Za starych towarzyszy! — rozległ się chór trzech zgodnych głosów.

— I nowe przygody! — dodał Conan.